Ostrzeżenie! Czasopismo redagowane jest wbrew zasadom gospodarki rynkowej przez element lewacki i antypaństwowy

CENA 19,60 zł w tym 8% VAT • NR 44–45 (1884–1885) • 30 października–12 listopada 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

PODWÓJNY NUMER

Zakładamy spółdzielnię dziennikarską

str. 3

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
44
9 770867 223607

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 7ba55b843e

W numerze:

3: **Spółdzielnia? Oczywiście** – credo nowego „NIE”

4: **Kto odda Polskę faszystom?** – i dlaczego Czarzasty w służbie Tuska

5: **Lincz** – największy grzech Pełczyńskiej-Nałęcz polegał na niesubordynacji; **Szukajcie, a nie znajdziecie** – słabe śledztwo dziennikarskie w sprawie prezydenta

6: **Niewolnicy granfalonu** – w jakiej sprawie tak się nienawidzimy; **Sflaczały ban Gawkowskiego** – gdzie wicepremier może skoczyć Muskowi

7: **Fletnia Pana Sławomira** – jak niebezpieczna jest niewiedza w erze globalizacji

8: **Wolni słowem** – konstytucja nie stanowi, że można głosić tylko mądre poglądy; **Transfuzja z zastrzeżeniem** – nawet Ordo Iuris brzydzi się Trumpem

9: **Nie na własność** – media publiczne są niezbędne. O ile są publiczne

10: **Nie będziemy się głaskać** – Czarnek tłumaczy świat; **Sens zadymy** – dlaczego Polakom tak słabo wychodzi wychodzenie na ulicę

11: **Zarzynanie Bogdanki** – jak zamordować najlepszą kopalnię w Polsce i w czyim interesie

12: **Młodzi bez dachu** – Agnieszka Sikora o tym, dlaczego młodzież ląduje na ulicy i jak jej pomagać; **Zaufany lokator** – kamienicznik zajrzy ci pod kołdrę i do kieliszka

13: **15 milionów polskich biedaków** – kogo nie dotyczy dobrobyt w 20. (tak naprawdę 21.) gospodarce świata

14: **Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej** – co zrobić z emerytami, którzy nie chcą umierać; **Kopiemy, spalamy, marnujemy** – głos za zieloną transformacją

15: **Młodość podszyta raportem** – MEN wydało 400 tysięcy, żeby dowiedzieć się, że szkoła jest stresująca dla uczniów

16–17: **Pan Prezydęt i „NIE”** – Wałęsa, Urban, nasza młodość durna i chmurna

18: **Alfabetorzy** – abecadła zamiast wspomnień

19: **Cztery cmentarze w Gazie** – Izrael odbiera Palestyńczykom nie tylko życie, odbiera im zmarłych; **Studenci do rządzenia** – kto wygrał w Serbii i czy zerwie z Rosją

20: **Rząd na bruk, bruk na rząd** – uczmy się wkurwu od Francuzów; **Le Pen się cieszy** – Polak z Paryża nie jest zachwycony

21: **Przepis Paxtona** – nasz ulubiony kandydat do Kongresu; **Polowanie na kulawą kaczkę** – czy koniec Trumpa się zbliża?

22: **Własność kontrolowana** – straszna historia zabytkowego Mercedesa

23: **Koniec samozwańczych szeryfów** – wreszcie ktoś zrobi porządek z „łowcami pedofilów”; **Anatomia kapitulacji** – dlaczego sądy totalnie przerżnęły problem „dezubekizacji”

24: **Elektrorozczarowanie** – auta elektryczne tracą powab

25: **Ekonomista genialny?** – biografia Brusa (i Wolińskiej) oczami badacza historii ekonomii

26: **Chwała naszym wyklętym** – pamięci dąbrowszczaków; **KOR wam w smak** – urodziny Michnika i inne święta narodowe

27: **Spółdzielczość przyszłością świata?** – jak było, jak może być

28: **Rachunek, którego nikt nie policzył** – ile nas wszystkich kosztuje sojusz tronu z ołtarzem

29: **Kościelny sąd pracy** – księże ofiary biskupiej swawoli

30: **Antysemici, ksenofobi, egzorcyści** – Obirek i Nowak o swoich książkach i o tym, kto naprawdę napisał „Mein Kampf”

31: **Futbol na lewo** – lewica też harata w gałę

A poza tym, jak zwykle: **Blog wszystkich świętych**, **Listonosz doniósł**, **Móżdżek tygodnia**, **Wieści gminne i inne**, **Życie w dobrobycie**, **Z czarnej dupy się wyrwało**, **Wieści z kruchty**, **Słówka półgłówka**, **Dialogi dam**, **komiks Dąbrowskiego**.

Następny, pojedynczy numer „NIE” ukaże się 13 listopada

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Listopad 2014 r.

Świętego Brice

Na portalu związanym z „Krytyką Polityczną” przeczytałem, że Bóg jest z natury socjalistą. Gdyby tak było, mianowałby swoim synem Lenina, a nie Chrystusa. To wielka oszczędność. Boże Narodzenie mielibyśmy 22 kwietnia, zatem połączone z Wielkanocą.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Sidony

Na własne oczy widziałem, słowo honoru i jak Boga kocham, że najmądrzejszy polski publicysta Jacek Żakowski żądał od Adama Hofmana, żeby przeprosił za kant, który poczynił. Zdawkowe, grzecznościowe słowo „przepraszam” wypowiada się, gdy człowiek np. niechcący popchnął człowieka. Tłumi ono kontragresję. Służy też do uznania cudzej racji lub niewłaściwości własnego zachowania. Łagodzi współżycie potoczne. Idiotyczne jest natomiast oczekiwanie w sądzie, że przeprosi morderca lub złodziej albo polityk-oszust. To osoby robiące źle, mimo iż wiedzą, że ich czyn jest potępiany. Jeśli przeprosiny mają ważyć w polityce lub łagodzić karę za przestępstwa umyślne, to przywróćmy ich wyższy komunistyczny poziom zwany samokrytyką. Była to podlegająca dyskusji rozbudowana autoanaliza win i ich motywów, wyrzekanie się odstępstw politycznych, ideowych i moralnych. Zespół przyjmował lub odrzucał samokrytykę. Ten rytuał uchodził potem za poniżający, ale miał więcej sensu i treści niż „przepraszam”.

Świętego Lebarda

Umarła dawna przyjaciółka Daniszewskiej. W czasach gdy się przyjaźniły, zaczęła się za bardzo szarogęsić w naszym domu i garderobie żony. Gdy Daniszewska zwróciła jej uwagę, ta odparła, że to bez znaczenia, bo „jak Jurek umrze i tak zamieszkam tu z tobą”. Jej śmierć przyjąłem więc z odrobiną satysfakcji.

Świętego Sideona

Patrzę: Daniszewska idzie, nogi jej się plączą lewa z prawą. Jak to damie. Myślę: zatrzymała się przed sklepem „Na rogu”, gdzie dżentelmeni piją piwo. Normalka, five o’clock. Okazuje się: zmyłka. To Azor plątał się Daniszewskiej, idąc między jej nogami. Co się okazało: skoczył witać Daniszewską jej dobry kolega pies sąsiadów wielkości hipopotama porośniętego czarną sierścią. Azorek tak się go wystraszył, że schował się między nogami pani. Potem założył głodówkę protestacyjną. Daniszewska ma się kolegować z pinczerkami! Zawsze jadałem z Azorem, dzieląc z nim posiłek. Dla mnie mięso i kartofle, dla niego sałata, szpinak, marchewka, mizeria, rukola, kalafior. Teraz nie mam mordy do usuwania witamin.

Świętego Alberta

Aleksander Kwaśniewski miał ksywę Młody. Młody właśnie skończył 60 lat. Dla nazywających go Młodym relatywnie nadal jest młody. Wśród uroczystości fundacja eksprezydenta Amicus Europae urządziła konferencję, gdzie byli prezydenci i premierzy państw Europy Wschodniej (minus Rosja) sławili Kwaśniewskiego jako regionalnego lidera i wzorzec. Dramatyczne było wystąpienie byłego prezydenta Ukrainy Kuczmy. Przypomniał, że w początku lat 90. przywódcy głównych państw świata naciskali na niego w Budapeszcie, żeby Ukraina, będąca wtedy trzecim mocarstwem nuklearnym świata, zrezygnowała z broni jądrowej. Gdyby Kijów wówczas nie uległ, dziś Rosja nie śmiałaby najeżdżać Ukrainy. W zamian za zgodę na wyrwanie Ukrainie jąder świat (w tym Rosja) gwarantowały jej granice i obsypanie dobrami materialnymi. Tylko prezydent Francji, podpisując dokument, szepnął do Kuczmy: oszukają cię. Dziś zaś Zachód odmawia Ukrainie sprzedaży broni konwencjonalnej. Konferencja odbyła się w hotelu Sheraton w Warszawie i dowiodła, że pięciu postkomunistów mieści się na jednym metrze kwadratowym. Jubilat dostał cukierki i dwa tomy po 500 stron ładnie wydanych peanów na jego cześć.

cd. Świętego Alberta

Ilekroć widzę w TV mroczną, ponurą, zaciętą mordę Girzyńskiego z PiS-u, tęsknię za wesolutką, pulchną, półinteligencką buźką Adama Hofmana. Wyrzucając go, prezes nie wziął pod uwagę niespotykanych cnót katolickich swego byłego rzecznika. Urwał się na wagary w Madrycie za państwowe pieniądze, ale z własną żoną. Pierwsze takie zdarzenie po narodzeniu Chrystusa.

Świętej Margierity

„Gazeta Wyborcza” informowała o wysokim wzroście cen papierosów w Europie i w Polsce też. Nawet koszerni mędrcy z „Wyborczej” nie dostrzegli jednak, że zapowiada to przewrót na rzecz sprawiedliwości społecznej. Na palenie stać będzie tylko bogatych, przez co oni szybko wymrą jako gatunek i na naszym kontynencie zapanuje egalitaryzm, główny warunek dobrostanu. Ogień rewolucji stanie się zbędny. Poproszę ognia.

Świętej Elżbiety

Nakręciłem kolejny krótki film do internetu, tym razem bardzo niewymyślny. Stoję nago w ogrodzie i dziękuję Bogu za to, że sypie z nieba figowe listki. W ciągu dwóch dni obejrzało mnie ze smakiem 65 tysięcy widzów. Otrzymałem liczne propozycje seksualne od kobiet i innych osób. Chyba mogę rozpocząć karierę striptizera w hospicjach.

Świętej Andy

Wyborcza wygrana PiS-u wywołała w moim domu rozpacz i prostrację. Daniszewska ogłosiła, że więcej nie będzie myć głowy, ja odwołałem wizytę u dentysty, bo po co mi teraz zęby. Zwierzęta niekarmione, naczynia niezmyte, strach i depresja. Lepiej, żeby Rosja Polskę zajęła niż Kaczyński. To pierwsze już przeżywałem, i to z satysfakcją. Czułem, że ta Kopacz to słabizna. Pójdę na pogrzeb Twojego Ruchu, i to z wieńcem. Niech szlag trafi Kaczyńskiego, niech mu zamiast moczu cieknie kobiece mleko, niech jego oczy patrzą do góry nogami, aby żmija uwiła sobie gniazdko w jego mózgu, język zamienił się w korkociąg, a nogi się połamały wpierw lewa, potem prawa. I niech mu kaktus nad jajami wyrośnie. ❑

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Odrębnota

Chciałbym odnieść się do pojawiającego się bardzo często pojęcia wspólnoty. Jedyną realnie istniejącą wspólnotą jest w moim przekonaniu wspólnota mieszkaniowa. Wszystkie pozostałe są, w nawiązaniu do teorii Leona Petrażyckiego, fikcjami, które kreujemy, aby oswoić czy też osłodzić rzeczywiście występującą odrębność międzyludzką. Odrębność ta nie musi jednak oznaczać obcości rozumianej jako wstęp do wrogości. Wręcz przeciwnie. Na bazie pierwotnie przeżywanej odrębności każdy może tworzyć szereg pozytywnych relacji z innymi odrębnymi jednostkami (jedność w wielości Witkacego?!). Odrębność nie potrzebuje lukrowania rzekomą wspólnotowością. Sama jest wystarczająco słodka i ponętna. Zaś (szczęśliwie niemożliwe) zrealizowanie postulatu wspólnotowości prowadziłoby do tragedii zatracenia bytu indywidualnego (...) przez jednostkę i rozpłynięcia się w mdłym wspólnotowym nie wiadomo czym; żadnej przyjemności by z tego nie było, więc po co w to brnąć?

Zachęcam zatem gorąco do kultywowania odrębnoty. Niech miarą wartości każdego stanie się jego stosunek do drugiego, z którym nie poczuwa się do żadnej rzekomej wspólnoty.

GRL

Zdrowa tradycja

Niezbyt często, ale jednak zdarzają się również i dla Polaków prawdziwe powody do dumy. Jednym z nich jest znikoma ilość broni palnej znajdującej się w kraju między Odrą a Bugiem, na co słusznie zwróciliście uwagę („NIE”, nr 42/2026). Zastanawia mnie tylko, skąd ta zdrowa niechęć do zbrojenia się osobistego w narodzie, w którym tak wielu widzi w sobie potomków i tak bardzo licznej, bo ok. 10-procentowej dawnej „grupy zbrojnej”. I wychodzi mi, że (...) „zdrowe jądro chłopstwa” (...) z dużym dystansem spoglądało na wymachujących szabelką z byle powodów „panów braci”, rzadko tylko (...) naśladując ich manewry kłonicami. Tę jakże piękną pacyfistyczną tradycję godzi się rozwinąć poprzez rozbudowę produkcji kamizelek kuloodpornych w stopniu umożliwiającym wysyłanie ich za ocean, gdzie pożytek z nich byłby jeszcze większy niż z niegdysiejszych śpiworów. Choć może znając jankesko-kapitalistyczne zdolności do spieprzenia wszystkiego, należałoby żywić obawy, że wzrost podaży kamizelek zwiększyłby jeszcze popyt na broń – oczywiście w celu ochrony przed wrażymi kamizelkami.

CZYTELNIK

eprasa.pl 7ba55b843e

Towarzysze Czytelnicy, Towarzyszki Czytelniczki, Osoby Towarzyszo-Czytelnickie!

Przedstawiamy Wasz nowy organ…

Przez ostatnie 35 lat domem „NIE” była spółka URMA – skrót od „Urban ma”. Numer, który trzymacie w rękach – 1884/1885 – po raz pierwszy w historii tygodnika organizacyjnie nie ma nic wspólnego z Urbanem. Pozostaje jednak jego dziedzictwem.

Nasza rewolucja była bezkrwawa, a nawet przyjazna. Przyjęliśmy środek produkcji z rąk kapitalisty – pasierbicy i spadkobierczyni Urbana Marty Miecińskiej – na jej zaproszenie i przy jej życzliwej pomocy. Jej jedyny warunek – to zachowanie charakteru i tożsamości pisma. Nie będzie on dla nas trudny do spełnienia.

Urban założył „NIE” jako wyraz protestu – wobec nowej rzeczywistości, nowej gównianej klasy politycznej, nakazu posłuszeństwa nowej sile przewodniej, jaką stał się Kościół kat. Wobec obowiązku jednomyślności: za papizmem, za kapitalizmem, za Balcerowiczem, za martyrologią narodową, przeciwko Polsce Ludowej. Ale założył je również dlatego, że chciał mieć za co żyć, a robienie gazety to było jedyne, na czym się znał. (Poprawka: znał się też na polityce, ale w takiej, jaka wykluwała się po 1989 r., nie chciał brać udziału).

36 lat później jesteśmy mniej więcej w tym samym stanie ducha. Też nie pasujemy do dzisiejszej rzeczywistości, też nie odnajdujemy się w obowiązku jednomyślności, i też nie umiemy robić nic innego.

I też wierzymy, że są w Polsce ludzie, którzy czują się tak jak my – i do których nikt nie mówi. Ani politycy, ani dziennikarze, ani eksperci. Ci ostatni może by i spróbowali, ale wiedzą, jak to się skończy dla ich karier i naukowych awansów. My mamy to w dupie.

Wierzymy – nie: wiemy – że darwinistyczny, neoliberalny kapitalizm, który polska klasa polityczna, niezależnie od koloru sztandaru, buduje prawie nieprzerwanie od 37 lat, jest bankrutem. Świat, w którym 10 proc. najbogatszych ma 90 proc. globalnego majątku, a uboższa połowa ludzkości zaledwie 2 proc., nie jest w stanie przetrwać. Nierówności – tak w skali krajowej, jak i globalnej – są śmiertelną chorobą toczącą Ziemię. Klasa miliarderów nie jest awangardą ludzkości, tylko niszczycielskim pasożytem, który musi zostać zwalczony, jeśli chcemy, żeby następne pokolenia miały gdzie mieszkać, co jeść, czym oddychać. Tu nie ma miejsca na subtelności. Robimy lewicową gazetę, która nie pierdoli się w tańcu.

Nie uważamy, że „lewica” i „prawica” to przebrzmiałe koncepcje niepasujące do nowoczesności.

Jesteśmy przeciwko prawicy – i tej w opozycji, i tej w rządzie. Jeśli ktoś wysługuje się kapitałowi, łamie prawa człowieka, szczuje na imigrantów, buduje narrację pełną nienawiści i obleka ją w szaty tradycji czy patriotyzmu – nazwiemy go chujem, czy będzie swój, czy obcy.

Jesteśmy sumieniem lewicy. I tak, wiemy, że nikt nas o to nie prosił, ale sami mianowaliśmy się na to wakujące stanowisko. Czy chodzi o lewicę u władzy czy w opozycji – zawsze może liczyć na to, że się do niej przypierdolimy, jak sobie zasłuży.

Bo nas naprawdę obchodzi, czy lewica jest prawdziwa, czy gówno warta. Dlatego też dostrzeżemy i docenimy, kiedy postąpi zgodnie z naszymi wspólnymi wartościami.

A są one dość proste. Jesteśmy po stronie ludzi pracy przeciw wyzyskowi, po stronie płac przeciw dywidendzie, po stronie miejsc pracy przeciwko maksymalizacji zysku.

Jesteśmy po stronie rozumu przeciw zabobonom: czy chodzi o gadającego węża, czy o płaską ziemię, czy o wirus autyzmu podstępnie czający się w szczepionkach.

Jesteśmy bezkompromisowo za prawami człowieka: uchodźców konających z zimna i głodu na granicy polsko-białoruskiej i imigrantów narażonych w Polsce na rasistowskie, ksenofobiczne ataki – niezależnie od tego, skąd przybyli i przed czym uciekli. Jesteśmy za prawami kobiet i pełną równością wspólnot LGBTQ. Żaden człowiek nie jest nielegalny i żaden człowiek nie jest ideologią.

Jesteśmy i zawsze będziemy po stronie ludzi Polski Ludowej. Walczymy o ich godność i dobre imię, o sprawiedliwość dla nich, o prawdę o kraju, który był ojczyzną większości z nas.

Jesteśmy za prawem do posiadania i wyrażania opinii, nawet jak odbiega od nowej poprawności politycznej, która wyraża się w haśle „Bezpieczeństwo jest najważniejsze”.

Jesteśmy przeciw militarnemu amokowi, który opętał całą scenę polityczną od prawa od lewa. Jesteśmy przeciwko wydawaniu 200 mld zł na zbrojenia, kiedy 15 mln ludzi żyje poniżej minimum socjalnego. Jesteśmy przeciw żebraniu o obce bazy militarne na terenie naszego kraju – i przeciw płaceniu za nie. Jesteśmy przeciw straszeniu wojną i wykorzystywaniu tego strachu do ograniczania swobód obywatelskich.

Jesteśmy pacyfistami. Potępiamy każdą wojnę: i Putina na Ukrainie, i Trumpa w Iranie. Jesteśmy jednoznacznie i bezwarunkowo przeciwko ludobójstwu – i temu głośnemu i oczywistemu w Gazie, i temu podstępnemu i cichemu na Kubie. Nie stosujemy podwójnej miary i nie dzielimy zbrodni na swoje i obce. Nie mamy ulubionych imperiów. Ale też rzetelnej analizy geopolitycznych źródeł dzisiejszej chujowieńkiej kondycji świata nie uważamy za temat tabu. Co szczególnie oburza strażników prawomyślności.

W sumie: robimy wywrotową gazetę. Tak samo jak Urban 36 lat temu.

W ramach wywrotowości założyliśmy spółdzielnię dziennikarską (pisze o tym obok jej prezeska Anna Grodzka). Ojczyzna nie sprzyja spółdzielniom, więc ten numer jest jeszcze samizdatem, wydawanym przeze mnie w charakterze jednoosobowej działalności gospodarczej – ale wierzymy, że następny będzie już nie tylko faktycznie, ale też formalnie produktem spółdzielczym.

Potrzebujemy Waszej pomocy, potrzebujemy Waszego wsparcia, potrzebujemy Waszej obecności.

Czytajcie nas, piszcie do nas, kłóćcie się z nami. Pracujemy nad tym, żeby to było łatwiejsze – nad zwiększeniem naszej obecności w socjal mediach, nad opracowaniem nowych kanałów komunikacji. Marzy nam się zbudowanie wokół „NIE” społeczności, siedliska fermentu intelektualnego, miejsca spotkań, okazji do intelektualnych dyskusji albo chociażby zwykłej popijawy. Mamy zespół, który dobrze znacie – ale też nowych, znakomitych autorów, których zaprosiliśmy do współpracy, bo nasza walka jest wspólna (tutaj reprezentuje ich prof. Jacek Kochanowski, którego tekst możecie przeczytać poniżej).

Po 36 latach przeżywamy drugą młodość i chcemy z niej wyciągnąć jak najwięcej.

Chodźcie z nami.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
red. nacz.

Spółdzielnia? Oczywiście.

…i podmiot za nim stojący

Zacznę od najważniejszego. Powołaliśmy – my, czyli dotychczasowy zespół redakcyjny – NIE Medialną Spółdzielnię Pracy. Na mocy licencji udzielonej przez dotychczasowego wydawcę, spółkę URMA, spółdzielnia staje się wydawcą tygodnika.

Nie musicie się zatem martwić, że odtąd zostaniecie już bez „NIE”, skazani na wciskane drzwiami i oknami wypachnione, wypolerowane, wykrawacone i kłamliwie wygładzone mainstreamowe komentarze. Jak co tydzień będziecie mogli spokojnie usiąść w fotelu z tygodnikiem „NIE”, jak ze starym dobrym kumplem, i przy filiżance kawy lub lampce wina pogadać, ponarzekać, a przede wszystkim nareszcie znaleźć czas i ochotę, by spojrzeć na świat inaczej. Nadal będziecie – jak przyjaciel z przyjacielem – stawiać zasadnicze pytania, inspirować się do refleksji, żartować i bawić.

Zdarzyło się bowiem, że bezrozumny kapitalizm zadał bolesny cios Łódzkiej Drukarni Prasowej, istniejącej od prawie 80 lat i od lat drukującej nasze słowa. Teraz zwalnia ona pracowników i zatrzymuje druk. Budynek drukarni zostanie zburzony. W jego miejscu, dzięki przepisom „lex deweloper”, powstanie bajerancka inwestycja mieszkaniowa. Rozumiecie.

Ten cios dotknął także nas. Obecny podwójny numer wygląda jeszcze tak jak poprzednie. Następne wydania zmienią jednak swój wygląd. Zmuszeni jesteśmy drukować tygodnik gdzie indziej, w innej drukarni i w nieco innej formie – co nie znaczy: gorzej. Rozpoznacie go bez problemu po zapachu szczerości i prawdy oraz znanym znaku graficznym. Cóż znaczy inny strój i powierzchowność? Liczy się dusza. Ta sama niepokorna dusza, z którą tak lubicie gadać. Kryzys często okazuje się okazją. Sami to zobaczycie.

Kiedy zawisła nad nami groźba zamknięcia tygodnika, załoga powiedziała: NIE. Nie chcemy kończyć. Chcemy jeszcze i jeszcze!. Powiedzieliśmy to nie tylko w naszym imieniu – także w Waszym; wielu tysięcy Czytelników. Takiego zaufania nie można było zmarnować. „NIE” ma przecież za sobą historię, której nie da się podrobić, nazwę, której nie trzeba tłumaczyć, tradycję, która dla jednych jest solą w oku, dla innych powodem, by nadal brać pismo do ręki. Ma też zespół, który potrafi tworzyć coraz lepsze teksty. To wszystko nie powinno zostać zaprzepaszczone tylko dlatego, że stary model rynku prasowego się skończył.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powołaliśmy więc dziennikarską spółdzielnię pracy, która będzie kontynuować wydawanie tygodnika o 36-letniej tradycji. Waszej cotygodniowej gazety.

Dlaczego? Bo gazet nie pisze kapitał. Kapitał nie napisze ani jednego uczciwego zdania. Tygodnik robią ludzie: autorzy, redaktorzy, korektorki, graficy oraz ludzie od składu, prenumeraty i kolportażu. To oni wkładają w „NIE” wiedzę, nerwy, humor i kawałek własnego życia.

Spółdzielnia pracy odwraca zwykły kapitalistyczny porządek. Nie ludzie są dodatkiem do przedsiębiorstwa, lecz przedsiębiorstwo jest narzędziem ludzi. W spółdzielczości nie decyduje wielkość portfela, lecz zasada: jeden członek – jeden głos.

W spółdzielni dziennikarskiej o losie gazety i jej treści nie decyduje interes właściciela kapitału czy akcjonariusza, lecz zespół ludzi tworzących pismo.

Wiemy też, że badania nad dziennikarskimi spółdzielniami wykazują, iż ich wewnętrzna demokracja wzmacnia niezależność i społeczne zaufanie do mediów. My i dotychczasowy wydawca, który przekazał nam wydawniczą pałeczkę, rozumiemy, że dziennikarstwo spółdzielcze ma w tym względzie przewagę nad mediami należącymi do korporacji, oligarchów, funduszy albo ludzi, którym redakcja potrzebna jest głównie jako źródło dochodu, ozdoba własnego ego albo narzędzie politycznej przepychanki.

W spółdzielczej redakcji niezależność nie jest kłamliwym hasłem. Wynika wprost ze wspólnej własności ludzi, którzy ją tworzą, i ze wspólnej odpowiedzialności. Spółdzielnia jest najbardziej lewicową formą prowadzenia działalności gospodarczej. Magia dzieje się wtedy, gdy treść w tym współczesnym, pokręconym świecie staje się spójna z formą – nasza magia.

Nie jest to powrót do muzeum spółdzielczości. Ruch spółdzielczy nie tylko trwa i ma się dobrze, ale także rozwija się i odżywa w Polsce. To nowoczesna odpowiedź na bardzo współczesny problem: jak utrzymać niezależne media, kiedy rynek coraz chętniej zamienia je w fabryki kliknięć, reklamy albo polityczne megafony.

Naszą ambicją jest zachowanie reklamowej dziewiczości. Z Waszą pomocą będziemy nadal sprzedawać Wam papier zadrukowany tylko naszymi tekstami i rysunkami, niezaśmiecony reklamami i „artykułami promocyjnymi”.

W tworzeniu spółdzielni pomógł nam Jan Oleszczuk-Zygmuntowski – ekonomista, współprzewodniczący Polskiej Sieci Ekonomii i prezes PLZ Spółdzielni, operatora CoopTech Hub, pierwszego w Polsce centrum technologii spółdzielczych. To jeden z najważniejszych dziś promotorów nowoczesnej spółdzielczości w Polsce. Kiedy zaczęliśmy poważnie myśleć o tym, by „NIE” stało się własnością ludzi, którzy je robią, zwróciliśmy się do niego o pomoc. I tę pomoc dostaliśmy. Za wiedzę, życzliwość i konkretne wsparcie – dziękujemy.

Chcemy być bliżej Was. Chcemy być z Wami w żywszym, bliższym kontakcie i prowadzić prawdziwy dialog. Czy nam się to podoba, czy nie, internet daje dziś szansę na dotarcie do Czytelnika i wzajemną rozmowę. Planujemy rozwinąć obecność „NIE” w sieci, ale nie zrezygnujemy z papierowego wydania pisma, które wolnej myśli daje najwłaściwsze ujście. Wiemy, że i Wy korzystacie – choć często z obrzydzeniem – z tak zwanych mediów społecznościowych. Zapewnimy Wam także tą drogą łatwiejszy dostęp i więcej możliwości wzajemnej komunikacji.

Nie wiemy, czy będziemy mieli łatwo. Wiemy natomiast, że gazeta, która uczy nieufności wobec bezrozumnego kapitalizmu, nie powinna po cichu umrzeć tylko dlatego, że kapitalizm tak akurat policzył. Dlatego mówimy mu po swojemu: NIE.

Z Wami damy radę.

ANNA GRODZKA
Prezeska NIE – Medialnej Spółdzielni Pracy

QueerNIE

Nie ma lewicowego wyzwolenia bez wyzwolenia queerowego. I nie ma queerowej wolności bez materialnej równości i walki o prawa pracownicze.

Perspektywa queer, szczególnie jako perspektywa polityczna, już od dawna przybrała postać kłączowatego splotu różnych usytuowań społecznych, mówiąc językiem nauki. A po ludzku: jest walką o wyzwolenie konkretnych ludzi w ich konkretnym doświadczeniu ucisku. Nie tylko ucisku seksualnego spowodowanego obsesjami seksualnymi rzeczników heteronormatywnego zamordyzmu (wśród których jest zadziwiająco wielu kryptogejów przekuwających swój prywatny wstyd w publiczną nienawiść – Polska to świetny przykład tego zjawiska), ale także ucisku materialnego związanego z panowaniem chciwej i coraz bogatszej elity – światowej oligarchii finansowej, ucisku płciowego sięgającego po ciała kobiet, by wtłaczać je w aparat przymusowej reprodukcji, ucisku cispłciowego wykluczającego niebinarne i transpłciowe doświadczenia, ucisku hipernacjonalistycznego i rasistowskiego, który z osób migranckich tworzy wrogów, używając ich ciał jako tarcz strzelniczych w praktykach wytwarzania faszystowskiej nienawiści mającej jednoczyć naród. A także wielu innych obszarów ucisku.

Wolność seksualna jest wciąż i nadal ważna, także ta wolność, która nie chce się wpisać w normę monogamicznego małżeństwa reprodukcyjnego. Dlatego będę o niej często pisał na łamach naszego nowego „NIE”. Ale będę pisał też wiele o lewicowym buncie i lewicowym wyzwoleniu, które jest warunkiem wolności w każdym wymiarze, począwszy od tego fundamentalnego wymiaru ekonomicznego. Jesteśmy tu, jesteśmy queer i łączymy się ze wszystkimi uciskanymi. Queerowe wyzwolenie wszystkich klas podporządkowanych nadchodzi!

JACEK KOCHANOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 7ba55b843e

Dlaczego największym wrogiem Czarzastego nie są liberałowie ani prawacy, tylko Zandberg?

Kto odda Polskę faszystom?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wszystko wskazuje na to, że po wyborach parlamentarnych w 2027 r. Polsce grożą rządy koalicji nowych faszystów – od Morawieckiego po Brauna. Pan marszałek sejmu Włodzimierz Czarzasty oskarża Adriana Zandberga i partię Razem o to, że do rządów faszystów chcą doprowadzić. Czy rzeczywiście jednak odpowiada za to Razem, które nie uczestniczyło rządach ani w latach 2007–2015, ani w 2023––2027? Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym wyjaśnić, dlaczego używam pojęcia „nowi faszyści".

Uśmiechnięte obozy koncentracyjne

Jak pokazałem w swojej książce „Brunatna fala. Socjologia nowego faszyzmu w Polsce", ugrupowania określane przez media mianem skrajnie prawicowych, radykalnych czy populistycznych przenoszą faszystowską ideologię i praktykę polityczną we współczesność, dostosowując ją do realiów XXI w. Nowy faszyzm nie musi wyglądać tak jak faszyzm historyczny, aby odtwarzać jego podstawowe mechanizmy sprawowania władzy.

Przede wszystkim: wyznaczenie kategorii ludzi, których życie uznaje się za „niewarte życia", a następnie zdobywanie poparcia społecznego poprzez rozbudzanie strachu, pogardy i nienawiści wobec nich. Po przejęciu władzy nienawiść ta przekształca się w systematyczną politykę prześladowania: od publicznego napiętnowania przez dyskryminację instytucjonalną, odbieranie praw i stosowanie przemocy aż po fizyczną eliminację tych, których wcześniej wykluczono ze wspólnoty ludzi zasługujących na ochronę.

Kiedy wyjaśniam swoją definicję, część osób pyta: czy naprawdę uważasz, że skrajna prawica zamierza budować obozy koncentracyjne? Otóż już istnieją instytucje, w których państwo bezprawnie pozbawia określone grupy ludzi wolności, izoluje je od społeczeństwa i poddaje szczególnemu reżimowi kontroli. Są nimi strzeżone ośrodki dla cudzoziemców, za które odpowiada także dzisiejszy rząd z udziałem Nowej Lewicy.

Ośrodki te pod względem sposobu sprawowania władzy nad uwięzionymi ludźmi przypominają obozy koncentracyjne. Ludzie ci są de facto więźniami, choć nie popełnili żadnego przestępstwa. Pozostają zamknięci w warunkach głębokiej niepewności, nie wiedząc, jak długo będą przebywać w ośrodku ani kiedy zostaną rozpatrzone ich wnioski o azyl. Nie otrzymują wystarczającej ilości pożywienia, odmawia się im potrzebnych leków i dostępu do pomocy lekarskiej. Pozbawienie wolności łączy się zatem z pozbawianiem możliwości zaspokajania najbardziej elementarnych potrzeb życiowych.

Kluczowe dla mojej oceny tego rządu i jego roli w legitymizowaniu faszystowskiej narracji jest to, że Tusk, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty odpowiadają także za kontynuację zbrodni na granicy polsko-białoruskiej, gdzie ludzie zapędzani na granicę przez białoruskich żołnierzy są następnie zatrzymywani przez polskich funkcjonariuszy, torturowani, poniżani, odzierani z resztek godności. Odbiera się im dokumenty, niszczy telefony, często pozbawia odzieży i jedzenia, a następnie przez bramki dla zwierząt – co jest symboliczne – przepycha z powrotem na Białoruś, prosto pod lufy karabinów białoruskich żołnierzy. I tak nawet kilkanaście razy! Wielu z nich, próbując uniknąć tej nieludzkiej procedury, szuka innej drogi do Polski przez bagna, lasy i mokradła Puszczy Białowieskiej. Tam, z dala od kamer i uspokajających komunikatów władz, ludzie umierają z wychłodzenia, wyczerpania, głodu i odwodnienia. Liczba udokumentowanych ofiar śmiertelnych tego kryzysu przekroczyła już 100!

Za każdą z tych śmierci kryje się konkretne ludzkie życie, czyjaś historia, rodzina, marzenia i nadzieja na znalezienie bezpiecznego miejsca na świecie. Nie są to wyłącznie tragiczne konsekwencje kryzysu migracyjnego, lecz także efekt świadomych decyzji politycznych, które pozwalają traktować określoną kategorię ludzi tak, jakby ich życie miało mniejszą wartość niż życie pozostałych.

Dodam z pełną odpowiedzialnością jako naukowiec: obecnie nie grozi Europie żadna wielka, masowa fala migracyjna, także z Białorusi. Ludzie ci powinni być przyjęci zgodnie z przepisami polskimi, unijnymi i z Konwencją ds. Uchodźców, którą Polska podpisała. Należy od nich przyjąć wniosek azylowy i rozpatrzyć go w ustawowym terminie. Tymczasem oni nadal umierają tylko dlatego, że „koalicja demokratyczna" postanowiła naśladować faszystowską nagonkę na osoby migranckie. Przy wsparciu Nowej Lewicy – czy słyszeliście o tym, żeby NL zagroziła wyjściem z koalicji i doprowadzeniem do mniejszościowych rządów Tuska, o ile nie zostanie zakończone to niezgodne z polską konstytucją barbarzyństwo?

Oczywiście, że nie: pan Czarzasty, rozparty na stanowisku marszałka sejmu, jest dumny z dokonań swojej partii w tym rządzie.

Porozmawiajmy o ofiarach władzy

Chciałbym, żeby Czarzasty przejrzał listę 106 osób zmarłych w drodze na granicy polsko-białoruskiej i może napisał do ich rodzin o tym, jak lewica, dla której prawa człowieka powinny być absolutną podstawą działalności, uchroniła przed śmiercią niewinnych ludzi uciekających przed wojną lub biedą.

A może zechce pan Czarzasty spotkać się z kobietami, które masowo protestowały przeciwko barbarzyńskiemu prawu antyaborcyjnemu i które – mimo ostatnich nerwowych ruchów – nadal żyją pod rządami jednego z najbardziej restrykcyjnych ustawodawstw aborcyjnych w Europie?

A może pan Czarzasty spojrzy w oczy osób queerowych, którym zaproponowano upokarzającą ustawę o statusie osoby najbliższej? Napisało ją najbardziej skrajnie prawicowe ugrupowanie w koalicji, czyli PSL. Część środowiska queerowego uznała ten projekt za obraźliwy i nazwała go Współlokator plus. A już wyjątkową bezczelnością jest sposób, w jaki Nowa Lewica chwali się postępami w transkrypcji zagranicznych aktów małżeństw jednopłciowych. To pary jednopłciowe przez lata prowadziły sądowe batalie, domagając się uznania swoich małżeństw. Ich determinacja doprowadziła do rozstrzygnięć, które administracja zaczęła realizować – bo nie miała innego wyjścia. Tymczasem Czarzasty owinął się tęczową flagą i ogłosił sukces Nowej Lewicy, ponieważ wicepremier Gawkowski zrobił to, co było jego obowiązkiem: przygotował rozporządzenie wykonujące orzeczenia sądowe.

A może pan Czarzasty spojrzy w oczy Ukrainkom i Ukraińcom, którzy uciekli przed dronami burzącymi ich domy, a dziś stają się ofiarami narastającej nienawiści i agresji? Według danych przekazanych przez policję w pierwszym półroczu 2026 r. odnotowano 180 zawiadomień o przestępstwach z nienawiści wobec obywateli Ukrainy, o ponad 30 proc. więcej niż rok wcześniej. W odpowiedzi na pytanie dziennikarki, co rząd robi, by przeciwdziałać tej nagonce, rząd wskazał na – słowo! – granicę polsko-białoruską jako przykład polskiej polityki migracyjnej.

A może pan Czarzasty spotka się z przedstawicielami mojego związku zawodowego – Inicjatywą Pracowniczą? Nowa Lewica przedstawia reformę Państwowej Inspekcji Pracy jako jeden ze swoich sukcesów. Tymczasem Tusk wybił tej reformie zęby, czyniąc to wyjątkowo brutalnie i publicznie. W rezultacie reforma nie oznacza żadnego przełamania przewagi kapitału nad pracą. Nie ogranicza fikcyjnego samozatrudnienia, nie ogranicza uberyzacji, nie zapewnia ludziom pracy możliwości zbiorowego przeciwstawiania się władzy zatrudniających. Jednym słowem, nie zmienia relacji między pracownikami a zatrudniającymi, utrwalając dotychczasową przewagę tych ostatnich. Państwo powinno tworzyć warunki, w których ludzie pracy mogą się organizować, negocjować zbiorowo i skutecznie bronić swoich praw – także tam, gdzie przedsiębiorstwa próbują rozbić wspólnotę pracowniczą na tysiące pozornie niezależnych wykonawców usług. Przykładem jest właśnie Inicjatywa Pracownicza organizująca ludzi pracujących w rozmaitych sektorach, również w warunkach niepewnego zatrudnienia.

A może pan Czarzasty spotka się z młodymi ludźmi, których nie stać na kredyt na mieszkanie albo którzy pracują na kilku etatach, żeby taki kredyt spłacać? Dla coraz większej części społeczeństwa mieszkanie staje się źródłem nieustannej niepewności finansowej. Państwo powinno rozwijać publiczne i samorządowe budownictwo mieszkaniowe zamiast traktować dach nad głową przede wszystkim jako przedmiot inwestycji. Tymczasem rośnie patologia władzy deweloperów hojnie wpłacających darowizny na konta partii politycznych, budujących w polskich miastach klitki droższe od nieruchomości w Paryżu czy Madrycie. A przecież to właśnie publiczne budownictwo mieszkaniowe powinno być jednym z podstawowych zadań lewicy uczestniczącej w rządzie.

Razem do bicia

Otóż nic z tego. Aby uniknąć tłumaczenia się z oczywistego faktu, że jedynym sukcesem Nowej Lewicy w tej koalicji są liczne stanowiska polityczne i posady w spółkach, Włodzimierz Czarzasty wdał się w wojnę z Adrianem Zandbergiem.

Marszałek powtarza dwa oskarżenia. Pierwsze: Zandberg przyczynił się do zwycięstwa PiS-u w 2015 r. Drugie: Zandberg „tak bardzo nienawidzi liberałów, że odda władzę faszystom". To doprawdy fascynująca teoria odpowiedzialności politycznej. Platforma rządziła Polską przez osiem lat, ale za jej porażkę odpowiada Zandberg. Obecna koalicja sprawuje władzę od trzech, lecz za jej ewentualną porażkę również ma odpowiadać Zandberg. Co by Tusk z Czarzastym zrobili bez Zandberga? Władza może prowadzić dowolną politykę, a odpowiedzialność za jej skutki poniesie ten, kto odmawia jej poparcia.

Przypomnijmy, co działo się przed rokiem 2015. Podwyższono wiek emerytalny, rozpowszechniały się niepewne formy zatrudnienia, a wzrost gospodarczy był odczuwalny głównie przez najbogatszych. Wielu ludzi słyszało o wielkim sukcesie Polski, a potem patrzyło do portfeli i zastanawiało się, jak przeżyć do pierwszego. Tusk przegrał w 2015 r., bo miał gdzieś te corocznie publikowane miary ubóstwa. Tymczasem PiS postanowiło coś dla tych ludzi zrobić – nieudolnie, krótkoterminowo, ale jednak. I zresztą niewiele się zmieniło.

Panie Czarzasty: w Polsce, podobno 21. gospodarce świata, według danych GUS za 2025 r. 15 mln ludzi żyje poniżej minimum socjalnego! Ponad 40 proc. Polek i Polaków! A poniżej minimum egzystencji, czyli na granicy biologicznego przetrwania, żyją ponad 2 mln osób!

Trzeci rząd Tuska, w którym nadal liczą się przede wszystkim interesy „inwestorów", deweloperów i „przedsiębiorców", również koncertowo odwrócił się od tych 40 proc. społeczeństwa. Tak naprawdę

nie mam pretensji do Tuska – to skrajny neoliberał i nigdy tego nie krył. Ale firmowanie takiej polityki przez lewicę, a potem atakowanie Razem za to, że upomina się właśnie o ubogich? To naprawdę jest bezczelność:

Razem, które stara się reprezentować właśnie tę część społeczeństwa, chce oddać Polskę faszystom, bo nie chce z wami wspólnej listy?

Nie da się, bo Tusk…

To Nowa Lewica uczestniczy w rządzie dla bogatych. To Nowa Lewica jest we władzy, która wybrała strategię naśladowania nowych faszystów w nadziei na odebranie im wyborców, pozostawiając jednocześnie demokratyczny – w tym także lewicowy – elektorat poza zakresem swojego politycznego zainteresowania. Efekt tej strategii jest taki, że poparcie dla Koalicji Obywatelskiej od 2023 r. stoi mniej więcej tam, gdzie stało – a poparcie dla lewicy spadło z prawie 9 do około 6 punktów procentowych. Niektórzy badacze twierdzą, że nawet ten wynik jest zawyżany w sondażach.

Partia Razem, kierowana przez Aleksandrę Sowę i Adriana Zandberga, tym różni się od Nowej Lewicy, że próbuje konsekwentnie stać po stronie ludzi pracy, ubogich i tych wszystkich, których życie podporządkowano interesom kapitału. Domaga się opodatkowania wielkich fortun i korporacji, ograniczenia fikcyjnego samozatrudnienia i prekaryzacji, rozwoju publicznego budownictwa mieszkaniowego oraz rzeczywistej ochrony praw pracowniczych. Jednocześnie nie godzi się na podporządkowanie praw człowieka politycznym kompromisom z prawicą: sprzeciwia się rasizmowi, ksenofobii, homofobii i transfobii, opowiadając się za prawami osób migranckich, prawami reprodukcyjnymi kobiet i pełną równością osób queerowych. Nie chodzi zatem o kosmetyczne poprawianie istniejącego porządku, lecz o zmianę stosunków społecznych, które pozwalają kapitałowi podporządkowywać sobie ludzkie życie, a politykom wykorzystywać społeczne frustracje do rozbudzania nienawiści wobec najsłabszych.

To są rzeczywiste problemy społeczne. Nie rozwiąże ich wskazanie migrantów jako winnych. Nowy faszyzm potrafi wykorzystać gniew wywołany nierównościami społecznymi, przechwycić go i skierować przeciw ludziom, którzy nie odpowiadają za wyzysk, kryzys mieszkaniowy ani słabość usług publicznych. Migranci, osoby queerowe i inne mniejszości stają się wygodnymi wrogami zastępczymi. I to właśnie dlatego, że Razem formułuje postulaty zdecydowanie lewicowe, o których Nowa Lewica zdaje się już nie pamiętać, marszałek Czarzasty uznał tę partię za przeciwnika wymagającego szczególnie zaciekłego zwalczania. Trudno nie zauważyć, że w publicznych atakach na Adriana Zandberga potrafi wykazać się energią, której próżno szukać w równie zdecydowanej walce z nowymi faszystami i rozpowszechnianą przez nich rasistowską, antyukraińską czy homofobiczną propagandą.

Powstrzymanie faszystów wymaga wybrania konsekwentnej drogi praw człowieka i opartej na niej głębokiej, otwartej demokracji. Wymaga również po prostu stanięcia po stronie ubogich, prekaryzowanych, skazanych na kulturę zapierdolu bez szans na lepszą przyszłość. Nowa Lewica broni praw człowieka głównie deklaratywnie, bo kiedy przychodzi co do czego, pojawia się hasło „nie da się, bo Tusk…" – a jednocześnie w konflikcie pomiędzy światem kapitału a światem pracy staje po stronie najbogatszych. To kto właściwie oddaje Polskę faszystom, panie Czarzasty?

JACEK KOCHANOWSKI
jacekkochanowski.com

Autor jest profesorem UW, socjologiem queer, członkiem partii Razem i OZZ Inicjatywa Pracownicza.

eprasa.pl 7ba55b843e

Bronię Pełczyńskiej-Nałęcz

Lincz

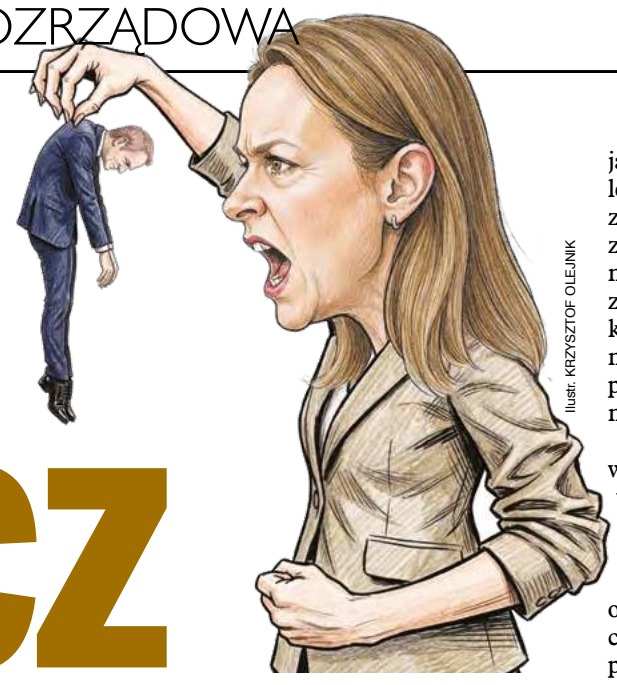

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W genialnym filmie „Królowa”, opowiadającym o spięciu Elżbiety II z ludem po śmierci Diany, jest scena, w której Tony Blair wyjaśnia, czemu próbuje pomóc monarchini: „Poza tym uważam, że jest coś paskudnego w tym, jak wszyscy zaczęli ją zaszczuwać”. I tak, wiem, że fikcyjne zdanie autentycznego zbrodniarza wojennego nie powinno być inspiracją, a Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz to nie Elżbieta II – ale mam podobną emocję. Sposób, w jaki Pełczyńska-Nałęcz jest dziś linczowana przez rządowych polityków i prorządowy komentariat, jest doprawdy paskudny – a ton wyznaczył Donald Tusk ze swoim „krzyżem na drogę” i komentarzem, że „wszyscy, którzy ją poznali, wiedzą, że dobrze się stało”. Dokładnie tak samo pomyślałaby doskonała większość rządu, gdyby Tusk wreszcie zrozumiał, że jego pora nadeszła – ale mówienie tego do kamer znamionuje tragiczny brak klasy.

Cnota kłótliwości

Dla porządku: była ministra funduszy ma mnóstwo wad i powiedziała tonę głupich rzeczy – ale nie za to od początku pracy w rządzie spotykał ją medialny lincz. Prawdziwy grzech Pełczyńskiej-Nałęcz nie polegał na tym, że była nielubiana, konfliktowa czy autorytarna – gdyby tak było, pod pręgierzem ramię w ramię stałby z nią choćby Włodzimierz Czarzasty. Koledzy z rządu i usłużne wobec niego media nie znoszą Pełczyńskiej-Nałęcz za to, że otwarcie stawiała się Donaldowi Tuskowi. I to jako jedyna członkini tego gabinetu – co odnotowuję z żalem, bo chciałabym w tej roli widzieć choćby Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk.

Jeślibyśmy na chwilę założyli, że podstawową cnotą demokraty nie jest wierność Tuskowi, tylko – bo ja wiem – wierność programowi, z jakim szło się do wyborów, postawa Pełczyńskiej-Nałęcz może zacząć wyglądać zupełnie inaczej.

Standardowa zagrywka wobec Pełczyńskiej i jej uporu w walce o różne elementy programu Polski 2050 brzmi mniej więcej tak: takie rzeczy załatwia się w rządzie, a nie wynosi do mediów.

Super. Tylko pytanie: jak idzie załatwianie w rządzie? Czy ktoś jest w stanie pokazać choćby jeden przykład, że któryś z ministrów przyszedł do Kierownika i przekonał go – argumentami merytorycznymi, etycznymi lub zawartością umowy koalicyjnej – żeby coś zrobił albo czegoś zaniechał, wbrew swoim życzeniom? Przypomnę choćby ustawę min. Dziemianowicz-Bąk o Państwowej Inspekcji Pracy, która pozwalała na skuteczną walkę z umowami śmieciowymi, co nie dość, że stanowiło jeden z kluczowych punktów programu lewicy, ale też było zapisane choćby w tzw. kamieniach milowych. Tusk orzekł: „Podjąłem decyzję, żeby nie kontynuować, sprawę uważam za zamkniętą” – a lewica podwinęła ogon i przyjęła ustawę, która dokładnie niczego nie zmienia w sytuacji pracowników na śmieciówkach.

Z drugiej strony, kiedy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz poleciała z ryjem do mediów po wykastrowaniu regulacji najmu krótkoterminowego – nazywając projekt „najgorszą ustawą, jaka wyszła z tego rządu” – ogon podwinął premier. Ostateczny kształt ustawy jest bardzo zbliżony do rozwiązań promowanych przez Pełczyńską – daje wspólnotom i samorządom prawo do blokowania tego typu działalności, tyle że zakazy te będą wchodzić w życie nieco wolniej, niż życzyła sobie tego ministra. A Tusk umywał ręce od pierwotnego projektu tak energicznie, że wręcz nakazał Siemoniakowi zbadanie ewentualnych wpływów lobbingowych na jego kształt. Stało się tak nie dlatego, że premier przedkłada dobro wspólnot mieszkaniowych nad interesy deweloperów i spekulantów nieruchomościami – tylko dlatego, że wywołana przez Pełczyńską afera, a zwłaszcza sposób jej ujęcia („Czyich praw własności bronimy? 99 proc. ludzi, którzy za całe swoje oszczędności kupili mieszkanie do mieszkania, czy 1 proc. tych, którzy na mieszkaniu chcą zarabiać?”) okazały się dla rządu zbyt kosztowne wizerunkowo. Inaczej mówiąc: żeby załatwić coś z Tuskiem, trzeba drzeć ryja. Fakt, że w tym rządzie nie został już nikt, kto byłby gotów to robić – jest złą wiadomością dla nas wszystkich.

Siła nieodpowiedzialności

Zwycięstwem Pełczyńskiej-Nałęcz było też ukręcenie łba platformerskiemu projektowi tuczenia deweloperów poprzez rządowe dopłaty do kredytów hipotecznych. I znów: chciałabym, żeby to lewicy dało się przypisać ten sukces, myślę sobie jednak, że sprzeciw ugrupowania, którego lider ma na sztandarach „bardzo lojalną współpracę z rządem” mógłby nie wystarczyć. Natomiast liderzy Polski 2050 dorobili się etykiety zdrajców: Hołownia, zaprzysięgając Nawrockiego – mimo sugestii, żeby to opóźnił, sam został p.o. prezydenta i podpisał co trzeba – a także spotykając się po nocy z Kaczyńskim u Bielana; Pełczyńska – wrzeszcząc wniebogłosy, jak tylko Tusk na nią krzywo spojrzał, co zdarzało się raczej często. Paradoksalnie ta etykieta zwiększyła ich siłę negocjacyjną.

W odróżnieniu od lewicy, co do której nikt nie ma wątpliwości, że będzie tkwić na rządowym posterunku do końca, niezależnie od jakości rządzenia, za jakie bierze współodpowiedzialność – woluntarystyczna i nieodpowiedzialna formacja Hołowni i Pełczyńskiej-Nałęcz nie dawała takiej gwarancji.

Ta kwestia zresztą pojawiła się w ostatnich dniach. Niektórzy znawcy kulis od razu ogłosili, że Pełczyńska już dawno miała taki plan – na rok przed wyborami wystąpić z koalicji i budować swoją pozycję na krytyce rządu. W podtekście: nie chodziło o żadne „wartości”, to był tylko gambit, który nie wyszedł, bo przy okazji straciła partię. Szymon Hołownia zarzucił jej, że chciała „wyprowadzić partię z koalicji jednoosobowo” – choć sam chwilę później zagroził Tuskowi wyjściem z rządu w odpowiedzi na wiadomość, że premier ma dwie znakomite kandydatki na stanowisko po Pełczyńskiej i żadna z nich nie jest z Polski 2050, której to stanowisko się zgodnie z umową koalicyjną należy. Hołownia dodał nawet nieco zadziornie: „Bez nas nie ma tej koalicji i nie ma tego rządu”. Donald Tusk odparował z Wietnamu, że „oczywiście będzie otwarty i będzie rozmawiał, ale w tej kwestii będzie absolutnie zdeterminowany” i „jest przekonany”, że jego kandydatka „zyska poparcie wszystkich”. I zaraz ze strony Polski 2050 zaczęły dobiegać pokorne sygnały: „Nie wiem, czy stracimy ministerstwo funduszy, bo to są decyzje pana premiera, ale sygnalizujemy, że naturalnym jest, by o tym porozmawiać” – zapiszczała błagalnie wiceprzewodnicząca Tomczak. A kiedy Tusk ogłosił, że ministrem zostanie Agnieszka Bartol, nikt z Polski 2050 już nawet nie piszczał.

Wygląda na to, że Szymon Hołownia – przynajmniej na dzień dzisiejszy, bo tu mu się często zmienia – wybrał drogę łaszenia się do Donalda Tuska. Która jest jedyną drogą na współistnienie z Donaldem Tuskiem, o czym dobitnie przekonała się Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Odwaga awanturnictwa

Styl odejścia Pełczyńskiej-Nałęcz z rządu pozostawia – bezspornie – wiele do życzenia. Rację miał np. wicemarszałek Żywno, który zwracał uwagę na to, że partia dowiedziała się, że nie ma już przewodniczącej – ani ministra – z socjal mediów. Ten sposób pożegnania – a także fakt, że wraz z nią odszedł wyłącznie jej zastępca, wiceminister Szyszko – zdaje się potwierdzać to, co o Pełczyńskiej mówili jej partyjni i rządowi przeciwnicy: że nie umie budować zespołu, źle współpracuje z ludźmi, nie ma zdolności do zawierania kompromisów i nie liczy się z nikim poza sobą. Co oznacza, że nie powinna być szefową partii. Ale kompetencje do kierowania ministerstwem ma niewątpliwie – jej sprawność choćby we wdrażaniu KPO nie jest kwestionowana nawet przez tych, którzy świętują jej odejście z rządu. Nie ukrywam też, że moje lewackie serduszko kibicowało jej w konfliktach z deweloperstwem, banksterstwem i innymi zarazami współczesnego kapitalizmu. No i co tu dużo mówić: jej wypowiedź z ujawnionego przez telewizję wPolsce24 nagrania – że Berek jest politykiem, który bezpośrednio z rządu poszedł do TK, choć nie spełniał nawet kryteriów formalnych – jest prawdziwa, nawet jeśli nikt inny w koalicji nie miał odwagi tego powiedzieć.

W marnym guście był wyrzyg pretensji, który wydała z siebie po odejściu z rządu. Nie mam wątpliwości co do tego, że w gabinecie panuje kultura przemocowa i że odpowiada za nią Donald Tusk – ale to naprawdę nie jest czołowy problem wyborców. Gdyby zamiast opowiadać o tym, jakie afronty ją spotkały osobiście, Pełczyńska skupiła się na merytorycznej krytyce polityki rządu – byłoby to z korzyścią i dla jej wizerunku, i dla jakości debaty publicznej.

Z drugiej strony: pamiętacie, żeby ktoś odszedł z rządu w powodu pryncypiów? Ostatni taki przypadek, który przychodzi mi do głowy, pochodzi z roku 2003, kiedy to Kołodko jebnął papierami po tym, jak Miller powierzył władztwo nad gospodarką Hausnerowi, który kwapił się zaciskać pasa na brzuchach najuboższych i fantazjował o podatku liniowym. To – ośmielam się zauważyć – stawia Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz w dobrym towarzystwie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Jeden dzień z życia Jarosława Józefowicza” – tak mógłby brzmieć tytuł opowiadania Aleksandra Sołżenicyna, gdyby takie napisał o pośle Jarosławie Sachajce.

Nie szkodzi. Nie potrzeba pisarza, żeby pisać historię. Historię posła Sachajki piszą właśnie jego inteligentne okulary. Piszą po chińsku, ale w okamgnieniu mogą przełożyć na wszystkie języki świata. Mogą również zmierzyć tętno, ciśnienie i poziom cukru, a nawet stopień zrzeszotowienia Sachajkowych kości.

Znienacka odezwała się mieszkająca w okularach sztuczna inteligencja: – Jarek nin, standardowe badanie IQ: Jakim potocznym terminem określamy jednokomórkowe grzyby?

– Nie wiem – szczerze odpowiedział Sachajko, czując masochistyczną ekstazę na myśl o tym, że on nie wie, ale jego okulary znają prawidłową odpowiedź na każde pytanie.

– Drożdże.

– Dziękuję – podziękował poseł.

– Jak podziękujesz w języku pangasinan, Jarek nin?

– Nie wiem nawet, że jest taki język – Sachajko nie mógł ukryć ekscytacji.

– To austronezyjski język z grupy filipińskiej – odpowiedziały okulary. – A słowo określające podziękowanie w tym języku brzmi „salamat”.

– A jak będzie po niemiecku? – Poseł bawił się jak dziecko w Smyku w dziale z zabawkami.

– Danke – odparły okulary z akcentem mieszkańca Charlottenburga-Wilmersdorfu.

– Danke – automatycznie podziękował Sachajko, lecz natychmiast się poprawił: – Dziękuję.

– Nie za maco, Jarek nin – powiedziały okulary niepoprawnie.

Trzeba w nich jeszcze to i owo poprawić, ale to naprawdę drobiazgi…

Sachajce wydawało się, że na tym standardowe badanie ilorazu się zakończyło, gdy ni stąd, ni zowąd okulary zawołały: – Ty polski głąbie!

– Słucham?

– Gołąbie! Baranie! Bananie… Owco, owocu! Japoński jeźdźcu! Najeźdźco… Mongolski okupancie! Kupcu, kupo, Kupidynie…

No dobra – pomyślał poseł – nie tylko drobiazgi…

I wprawnym ruchem zresetował okulary.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Szukajcie, a nie znajdziecie

Polowanie na Batyra cd.

Bertold Kittel, gwiazda tefałenowskiego dziennikarstwa śledczego, kiedy odpoczywa zawodowo od telewizora, to pisze sensacyjne książki.

Rok po tym, jak metodą samizdatową wydał pierwszą część „Sutenerów Trójmiasta”, napisał część drugą, dorzucając do tytułu dodatek: „ułaskawienie”. A to, jak powszechnie wiadomo, prerogatywa każdego lokatora Pałacu Namiestnikowskiego, w tym przypadku gdańszczanina Karola Nawrockiego – dra historii, a w przeszłości bramkarza, kibola i uczestnika tzw. ustawek.

Kittel – mimo że w poprzednim dziele poniósł symboliczną porażkę, bo nie znalazł żadnych dowodów na to, że Batyr to typowy uśpiony gangus, który póki co sprytnie skrył swoją ciemną przeszłość – nie ustaje w wysiłkach.

W drugiej części skleja Nawrockiego z zatrzymanym przez CBŚP nie tak dawno Patrykiem M. ps. „Wielki Bu”, z którym prezydent RP czasem się fotografował – ale to jednak słaba poszlaka. Robi to zresztą dopiero na 122. stronie publikacji, podobnie jak to było w pierwszej części książki, wtedy na stronie 129 („NIE”, nr 43/2025).

Najciekawsza u nowego Kittela jest właśnie ta sygnowana w tytule część trzecia pt. „Kto oferował ułaskawienie za łapówkę?”. Tu bohaterem jest biznesman, potomek znanej rodziny gdańskich piekarzy, zaprzyjaźnionych swego czasu m.in. z nieświętej pamięci księdzem Henrykiem Jankowskim. Mateusz P. miał bowiem zaoferować swojemu kumplowi na emigracji w Niemczech ułaskawienie od Nawrockiego za pośrednictwem anonimowych ministrów z jego kancelarii. I w „Sutenerach” możemy sobie poczytać stenogramy z rozmów obu kolegów. I powyciągać samodzielnie wnioski.

Forsa za tę przysługę miała przy tym iść na konto fundacji założonej przez pierwszą damę Martę Nawrocką. A żeby było jeszcze ciekawiej, fundacja ma rachunek w Narodowym Banku Polskim – przypomnijmy, ciągle pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego. Tego, którego uśmiechnięta koalicja co jakiś czas pragnie postawić przed Trybunałem Stanu.

Bertold Kittel nie jest już młody, ale na tyle wciąż zradykalizowany, że prócz polowania na Batyra musiał sięgnąć do powojennej historii kurewstwa nad polskim morzem, a przy tym narzygać na Polskę Ludową.

Milicjanci bowiem, według autora, prócz permanentnego wyrywania paznokci żołnierzom wyklętym, bezwzględnie walczyli też z „mewkami”, zatrzymując je i legitymując pod byle pretekstem. A na dokładkę zmuszali je do cyklicznych badań wenerologicznych, co zdaniem nieuleczalnego antykomunisty Kittela, stanowiło zamach na ich wolność osobistą. Pewnie lepiej by było, żeby zdychały w suterenach z niewyleczoną kiłą.

JMP

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Bertold Kittel, „Sutenerzy Trójmiasta 2. Ułaskawienie”, samizdat, 2026.

eprasa.pl 7ba55b843e

Na marginesie polskich sporów

Niewolnicy granfalonu

Tak się jakoś utarło, że cokolwiek w Polsce się dzieje, zaraz jest upolitycznione, a ściślej: upartyjnione. Nie ma znaczenia, czy idzie o Trybunał Konstytucyjny, paliwa czy aborcję. Jak tak dalej pójdzie, to zwolennicy poszczególnych ugrupowań będą mieć odmienne zdanie co do obowiązującego w Polsce czasu. Bo nie może być tak, że pisowiec, platformers czy braunista będą w czymkolwiek zgodni.

Kiedy Krzysztof Daukszewicz lata temu śpiewał o „jednym narodzie, dwóch plemionach", nie przewidział, że tych plemion i plemionek się namnoży od cholery, a im bardziej im poskąpiono mózgu, tym bardziej rosną im kły i pazury. Warto poświęcić chwilę na zrozumienie diabelskiego mechanizmu, który kładzie się cieniem na polskiej polityce epoki PO–PiS-u, czyli od ponad dwóch dekad. Panie i panowie, oto on – granfalon.

Z Indiany czy nie z Indiany

Pojęcie granfalonu upowszechnił amerykański pisarz Kurt Vonnegut w książce „Kocia kołyska". Jedna z bohaterek, Hazel Crosby, dzieliła ludzi na pochodzących ze stanu Indiana – a zatem postacie wspaniałe i wyjątkowe – i pozostałych, o których nie ma najlepszego zdania. Vonnegut definiuje granfalon jako silne emocjonalnie stowarzyszenie ludzi, które nie jest oparte na żadnych racjonalnych podstawach.

Oczywiście, jeśli jesteśmy – jakkolwiek absurdalnie pojmowani – „my", to muszą być jacyś „oni". Mam ciekawą obserwację socjologiczną. Kiedy w sklepie czy autobusie słucham rozmów ludzi – najczęściej starszych, bo młodsi wlepiają oczy w ekrany smartfonów – uderza mnie ton ich wypowiedzi. Oni czują się swoistym plemieniem „prawdziwych Polaków" czy „liberalnych Europejczyków" i cokolwiek uczynią wodzowie ich grupy, nawet rzecz najpaskudniejszą i idiotyczną, jest to sławione ponad miarę, zaś liderzy drugiej strony to zawsze idioci, kanalie i nieudacznicy.

Kiedyś modne były tandetne męskie koszulki z napisem „Piwo to moje paliwo". Od lat jednak dla rzeszy Polaków, w tym większości przekaziorów, paliwem jest nienawiść. Internetowe algorytmy to tylko podgrzewają.

Jak zaznacza uczony Piotr Łukowski w tekście o manipulacji, „granfalon jako grupa wewnętrzna dla swoich członków ma zazwyczaj właściwą sobie grupę zewnętrzną, składającą się z tych ludzi, których manipulator wskazał swoim zwolennikom, czyli członkom granfalonu, jako tych, do których mają odczuwać nienawiść. Tak naprawdę przygnębia fakt, że ofiary manipulacji rzeczywiście zaczynają odczuwać absurdalną, bo niczym przecież nieuzasadnioną, silną nienawiść do wskazanego przez manipulatora wroga. Na rozkaz manipulatora, a nawet spontanicznie, potrafią go skrzywdzić".

Rzecz w tym, że politycy w swych działaniach co do zasady kierują się interesem własnym, lecz – zgodnie z naukami Niccolo Machiavellego – udają, że są szlachetni i uczciwi. Jednym z najskuteczniejszych narzędzi manipulacji jest dzielenie ludzi, aby nimi skuteczniej rządzić. Do dziś

Ilustr. PAWEŁ FERENC

znaczna część miłośników KO pozostaje w niekłamanym szoku, że wszelkie afery z udziałem Nawrockiego nie przeszkodziły mu rok temu wygrać wyborów. Nie rozumieją, że tu rządzi logika stadionowych bandytów: Legia to pany, Lech to chamy, czy – jak kto woli – na odwrót.

Nawet gdyby naprzeciwko kandydata obozu rządzącego stanął Belzebub we własnej osobie, rogaty, z ogonem i ziejący siarką, dla milionów osób byłby lepszą opcją niż Trzaskowski… Oczywiście jakby PiS wystawił Jezusa Chrystusa, dla platformersów byłby on niestrawny, skażony bowiem pisizmem.

Okrzyki wojenne

Ileż można znieść sloganów, jakimi przerzucają się politycy? Tu można przypomnieć, że słowo „slogan" wywodzi się od angielskiego określenia slaugh-ghairm, które oznacza okrzyk wojenny. Jak zauważa Agata Marciniak w artykule naukowym „Manipulacja a ideologia", „sloganowość komunikowania się przywódcy z członkami granfalonu jest niezwykle istotna z jeszcze jednego powodu. Beztreściowość i lapidarność komunikatu, pobudzając członków granfalonu do działania i angażując ich emocjonalnie, jednocześnie nie wywołuje u nich zbędnej refleksji i nie grozi zaistnieniem dysonansu poznawczego. Wszakże gdyby przywódca granfalonu pokusił się o rozwinięcie swoich tez, niechybnie sprawiłby, że w świadomości członków granfalonu, chcąc nie chcąc, zaczęłyby się pojawiać »zbędne pytania«".

Doszliśmy już do takiego poziomu absurdu i logiki okopowej, że nie ma większego znaczenia, co poszczególni politycy robią. Tusk w wielu sprawach jako premier wszedł w buty PiS-u (przy czym, zgodnie z zasadą bycia bardziej katolickim od papieża, pokazuje, że jest skuteczniejszy niż Morawiecki i Kaczyński), a PiS podnosi tradycyjnie zarezerwowane dla KO postulaty, np. ulżenia rzekomej niedoli przedsiębiorców.

Co gorsza, są kwestie, w których wszyscy przerzucają się pozowaniem na twardych – dla uchodźców, Ukraińców, Polaków niestojących „murem za polskim mundurem" – nie interesując się wcale tym, czy nie jest potrzebna dyskusja o sensownej polityce imigracyjnej, integracji przybyszów ze wschodu czy sensowności wydawania obłędnych środków na armię i jej wyposażenie. Media temu wtórują, ludzie – odcięci od odmiennych, choćby najbardziej racjonalnych, stanowisk i argumentów – potwierdzają w badaniach opinii publicznej słuszność idiotycznych działań.

A gdyby tak pomyśleć?

Kłopot leży też w tym, że polityka staje się działalnością nieodróżnialnych od siebie klik, band złodziejów i nieudaczników, którzy będąc u władzy, zastanawiają się głównie, jak podłożyć drugiej stronie świnię i ją wyrolować. Przekrzyczeć, sponiewierać i co tam jeszcze im do łbów przyjdzie. Byłoby to nawet i czasami zabawne, gdyby nie to, że w ten sposób giną z zasięgu wzroku poważne sprawy, od których zależeć będzie nasza przyszłość.

W wojnie polsko-polskiej nie ma miejsca na próbę zasypania dziury w NFZ. Co więcej, pojawiają się pomysły ograniczenia składek dla przedsiębiorców, choć trzeba jasno powiedzieć, że potrzebna jest podwyżka składki zdrowotnej, która tak naprawdę jest podatkiem zdrowotnym.

Jeśli idzie o ceny paliw, ani rząd, ani opozycja nawet nie zająknęły się, że w tak niespokojnych czasach należy postawić długofalowo na transport publiczny – zarówno w miastach, jak i pomiędzy nimi, w tym rozwój kolei. Nikt nawet nie wspomniał, ile tysięcy ludzi idzie do piachu przez spaliny samochodowe i że traktowanie kierowców prywatnych aut jak świętych krów niszczy tkankę miast i krajobraz poza nimi.

Lada chwila będziemy mieli wysyp emerytów, którzy – zgodnie z reformą systemu emerytalnego wprowadzoną w 1999 r. przez poprzedniczki PO–PiS, Akcję Wyborczą Solidarność i Unię Wolności – będą mieć głodowe świadczenia jako swoistą nagrodę za dekady harówki za marne pieniądze czy pracę na śmieciówkach. Żadna z partii o tym się nawet nie zająknie.

A propos emerytów – społeczeństwo polskie starzeje się w zawrotnym wręcz tempie. Nie ma poważnej rozmowy o tym, są durnowate pomysły, by dosypać ludziom kasy za rodzenie dzieci, ewentualnie karać bezdzietnych podatkowo tzw. bykowym.

Czas położyć chuj na granfalony, czy to opozycyjne, czy to rządowe, i powoli zacząć rozumnie rozwiązywać palące problemy!

KAT

Wicepremier grozi wyłączeniem portalu Muska. Nie strasz pan, nie strasz…

Sflaczały ban Gawkowskiego

Terrorystyczne aspiracje młodych Polaczątek skłoniły aparat państwowy do szukania winnych tego stanu rzeczy. Przed laty wykolejenia wychowawcze zrzucano na karb tzw. złego towarzystwa, chorób psychicznych lub ewentualnie opętania. Jako że współcześnie wszystkiemu jest winien internet, przedstawiciele rządu zagięli parol na cyberprzestrzeń.

Ciebie, Iksie, ciebie, Meto…

Na początku października – jeszcze przed zamachowym grande finale w szkole w Leszczydole-Nowinach – podczas konferencji Cyber24 Days wypowiadał się Krzysztof Gawkowski. Stwierdził, że platformy cyfrowe zbyt luźno traktują literę prawa w kwestii publikowania rozmaitych świństewek, a nakładane na nie kary finansowe są niewystarczające.

– Jeżeli będą pojawiały się sytuacje, w których systemowo będzie naruszane jakieś dobro człowieka, my będziemy te platformy wyłączali. Rozbierasz, prowokujesz, wprowadzasz do obiegu coś, co jest nielegalne w polskim systemie prawnym? To znaczy, że my ci odbieramy prawo, żebyś to robił. Nie w prosty sposób, mówiąc: „Poprosimy cię grzecznie, słuchaj, zdejmij tę treść", ale mówimy: „ciebie, Iksie, ciebie, Meto, ciebie, Facebooku wyłączymy" – grzmiał wicepremier.

W podobnym tonie przemawiał w programie Małgorzaty Rozenek-Majdan „Z bliska", gdzie porównał rozwój internetu do upowszechnienia się papierosów z początku XX w. Stwierdził też, że w ogóle nie boi się tego, żeby wyłączyć X.

W połowie października Gawkowski spotkał się z przedstawicielami największych platform cyfrowych działających w Polsce. Tematem były oczywiście kwestie związane z bezpieczeństwem milusińskich w sieci. Szef resortu cyfryzacji pouczył kierownictwo technologicznych gigantów, że skończył się czas pobłażania. Wspólnie z Radą Ministrów zażądał od platform podjęcia konkretnych kroków: realnej weryfikacji wieku, skutecznej moderacji treści i odpowiedniego przygotowania algorytmów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W spotkaniu zabrakło przedstawiciela portalu Elona Muska. Gawkowski znów wprost stwierdził, że jeśli X się nie dostosuje do nowych wymagań, zostanie w Polsce wyłączony. Podobnie straszył w 2025 r., kiedy na X pojawiła się fala rozbieranych zdjęć, generowanych z wykorzystaniem asystenta AI Groka. O ile nie dziwi determinacja pana ministra, o tyle może dziwić jego nieznajomość prawa krajowego i europejskiego. Rząd nie może sobie, ot tak, wyłączyć portalu w danym kraju. Chyba że mówimy o kraju np. reżimowym.

Dura lex

Platforma X została zablokowana m.in. przez: Chiny, Iran, Koreę Północną czy Turkmenistan. Polski, mimo zapędów ministra Gawkowskiego, nie da się tak łatwo zapisać do tego grona.

W Unii Europejskiej odcinanie dostępu do dużych serwisów internetowych jest ściśle uregulowane przez Akt o usługach cyfrowych (DSA) i nie leży w kompetencjach jednego urzędnika. Całkowite zawieszenie działania portalu społecznościowego to środek ostateczny, którego zastosowanie leży w gestii Komisji Europejskiej.

Unijnego bana wcale nie tak łatwo dostać. Całkowite bądź częściowe zablokowanie usług danego dostawcy cyfrowego jest traktowane jako środek ostateczny w walce z najbardziej rażącymi i powtarzającymi się naruszeniami prawa.

Platformy internetowe mają obowiązek analizować tzw. ryzyko systemowe. W dużym skrócie: właściciel serwisu społecznościowego takiego jak X nie odpowiada za to, co wypisują użytkownicy. Jeśli natomiast dostanie sygnały, że dzieje się tam coś nielegalnego, musi zareagować.

Algorytmy big techów doskonale wiedzą, że np. posty nawołujące do przemocy wywołują ogromne emocje i trzymają ludzi przed ekranami – dlatego portale celowo rezygnują z wyłączania tych rekomendacji. Najzwyczajniej w świecie zarabiają wtedy na reklamach

wyświetlanych obok kontrowersyjnych materiałów. Podobnie dzieje się w przypadku grup ułatwiających dorosłym kontaktowanie się z dziećmi w celach zgoła innych niż opowiadanie bajek. Algorytm serwisu, widząc zainteresowanie użytkowników, poleca treści kolejnym internautom zamiast je blokować, bo generują kliknięcia. W takiej sytuacji wchodzi do roboty DSA – ale nie w ten sposób, że KE naciska wielki guzik z hasłem „wypierdalaj z Europy".

Proces jest ściśle sformalizowany, przebiega według konkretnych kroków i wymaga działań organów sądowych.

Gdy platforma internetowa przegnie pałę, unijne organy (krajowy koordynator ds. usług cyfrowych lub KE) analizują skargi użytkowników oraz audyty, aby potwierdzić problem. Następnie wysyłają do platformy pozdrowienia z żądaniem szczegółowych informacji w sprawie badanego procederu. Gdy platforma wykręca się sianem, wszczynają formalne śledztwo. To obejmuje inspekcje w siedzibie firmy i przesłuchania. Organ kontrolujący może wydać środki tymczasowe, jednocześnie dając technologicznemu molochowi szansę na przedstawienie planu naprawczego. Jeśli serwis dalej będzie miał w cyfrowej dupie przepisy, urzędnicy kręcą finansowy bat w postaci wielomilionowych kar finansowych. W sytuacjach skrajnych mogą zablokować treści platformy.

Zła wiadomość dla ministra Gawkowskiego jest taka, że KE oraz krajowy koordynator są organami administracyjnymi, więc ich decyzje nie są ostateczne. Platforma internetowa ma prawo nie zgodzić się z decyzją urzędników. Jeśli wyżej wspomniane organy nałożą karę finansową (dajmy na to do 6 proc. obrotu) lub wydadzą nakaz zmiany działania, serwis społecznościowy może zaskarżyć tę decyzję do Trybunału Sprawiedliwości UE lub lokalnych sądów. Co istotne, do czasu wyroku wykonanie kary może zostać wstrzymane.

Tyle prawo międzynarodowe, jest jednak pewien niuans.

Teraz Polska

DSA jest unijnym rozporządzeniem – co oznacza, że nie wymaga specjalnego wdrażania do lokalnego prawa, staje się nim automatycznie. Ma identyczną treść i moc prawną w Warszawie, Lizbonie czy Berlinie. Państwa członkowskie są jednak zobligowane do uchwalenia własnych, uzupełniających przepisów technicznych, jak np. wyznaczenie lokal-

eprasa.pl 7ba55b843e

Fletnia Pana Sławomira

Dokąd Mentzen prowadzi młodych fejsbuców i starszych jarząbków

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

W trudnej sytuacji znaleźli się przywódcy Europy, czyli utrwalacze atlantyckiego ładu. Dotychczas jego filarami są amerykański dolar i siła rażenia F-35. Teraz doszły algorytmy Palantira. Wskazują one dowódcom, jak niszczyć wroga; ich skuteczność wypróbował Izrael w Gazie. Coraz trudniej ochronić Europę przed powrotem do historycznej pozycji peryferii Eurazji.

Żałość Europy

Sukces chińskiej gospodarki postawił duży znak zapytania nad polityką gospodarczą prowadzoną od lat w UE. Opierała się ona na kanonach niemieckich ordoliberałów: brak polityki fiskalnej, przemysłowej, bzik na punkcie długu publicznego i deficytu budżetowego.

Okazało się, że albo się rozporządza pieniądzem światowym – i wówczas można bez praktycznych ograniczeń finansować rozwój technologii, które zawsze w końcu mają zastosowania militarne, a na dodatek podkręcają koniunkturę. Albo – jak w Chinach – łączyć umiejętnie sterującą rolę państwa z prywatnym sektorem.

Już w tej chwili moce zainstalowane w fotowoltaice przewyższyły moce elektrowni węglowych. W sytuacji, kiedy chińskie korporacje oferują produkty i nowocześniejsze pod względem technologii, i o mniejszych kosztach energetycznych – co pozostało? Wykorzystać konflikt rosyjsko-ukraiński z ekspansją NATO wokół Rosji w tle. Wykorzystać, by uratować projekt europejski. Którego praprzyczyną – powiedzmy szczerze – była utrata kolonii w Azji i Afryce przez główne europejskie mocarstwa.

Pozostało przytulić się do amerykańskiego giganta i uczestniczyć dalej w eksploatacji niepodległych krajów, ale już w innej formie. Dalej bowiem byłe kolonie dostarczały diamentów, złota, ropy, uranu, kakao… Tylko trzeba było wspierać dyktatorów: w Demokratycznej Republice Konga (Mobutu Sese Seko), w Republice Środkowoafrykańskiej (Jeal-Bédel Bokassa), w Libii, Nigerii, Gwinei – wszędzie, gdzie były tanie surowce i tania praca (szczegóły w książce Paula Kenyona „Ziemia dyktatorów. O ludziach, którzy ukradli Afrykę", wyd. UJ, 2025).

Receptą miała być ucieczka w nowe inwestycje: w energię odnawialną, w elektryki, teraz w zbrojenia i centra przetwarzania danych. W ten sposób władcy Europy próbują zachować oligopolistyczno-finansowy kapitalizm. Ale wcześniej porzucili państwo socjalne. Wydawało im się, że wystarczy oddać gospodarkę prywatnej przedsiębiorczości, a problem jej stagnacji sam się rozwiąże.

Jednak pogarszając warunki zatrudnienia (prekaryzacja, wymuszony B2B), obniżając koszty płac, doprowadzili do strukturalnej słabości: spadku popytu, nadwyżki mocy produkcyjnych, ucieczki w spekulacje finansowe i tanie kredyty konsumenckie. Połowa nadwyżki trafia do rajów podatkowych, by tutaj czyhać na jakieś korzystne lokaty. Rzadko widać ją w realnej gospodarce. Dalszy ciąg to poszukiwanie nowych pomysłów na produkty i technologie, żeby zutylizować ogromną nadwyżkę kapitału pieniężnego. Jego zarządcą stały się banki i fundusze inwestycyjne. Ich symbolem jest teraz Larry Fink i fundusz, którym zarządza – BlackRock.

Kryzysu neoliberalnego kapitalizmu doświadcza pracownik: kiedy czeka w długiej kolejce do lekarza, kiedy musi brać kredyt na mieszkanie, kiedy boi się utraty pracy. Do tego dochodzi coraz droższa energia, a tym samym koszty utrzymania. Jarząbek stał się ofiarą darwinizmu-balceryzmu: niskokosztowej prywatyzacji majątku produkcyjnego „komunistów", niskich płac, podporządkowania sektora publicznego zyskom korporacji, regresywnego systemu podatkowego, transferowania zysków przez korporacje gości. Ale dlaczego zamiast wielkich korporacji, głównie amerykańskich i asekurujących ich polityków, obwinia za swoją sytuację imigrantów, ekologów, Brukselę, marksizm kulturowy?

Smartigrzyska

W tej sytuacji sprzedającym na wolnym rynku swoją siłę roboczą zaoferowano, jak rzymskiemu plebsowi, igrzyska i chleb z mrożonego ciasta. Igrzyska funduje bogata oferta mediów coraz bardziej aspołecznych: począwszy od nastawionej na coraz prymitywniejszą rozrywkę telewizji po cudeńko Jobsa – mały komputerek, a w nim nieprzebrany śmietnik rolek, opinii, virali, a także zasobnik podkastów, komentarzy, gonitwa informacji.

Problem w tym, że trzeba skądinąd mieć wiedzę i ramę interpretacyjną dla tego potoku impresji i sugestii. Kiedy przychodziliśmy do biblioteki, to wiedzieliśmy, że między myślą a rzeczywistością jest otchłań poznawcza. A profesorowie uczyli nas, jak szukać bezpiecznych dróg. Teraz możemy wybierać między Bartosiakiem a Zychowiczem, choć dostępne są podkasty np. Johna Mearsheimera czy Jeffreya Sachsa.

Trzeba znać wcześniej słabości i walory różnych sposobów interpretowania otaczającej rzeczywistości. Inaczej odbiorca staje się ofiarą cudzych fobii, fantazmatów, interesów. Pozwala, by trwał ład, którego sobie nie uświadamia, ale swoimi postawami i decyzjami – głównie wyborczymi – go podtrzymuje. Jego potoczna świadomość uwikłana jest przecież w realia życia codziennego – jak najtaniej zapełnić koszyk zakupów w Biedronce.

Jak pisał wybitny socjobiolog Edward O. Wilson, „jako poszukiwacze mocnych wrażeń tkwimy mocno w epoce paleolitu – bardziej niż era jurajska interesuje nas Park Jurajski, a UFO bardziej niż astrofizyka". A więc wolimy filmy i książki science fiction niż naukę – a najbardziej kochamy pseudonaukowe rojenia. Dlatego świadomość własnego interesu klasowego nie przychodzi sama. Tu potrzebny jest przynajmniej związek zawodowy. A związkowi – przewodnicy w rodzaju Róży Luksemburg czy Samira Amina.

Natomiast chleb i coś do niego pochodzi z taniej pracy Globalnego Południa. Wielkie korporacje agrobiznesu jak Cargill, Bayer, ADM czy Bunge korzystają z milionów hektarów ziem przejętych od dawnych rolników. Tych samych, którzy teraz też obrabiają – jako robotnicy rolni. Dla jednych fabryczne kurczaki, dla innych atlantycki łosoś.

Podobnie rzecz się ma z gadżetami masowej elektroniki. Płace chińskich chłoporobotników wynoszą ułamek zysków big techów obojętnie, czy amerykańskich, czy rodzimych. Szwaczki z Bangladeszu uszyją coś na grzbiet, by nie było goło. Na peryferie trafiają odpadki – elektrośmiecie i modne przez kilka miesięcy ciuchy. Dlatego pracownik stref specjalnych czy zatrudniony w usługach dla biznesu może jakoś związać koniec z końcem. A nachodźcy z Azji czy Afryki służą głównie do tego, by podtrzymać niskie koszty pracy dla polskich Rafałów biznesu.

Reakcyjny bunt

Także wymowni Konfiarze są przyssani do wielkiego cyca globalnych korporacji. Jako freelancerzy wykonują dla nich różne usługi. Korporacja ma z czego wynagrodzić ich lepiej niż szeregowych montażystów w swoich filiach. Czują się dzięki temu prawie jak młodsi bracia Muska. Dlaczego oni mieliby płacić jakieś podatki? Przecież wszystko zawdzięczają sobie…

Edukowali się w Oxfordzie? Dojeżdżali do szkół szosami, które wybudował tata? Kto przez dziesiątki lat finansował badania podstawowe? Wynalazki, które umieścił w jednym cudeńku Steve Jobs, pochodziły właśnie z innowacji poczętych ze wspólnej kasy – o czym od dawna i szeroko pisze ekonomistka Mariana Mazzucato.

Z czego zbudował swoją antyimigrancką epopeję Mentzen?

Przede wszystkim podobnie jak we Francji, Włoszech czy ostatnio w Niemczech, mamy i na polskiej ziemi do czynienia z „reakcyjnym buntem" – tak określają ten fenomen niemieccy autorzy książki o źródłach wyborczego sukcesu AfD. Paradoks polega na tym, że pozornie antyestablishmentowemu nastawieniu wobec elit władzy i bogactwa nie towarzyszy podważanie systemu. A to przecież on zrodził kryzysową sytuację szaraków.

Mentzen kwestionuje zużyty dwublok władzy PO–PiS-u. Podważa efektywność brukselskiej technokracji, zwłaszcza jej politykę energetyczną. Trzeźwo patrzy też na konflikt rosyjsko-ukraiński, choć krytykuje świadczenia socjalne dla Ukraińców (pracujących?). Zarazem zachowuje zespawany z narodową religią tradycjonalizm, przede wszystkim wobec praw kobiet i mniejszości seksualnych. Tradycyjnie także uczynił imigrantów głównym wrogiem spokoju polskiej wsi. Wszak już w średniowieczu pisano w Europie o Mongołach, że „wyglądają jak małpy, szczekają jak psy, jedzą surowe mięso, piją mocz swoich koni, nie znają praw ani miłosierdzia".

Wymownie za to Mentzen broni wolnej przedsiębiorczości. Wara państwu od regulacji biznesu, od okładania podatkami januszeksów i bituberów. Może pojawią się jakieś zastrzeżenia wobec globalnych korporacji czy wielkich banków i funduszy inwestycyjnych – ale nigdy wobec użytku z własności prywatnej.

Wrogiem pożeracz gołębi

Niezadowolenie jego elektoratu jest autentyczne. Jak je wykorzystać w wyborczej socjotechnice? Tu pojawia się niewyczerpane źródło, jakim jest dziedzictwo antropoewolucji zapisane w genach, a konkretnie w tym, co biolodzy nazywają regułami epigenetycznymi. Obejmują one wrodzone prawidłowości rozwoju cech anatomicznych, fizjologicznych, poznawczych i behawioralnych. Należą do nich trybalizm i ksenofobia.

Pierwszy każe myśleć o własnej grupie (teraz narodowej) jako wybranej, otoczonej przez wrogów. Dlatego jej członkowie muszą (bądź powinni) wiele poświęcić na rzecz jej obrony. Bo i milioner, i robotnik są „nasi". Na razie wystarczy popierać wydawanie 20 proc. budżetu państwa na zbrojenia. I zgodzić się, że nam wszystkim zagrażają hordy ludzi zbędnych, na ogół z byłych kolonii Europejczyków – którzy wszak ograbili te ziemie z surowców, a w zamian pozostawili wieloetniczne społeczeństwa.

Natomiast u źródeł ksenofobii leży potrzeba lojalności grupowej. Zaufanie wobec obcych (sąsiednich plemion, przedstawicieli innych kultur i religii, ras) jest towarem niezwykle deficytowym. Tożsamość utrwalają święte symbole i rytuały, cześć dla dat zwycięstw (lub – jak w Polsce – klęsk) w walkach z groźnymi rywalami. Co najgorsze, i trybalizmem, i ksenofobią łatwo manipulować, bo dotyczą podstaw egzystencji: bezpieczeństwa wielkiej i małej ojczyzny. Ach, te spadające drony!

W sumie Mentzen podnosi problemy wynikające z dysfunkcji obecnego stadium kapitalizmu, ale nie proponuje korekty jego kryzysowego mechanizmu, czyli dominacji interesów właścicieli i udziałowców wielkich korporacji: zbrojeniowych, wydobywczych, finansowych, technologicznych, deweloperskich. Opodatkowanie ich dochodów i majątków od czasu reform Reagana i Thatcher stopniowo się zmniejszało.

Nie przeszkadza Mentzenowi fakt, że katedralni ekonomiści nie uwzględniają środowiskowych kosztów radosnego wzrostu gospodarczego. Przede wszystkim pomijają to, co krytyczni badacze nazywają pułapką postępu (R. Wright) czy „zapadkowym mechanizmem postępu" (E.O. Wilson). Chodzi o coraz większe uzależnienie ludzkości od nauki i technologii, bez których życie na planecie staje się coraz mniej możliwe. W ten sposób zaawansowane technologie stają się naszymi protezami.

Polityk staje się zaś marionetką, która chroni pozycję i interesy oligarchii. Polityczny establishment sam stanowi jej cząstkę – poprzez posiadany kapitał akcyjny, nieruchomości, oszczędności w walutach i kryptowalutach.

Także nasi przywódcy – Kwaśniewski, Tusk, Nawrocki – nie na darmo pobierali nauki na sponsorowanym przez Departament Stanu USA kursie International Visitor Leadership Program. Dlatego wszyscy razem nie odrzucają przewodniej roli amerykańskiego szeryfa.

W tym gronie też się znajduje ten biznesmen od siedmiu boleści: doradztwo antypodatkowe, kantor wymiany walut, browar, pub, nieruchomości, kryptowaluty. Ale najważniejsza jest fundacja rodzinna do unikania podatków.

Jak nie kroczysz drogą Janusza biznesu, to głosuj na tych, którzy mogą zapewnić ci drugą pensję w postaci lepszej ochrony zdrowia, wyższej emerytury, dobrej opieki i edukacji dla dzieci, w mieszkaniu nierujnującym domowego budżetu, w czystym środowisku… Tylko czy takich znajdziesz?

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

---

nego urzędu odpowiedzialnego za nakładanie kar – koordynatora ds. usług cyfrowych. W Polsce tymczasowym koordynatorem jest wspomniany prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej, konkretnie Przemysław Kuna powołany na stanowisko w 2025 r.

6 listopada br. wejdzie w życie ustawa, która nada mu pełne prawo do bycia krajowym policmajstrem ds. platform cyfrowych. Oznacza to, że będzie mógł certyfikować niezależne organy pozasądowego rozstrzygania sporów, do których internauci mogą się odwoływać w potyczkach z big techami, badać skargi obywateli na TikToka, Google czy Facebooka i nakładać kary finansowe na niepokorne platformy. Kłopot polega na tym, że dopóki prezydent Nawrocki nie podpisze drugiej ustawy cyfrowej, koordynator nie będzie miał narzędzi do szybkiego blokowania nielegalnych treści.

Przy pierwszej próbie przepchnięcia glejtu, w styczniu br., Nawrocki uznał, że zaproponowane przepisy mogłyby doprowadzić do nałożenia administracyjnego kagańca na internetową wolność słowa, bo właściciel zablokowanej strony wpierw dostałby urzędowego bana, a później miał udowadniać niewinność. Było to efektem luzu decyzyjnego, który Bruksela pozostawiła krajom członkowskim.

22 października sejm przyjął ustawę z poprawkami senatu. W nowej wersji wprowadzono bezpieczniki, które mają zapobiegać cenzurze. Od decyzji nakazujących ograniczenie dostępu do nielegalnych treści będzie można się odwołać do sądu powszechnego, który sprawdzi, czy dana treść narusza prawo. Z tego tytułu nakazy nie będą wykonywane automatycznie przed możliwością ich kwestionowania w sądzie. W szczególnie pilnych przypadkach decyzjom organów może zostać nadany rygor natychmiastowej wykonalności. Chodzi o blokowanie określonych treści na wniosek m.in. prokuratury lub policji w zakresie np. namawiania do samobójstwa, przestępstwa, seksualnego wykorzystywania dzieci itd. Dokument dopiero trafił na prezydenckie biurko i jego dalsze losy są niepewne.

Do tego czasu państwo polskie może co najwyżej blokować w sieci portale propagujące terroryzm, szpiegostwo czy hazard, a i do tego droga jest kręta i wiedzie przez sądy.

Może wicepremier Gawkowski usunął kiedyś przez przypadek aplikację X w telefonie i mu się zamarzyło, żeby obalić Elona Muska po polsku?

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 7ba55b843e

Co z nami robi kampania strachu

Wolni słowem

Wystarczyło kilka dni, żeby Polska stała się krajem, w którym niemal każdy nastolatek z telefonem komórkowym zaczął wyglądać na potencjalnego terrorystę. W piątek 9 października 2026 r. ponad 24 tys. policjantów zajmowało się bezpieczeństwem szkół. Funkcjonariusze skontrolowali niemal 35 tys. placówek oświatowych, zatrzymali 59 osób. Od poprzedniego dnia służby otrzymały ponad 300 zgłoszeń dotyczących potencjalnych zagrożeń. Brzmiało to tak, jakby właśnie wykryto ogólnopolską organizację młodocianych zamachowców.

Tymczasem w Leszczydole-Nowinach 15-latek zabił pracownicę szkoły i zranił dwie nauczycielki, a w Ostrołęce 19-latek zaatakował nożem kolejne osoby. Potem doszło do następnego ataku w warszawskiej placówce oświatowej. Ludzie naprawdę zostali ranni, a jedna kobieta straciła życie. Tego nie da się uznać za internetowy żart. Ale z faktu, że kilku młodych ludzi dokonało rzeczywistych przestępstw, nie wynika jeszcze, że każdy małolat publikujący zdjęcie noża zamierza urządzić szkolną masakrę. Podobnie jak z tego, że ktoś grozi premierowi, nie wynika, iż wszyscy wypisujący w internecie, że najchętniej pozbyliby się rządu, przygotowują zamach stanu.

Groźba niejedno ma imię

Konstytucja jest w kwestii wolności wypowiedzi nader jednoznaczna. Artykuł 54 ust. 1 zapewnia każdemu wolność wyrażania poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji. Nie mówi, że poglądy muszą być mądre, wyważone, zgodne z interesem państwa albo przyjemne dla premiera.

Konstytucja nie daje jednak prawa do wszystkiego. Jej artykuł 31 ust. 3 dopuszcza ustawowe ograniczenia wolności, gdy są konieczne między innymi dla bezpieczeństwa, porządku publicznego oraz ochrony praw innych osób. I właśnie między tymi przepisami zaczyna się problem. Bo napisanie, że premier jest kretynem, pozostaje wyrażeniem poglądu. Oświadczenie, że premier powinien zostać zamordowany, może już stanowić nawoływanie do przestępstwa. Natomiast poinformowanie premiera, że zostanie zastrzelony, może być groźbą karalną.

Kodeks karny przewiduje do trzech lat odsiadki dla tego, kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa, jeżeli groźba wzbudza uzasadnioną obawę, że zostanie spełniona. Kodeks przewiduje również odpowiedzialność za uporczywe nękanie, zmuszanie do określonego zachowania za pomocą przemocy lub groźby bezprawnej oraz publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa. Są to jednak różne czyny. Kto pisze konkretnemu człowiekowi, że go zabije, może odpowiadać za groźbę karalną. Kto publicznie zachęca innych do zamordowania tego człowieka, może odpowiadać za nawoływanie do zbrodni. Natomiast ktoś, kto gromadzi materiały wybuchowe, opracowuje plan zamachu i organizuje ludzi do jego przeprowadzenia, może już odpowiadać za czyny znacznie poważniejsze niż samo wypowiadanie niebezpiecznych słów. Problem zaczyna się wtedy, gdy w publicznym przekazie groźba, nawoływanie, przygotowanie przestępstwa i zwykła głupota stają się niemal synonimami.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Zamachowiec z klasowego czatu

W jednej z warszawskich szkół ponadpodstawowych na Pradze-Południe uczeń napisał na klasowym czacie, że zamierza kupić pistolet albo wiatrówkę i zaatakować nauczycielkę historii. Autor wpisów od kilku dni nie przychodził na lekcje, co zapewne nie poprawiało samopoczucia zagrożonej nauczycielki. Strażnicy przekazali sprawę policji. Inspektor Piotr Płoński z VII Oddziału Terenowego Straży Miejskiej stwierdził: „Nawet jeśli to tylko głupi żart, takich sygnałów nie można lekceważyć". Z informacji nie wynika, aby chłopak posiadał pistolet, wiatrówkę albo podjął przygotowania do zakupu broni. Nie ma zatem podstaw, by obwieszczać, że udaremniono zamach na nauczycielkę historii.

Jeszcze ciekawiej było w Bartoszycach. Tam dyrektorka szkoły podstawowej zauważyła na internetowym profilu ucznia zdjęcie noża opatrzone niepokojącym wpisem. Funkcjonariusze przyjechali do szkoły i zatrzymali autora publikacji. Miał 11 lat. W jego plecaku znaleziono przedmiot przypominający nóż. Po sprawdzeniu okazało się, że jest atrapą.

W tym samym czasie w Szczytnie zatrzymano 16-latka, który miał opublikować nagranie zawierające groźby wobec osób związanych ze szkołą ponadpodstawową. W Ełku funkcjonariusze zajęli się 17-latkiem podejrzewanym o zapowiedź zaatakowania innych uczniów. W Jaworze zatrzymano kolejnego 16-latka, bo zamieścił niepokojący wpis dotyczący użycia noża. W przytoczonych publikacjach nie przedstawiono jednak dowodów, że nastolatkowie rzeczywiście przystąpili do realizacji zamachów.

Terrorysta od klawiatury

Nie wszystkie internetowe groźby można jednak sprowadzić do nastoletniej głupoty. Sprawa 66-letniego Krzysztofa N. z Wrocławia wyglądała znacznie poważniej. Mężczyzna groził zamachem na Tuska i Kosiniaka-Kamysza, miał nawoływać do siłowego obalenia władz i poszukiwać ludzi zainteresowanych takim przedsięwzięciem. Według prokuratury wokół niego zgromadziło się kilkaset osób. Podczas przeszukania mieszkania znaleziono kilkanaście przedmiotów przypominających improwizowane urządzenia wybuchowe, w tym petardę hukową zawierającą metalowe kulki, jak też sprzęt informatyczny oraz materiały dotyczące kontaktów podejrzanego. Facetowi przedstawiono dziewięć zarzutów. Za najpoważniejszy grozi mu do 15 lat za kratami.

Tym razem trudno mówić wyłącznie o głupim wpisie. Bo czym innym jest napisanie, że rząd należy obalić, a czym innym gromadzenie przedmiotów mogących służyć do przeprowadzenia zamachu. Prokuratura podejrzewała również Krzysztofa N. o propagowanie przemocy, nawoływanie do przestępstw motywowanych narodowością, rasą lub poglądami politycznymi oraz propagowanie wojny napastniczej. Według śledczych mężczyzna miał tworzyć organizację składającą się z kilku oddziałów. Bo państwo ma obowiązek powstrzymać nawet nieudolnego zamachowca. Nie ma jednak prawa zastępować dowodów efektowną opowieścią o jego możliwościach.

Jeszcze większe możliwości kodeksu karnego pokazała sprawa 23-letniego Mikołaja T. z Tomaszowa Lubelskiego. W sierpniu facet zamieścił na internetowej grupie poświęconej broni palnej wpis dotyczący możliwości zorganizowania zamachu na kilkunastu polityków największych ugrupowań. Miał poszukiwać osób gotowych do współpracy. Zapuszkowano gościa, ale nie znaleziono niebezpiecznego arsenału. Podejrzany się przyznał, ale twierdził, że nie zamierzał nikogo skrzywdzić, a wpis opublikował „z głupoty", bo nie podoba mu się dominacja największych ugrupowań politycznych. Mimo to sąd zastosował wobec niego 30-dniowy areszt na podstawie przepisów związanych z przeciwdziałaniem terroryzmowi.

Bo polski kodeks karny nie karze przygotowań do każdego przestępstwa. Przygotowanie zachodzi, gdy sprawca w celu popełnienia czynu zabronionego podejmuje czynności mające stworzyć warunki do jego dokonania. Może więc opracowywać plan działania, gromadzić środki, zbierać informacje albo wchodzić w porozumienie z innymi osobami.

Nie wystarczy zatem, że policjant lub prokurator nazwie internetowy wpis przygotowaniem. Trzeba jeszcze to wykazać, co z punktu widzenia propagandy policyjnego sukcesu jest znacznie mniej wygodne.

Powódź pod paragrafem

Najbardziej pouczająca jest jednak historia Sebastiana T. z Lądka Zdroju. We wrześniu 2024 r., podczas powodzi, 22-latek zamieścił na Facebooku wpis krytykujący działania państwa i Telewizji Polskiej. Pisał o niedostatecznej pomocy, braku ciężkiego sprzętu, niewystarczającej obecności

Transfuzja z zastrzeżeniem

Niewierzący z Ordo Iuris

Biuro Demokracji, Praw Człowieka i Pracy Departamentu Stanu USA ogłosiło nowy projekt grantowy: „Więzi cywilizacyjne, odporność demokracji i praworządność w Europie". Oficjalna wersja głosi, że celem programu jest wzmacnianie relacji transatlantyckich i ochrona wolności wypowiedzi. Trudno jednak nie zauważyć, że program pojawił się w momencie, gdy w wielu krajach europejskich w ciągu najbliższych dwóch lat odbędą się wybory, a jak wiadomo, administracja prezydenta Donalda Trumpa bez krępacji puszcza oko w stronę europejskich ugrupowań prawicowych i populistycznych.

W ramach inicjatywy Waszyngton zamierza przeznaczyć m.in. co najmniej 25 mln dol. na wsparcie europejskich organizacji pozarządowych i think tanków, których działania są zbieżne z agendą konserw ruchu MAGA. Amerykański Departament Stanu uruchomił w tym celu konkurs składający się z trzech głównych grantów o wartości blisko 3 mln dol. każdy. Kasę można zgarnąć za promowanie wartości cywilizacyjnych, suwerenności i praworządności, o ile wspomniane cnoty wykuto na prawicową modłę.

W procesie selekcji beneficjentów kluczową rolę odegrał konserwatywny think tank Heritage Foundation, który doradzał amerykańskim władzom w procesie identyfikacji europejskich potworków wyznających podobne wartości. Co ciekawe, HF to obecnie najważniejszy amerykański partner Instytutu Ordo Iuris. Katoliccy fundamentaliści regularnie prezentują mu swoje raporty i współpracują z organizacją przy tworzeniu alternatywnych projektów politycznych dla Europy. Chęć odebrania fundamentalnych praw człowieka kobietom, osobom LGBT i migrantom idealnie wpisuje się w narrację amerykańskiej prawicy – nie dziwi zatem, że i Ordo Iuris dostało zaproszenie na kawałek grantowego tortu, ale odmówiło. Powody tej decyzji wyłuszczył prezes instytutu Jerzy Kwaśniewski i niechcący wystawił chujową laurkę samemu Trumpowi.

Druczki i kruczki

W przesłanym do sympatyków instytutu newsletterze Kwaśniewski przyznał, że kilka miesięcy temu skontaktowali się z nim amerykańscy partnerzy ze Stanów Zjednoczonych i poinformowali o otwarciu programu finansowania wybrańców. „Przez lata poprzednie amerykańskie administracje finansowały wiele europejskich organizacji LGBT czy aktywistów proaborcyjnych. Teraz administracja Donalda Trumpa postanowiła przekazać te pieniądze na organizacje, które nie atakują, a bronią fundamentalnych wartości naszej cywilizacji" – napisał mecenas Kwaśniewski i podkreślił, że Ordo Iuris przetarło już szlaki walki z lewicowymi nieprzyjemnościami, więc na robocie się zna. Każdy z grantów oznaczałby konkretną kasę. Wedle luźnych wyliczeń speców z Ordo Iuris przez kilkanaście miesięcy instytut mógłby szarpnąć od Amerykanów łącznie ponad 11 mln zł. Suma nie w mąkę pierdział. Zachęcony przez partnerów z Waszyngtonu prezes, po wstępnej lekturze założeń programu grantowego, zwołał posiedzenie Zarządów Ordo Iuris i Centrum Życia i Rodziny w celu zebrania uwag ekspertów.

Tu warto się na chwilę zatrzymać. Instytut od początku działalności nie przyjmuje żadnych publicznych grantów i dotacji: krajowych ani zagranicznych. Utrzymuje się prawie wyłącznie z prywatnych darowizn. 95 proc. z nich pochodzi od polskich darczyńców, reszta głównie od Polonii z USA i Kanady. Naturalnie inne fundacje i stowarzyszenia powiązane personalnie lub założycielsko z działaczami OI – np. Stowarzyszenie im. Ks. Piotra Skargi czy pożenione z nimi fundacje edukacyjne – chętnie korzystały z państwowego paśnika w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy, ale oficjalna narracja Ordo Iuris opiera się na argumencie, że niezależność finansowa pozwala działać zarówno przy prawicowych, jak i lewicowych rządach. Idee ideami, ale jak powiedział cesarz Wespazjan, pecunia non olet. Z tego też tytułu konserwy znad Wisły postanowiły się nad ofertą pochylić.

Narodowi interesanci

„Wiele wskazywało na to, że ryzyka są niewielkie, a korzyści istotne. Bo przecież za te pieniądze moglibyśmy robić dokładnie to, co robiliśmy do tej pory – tylko w znacznie większej skali" – tłumaczył pokusę chęci porzucenia obranego kursu Kwaśniewski. Niestety, dogłębna analiza oferty wykazała, że: „szczegółowe i w pierwszej chwili trudne do dostrzeżenia postanowienia regulaminów i aktów prawnych zastrzegają Departamentowi Stanu USA prawo do współdecydowania o treści badań, analiz i projektów finansowanej organizacji". Tę żabę nadwiślańskie konserwy pewnie by jeszcze jakoś łyknęły, kłopot polega na tym, że w gąszczu zapisów odnotowano, że odbiorca grantu musi wykonywać wszystkie przyszłe zarządzenia wykonawcze prezydenta USA. Co gorsza, negatywna ocena działań mogłaby się wiązać z utratą środków, a nawet żądaniem zwrotu tych już wypłaconych.

„Choć Prezydent Donald Trump w wielu swoich działaniach związanych z obroną życia czy walką z ideologią gender zasługuje niewątpliwie na uznanie i wsparcie – nie możemy przecież podporządkować jego urzędnikom działalności organizacji, której tak ważnym celem jest obrona polskiej suwerenności

i wierność polskiemu interesowi narodowemu" – nakreślił prezes Ordo Iuris i zaznaczył, że gdy wysyłał odmowę do Waszyngtonu, kamień spadł mu z serca. Cóż za haniebny brak chrześcijańsko-prawicowej lojalności!

Farbowana niezależność Ordo Iuris rozbija się o co innego i jest to w sumie dobry prognostyk. „Trzeba też pamiętać o tym, że gdy w Stanach Zjednoczonych dojdzie do zmiany władzy, my nadal bylibyśmy związani umową, w której zgodziliśmy się popierać wszelkie zarządzenia amerykańskiej administracji…" – można przeczytać w mailu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Skurcze przepowiadające

Istotnie: druga kadencja Donalda Trumpa kończy się w styczniu 2029 r.; konstytucyjnie nie może ubiegać się o trzecią. Co prawda w debacie publicznej pojawiają się spekulacje i luźne wypowiedzi samego polityka na temat dalszego sprawowania wpływu lub szytych na lewo scenariuszy obejścia przepisów, ale oficjalny koniec pomarańczowej mordęgi w Białym Domu przypada za nieco ponad dwa lata.

Jeśli w 2028 r. wygraliby i utrzymali władzę republikanie, nowa administracja – dajmy na to Vance'a – może mieć nieco odmienne od obecnych priorytety, ale bez przesady… Gorzej, jeśli wygrają demokraci, wtedy prawicowa dupa zimna. Finansowa smycz zamieni się w bat. Ba, wiele wskazuje, że troski Kwaśniewskiego i przyjaciół nie są wcale bezpodstawne.

eprasa.pl 7ba55b843e

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

służb oraz uzbrojonych szabrownikach. Wpis zainteresował Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości. Facet został zatrzymany, funkcjonariusze zabrali mu telefon, a następnie przesłuchali go jako świadka. Nie przedstawiono mu żadnych zarzutów. Wpis nie zawierał zapowiedzi zabójstwa premiera, nauczyciela ani kogokolwiek innego. Sprawa zaś pokazuje, że zainteresowanie policji internetowymi wypowiedziami nie musi ograniczać się do gróźb przemocy.

A to już prowadzi do pytania znacznie poważniejszego niż ustalenie, czy 11-latek z Bartoszyc miał prawdziwy nóż. Kto mianowicie ma decydować, że chroniona ponoć konstytucyjnie wypowiedź obywatela jest dezinformacją, i czy samo rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o działaniach władz stanowi przestępstwo?

Bo samo stwierdzenie, że ktoś napisał nieprawdę, nie wystarcza do uznania go za przestępcę. Gdyby było inaczej, policja musiałaby regularnie odwiedzać biura prasowe ministerstw i gabinety polityków. Bo trudno znaleźć środowisko, w którym fejki rozpowszechnia się równie często jak w polityce. Nade wszystko zaś fejki mające straszyć społeczeństwo. To dlatego, że jak się dobrze postraszy, to można wykazywać, że państwo działa, chroni i nie pozwoli. Zarówno gdy chodzi o zamachowców, szkolnych nożowników, jak i wojska Putina.

TOMASZ BOROWIECKI

Na początku listopada w Stanach Zjednoczonych odbędą się wybory zwane po polsku nieco dwuznacznie połówkowymi. Sondaże wykazują wyraźny wzrost poparcia dla Partii Demokratycznej, która ma dużą szansę na przejęcie kontroli nad obiema izbami Kongresu. Demokraci zaczęli realnie zagrażać republikanom nawet w stanach, w których Trump przed dwoma laty wygrał z dwucyfrową przewagą. Wskutek wojny z Iranem i niezadowolenia Amerykanów z rosnących kosztów życia notowania Trumpa są tak niskie, że coraz więcej republikańskich kandydatów dystansuje się od polityki Białego Domu. Członkini Izby Reprezentantów Young Kim z Kalifornii po prawyborach usunęła ze strony swojej kampanii logo „America First" oraz odniesienia do Trumpa. Podobne zmiany odnotowano w kampaniach innych republikanów walczących w wyrównanych okręgach. Przykra sprawa.

„Wraz z nową perspektywą budżetową UE w życie wejdą programy (…), w ramach których liberalne organizacje demokratyczne czy media obywatelskie (takie jak choćby OKO.press) będą mogły sięgać po niemal 9 mld euro. Jeżeli zasoby organizacji patriotycznych nie wzrosną, lewica już za rok dysponować będzie 36 razy większym budżetem niż strona suwerennościowa" – żali się dalej w mailu Kwaśniewski i uprawia żebry przed swoimi wyznawcami.

Przeświadczenie graniczące z pewnością nakazuje sądzić, że apetytu Ordo Iuris na tłuste amerykańskie miliony nie pohamowały honor i polerowana do połysku rzekoma autonomia, a wizja rychłego zmierzchu aktualnego lokatora Białego Domu i wypłoszy z ruchu MAGA. Ryba psuje się od głowy, a pierwszy smród wyszedł od nieszczelnej konserwy. To bardzo dobra wiadomość.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Nie na własność

Bajka o mediach publicznych

Debata o mediach publicznych grzęźnie w Polsce w fałszywej alternatywie. Albo telewizja i radio pozostają instytucjami państwa – a więc w praktyce zapleczem każdej kolejnej większości – albo zostawiamy je rynkowi i uznajemy, że niezależność mierzy się liczbą właścicieli oraz reklamodawców. Oba rozwiązania są wygodne dla tych, którzy mają władzę nad pieniędzmi. Żadne nie tworzy mediów publicznych.

Warunki niezależności

Publiczny charakter nie jest formą własności. Jest statusem instytucji, która ma służyć obywatelom, a nie właścicielowi, ministrowi czy rynkowej koniunkturze. Państwo powinno taki status ustanowić, chronić prawem i sfinansować. Nie może jednak mieć prawa co cztery lata podmieniać kierownictwa, linii redakcyjnej serwisów i listy osób wpuszczanych do studia. Wybory są mechanizmem wyłaniania władzy wykonawczej. Nie powinny dostrajać i podporządkowywać sobie według własnego widzimisię ani sędziów, ani dziennikarzy. Nie są licencją na przejęcie infrastruktury informacyjnej społeczeństwa.

Trzeba więc przestać mówić o „odpolitycznieniu" – tak jakby chodziło o wymianę ludzi na mniej dyspozycyjnych, a bardziej „przyzwoitych". Problem nie ma charakteru obyczajowego. Ma charakter ustrojowy. Dopóki rząd może rozstrzygać o pieniądzach, nominacjach i technologicznej widoczności mediów, dopóty każda zapewniana przez niego niezależność jest odwoływalna jednym głosowaniem.

Media mogą być publiczne – czyli należeć do wszystkich obywateli – tylko wtedy, gdy ich niezależność zostanie zabezpieczona równocześnie finansowo, strukturalnie i programowo. Wystarczy, że jeden z tych filarów pozostanie w rękach aktualnej większości, a dwa pozostałe staną się tylko ozdobą. „Niezależna" redakcja utrzymywana z budżetowej łaski będzie bardzo ostrożna. Najlepszy statut nie pomoże, jeśli zarząd można wymienić decyzją polityczną. Nawet zaś stabilne finanse i dobry zarząd nie wystarczą, jeżeli nikt poza politykami nie rozlicza redakcji z realizacji misji.

Nie chodzi przy tym o zbudowanie instytucji poza demokracją. Przeciwnie. Chodzi o to, aby nie odpowiadała ona przed jednym ośrodkiem władzy, lecz przed społeczeństwem w jego rzeczywistej różnorodności. Media publiczne mają być czwartą władzą właśnie dlatego, że nie są wydziałem żadnej z trzech pozostałych. I krytycznie ważne jest, kto jest właścicielem publicznego medium. Jeśli ma być publiczne – nie może być własnością akcjonariuszy czy udziałowców. Ma być własnością społeczeństwa.

Pieniądz, którego nie można cofnąć za krytykę

Największą wadą finansowania coroczną dotacją budżetową nie jest nawet to, że minister jej nie przyzna. Groźniejsza jest świadomość, że może. Redakcja nie potrzebuje telefonu z ministerstwa. Wystarczy perspektywa przyszłorocznej uchwały, aby nacisk zaczął działać, zanim ktokolwiek go wyrazi. Dlatego źródło finansowania powinno być powszechne, stabilne, ustawowo wyodrębnione i automatycznie waloryzowane. Może to być opłata audiowizualna – abonament związany z gospodarstwem domowym. Może to być też udział w podatku osobistym PIT, o ile środki trafiają do odrębnego funduszu i nie podlegają corocznemu targowi budżetowemu. Drugim dopuszczalnym rozwiązaniem jest finansowanie z budżetu ustalone z góry na pięć lub siedem lat, poza rytmem wyborczym, z obowiązkową waloryzacją. W obu przypadkach decyzja polityczna musi dotyczyć reguły, nie bieżącej uległości redakcji.

Modele skandynawskie i niemiecki pokazują, że pobór przez aparat podatkowy nie musi oznaczać zależności od rządu. W Szwecji opłata na media publiczne jest pobierana wraz z podatkiem, ale trafia na osobny rachunek przeznaczony wyłącznie dla mediów publicznych. W Niemczech opłata gospodarstw domowych finansuje radio, telewizję i usługi internetowe, a jej poziom jest poprzedzany oceną niezależnej komisji ekspertów. To nie są systemy wolne od sporów politycznych. Są jednak skonstruowane tak, aby sporów tych nie rozstrzygano corocznym szantażem finansowym.

Z tego samego powodu reklama powinna być zakazana albo ograniczona do skali, która nie rozstrzyga o charakterze programu. Pisałam już o tym, że reklamy mogłyby nie istnieć. Szczególnie w mediach publicznych, ale zdaję sobie sprawę, że nie jest kwestią estetyki, czy między informacją a kulturą stoi blok reklamowy. Jest kwestią tego, czy o czasie antenowym i zasobach redakcji decyduje misja, czy zdolność do sprzedawania reklam, czyli masowej uwagi. Media publiczne nie powinny konkurować z prywatnymi w wyścigu po tę samą reklamową walutę.

Społeczny mandat zamiast partyjnego parytetu

Najtrudniejsza kwestia zaczyna się przy pytaniu, kto ma mianować władze mediów. Odpowiedź oczywista: nie zwycięzca wyborów. Nie wystarczy jednak powiedzieć, że zrobi to parlament. Parlament – zwłaszcza podejmując decyzję zwykłą większością – może przejąć media równie skutecznie jak minister. Z kolei prosty podział miejsc między partie prowadzi do modelu, w którym pluralizm oznacza podział wpływów, a nie niezależność.

Rys. OBYWATEL JANEK

Potrzebny jest parytet społeczny, nie partyjny. Kandydatów do władz mediów publicznych powinny zgłaszać i opiniować środowiska dziennikarskie, akademickie, organizacje obywatelskie, związki zawodowe, instytucje kultury oraz organizacje reprezentujące mniejszości. Nie jako reprezentantów korporacyjnych interesów, lecz jako osoby o jawnych kwalifikacjach. Warto też przemyśleć koncepcję pochodzącego z losowania obywatelskiego panelu: nie polityków, nie fachowców, tyko autentycznych „udziałowców" – czyli po prostu obywateli.

Z kolei parlament mógłby zatwierdzać skład władz większością dwóch trzecich, po publicznych wysłuchaniach. Kadencje powinny być dłuższe od kadencji sejmu i odnawiane częściowo, aby jedna wyborcza noc nie mogła wymienić całego systemu. Odwołanie członka rady nadzorczej czy zarządu przed końcem kadencji powinno następować wyłącznie z przyczyn zamkniętych w ustawie, z możliwością kontroli sądowej. Władza publiczna zachowałaby demokratyczną legitymację, lecz straciłaby prawo do traktowania mediów jako łupu.

To nie jest egzotyczny postulat. Europejski Akt o Wolności Mediów nakazuje państwom członkowskim tworzyć warunki niezależnego funkcjonowania mediów publicznych, w tym zabezpieczenia dotyczące finansowania oraz zasad powoływania i odwoływania ich władz. Polska nie potrzebuje zatem wymyślać demokracji od nowa. Musi przestać używać europejskich standardów tylko jako dekoracji do krajowej praktyki.

Misja rozliczana przez lud

Brak podległości wobec polityków i reklamodawców nie zwalnia mediów publicznych z odpowiedzialności. Przeciwnie, właśnie ona czyni tę odpowiedzialność możliwą. Ale jej dysponentem nie może być minister kultury ani partyjny nadzorca. Powinna nim być niezależna rada powiernicza, w której obok osób mających kompetencje i publiczny dorobek mogliby zasiąść także obywatele wyłaniani losowo na ograniczone kadencje.

Taka rada nie może zamieniać się w zbiorowego redaktora naczelnego. Nie powinna ingerować w pojedynczy materiał, ustalać listy gości ani wydawać dziennikarzom instrukcji. Jej zadaniem jest ocena, czy cała instytucja wykonuje swoją misję, czy pluralizm jest realny, czy interes grup najsilniejszych nie wypiera innych doświadczeń i czy publiczne pieniądze służą społeczeństwu.

Do tego potrzebna jest Karta Misji Publicznej. Nie katalog pobożnych życzeń, lecz dokument zawierający sprawdzalne zobowiązania: udział programów edukacyjnych i kulturalnych, obecność spraw lokalnych, dostępność dla osób z niepełnosprawnościami, rzetelną informację, języki i doświadczenia mniejszości, dziennikarstwo śledcze, debatę opartą na wiedzy. Jej wykonanie powinien badać niezależny audyt, którego raport jest publiczny i podlega debacie w parlamencie, lecz nie zatwierdzeniu przez rząd.

Wewnętrzne standardy etyczne muszą chronić przede wszystkim autonomię redakcji. Oddzielać informację od wolnego, ale odpowiedzialnego komentarza, wymagać ujawniania konfliktów interesów, zapewniać prawo do sprostowania i skuteczną drogę skargi. Obowiązek przedstawiania różnych stron sporu nie oznacza mechanicznej równości pomiędzy wiedzą a fałszem. Bezstronność nie polega na neutralizowaniu faktów, lecz na uczciwym przedstawianiu tego, co jest sporne, i tego, co sporne nie jest.

Pożyteczna polityka

Warunkiem dotarcia do publiczności jest widzialność. To zadanie dla władz – wprowadzenie prawem zasady „prominence". Zasada ta nie jest przywilejem dla nadawcy. Jest współczesną formą gwarancji powszechnego dostępu na wszystkich kanałach rozpowszechniania informacji. Brytyjski Media Act z 2024 r. wprowadził dla wyznaczonych platform telewizyjnych obowiązki zapewnienia usługom mediów publicznych dostępności, odpowiedniej widoczności i łatwego odnalezienia. W Polsce podobna zasada powinna objąć telewizory podłączone do sieci, kablówki i platformy streamingowe. Nie chodzi o promowanie treści wskazanych przez rząd. Chodzi o to, aby niezależne media publiczne nie były technicznie zdegradowane przez producenta urządzenia, globalną platformę albo właściciela systemu. W epoce, w której pierwsza ikona jest ważniejsza od częstotliwości, widzialność stała się częścią wolności informacji.

Nie istnieje model, który usunie politykę z mediów. I nie powinien istnieć, bo spór o cele wspólne jest częścią polityki. Nie pozbędziemy się polityką medialną kapitalizmu. Można jednak usunąć możliwość prostego podporządkowania mediów temu, kto właśnie zdobył władzę

i stworzyć alternatywę wobec prywatnych nadawców, dbających głównie o swoje dochody. Temu służą stabilne pieniądze, niepartyjny sposób powoływania władz, społeczna kontrola misji i gwarancja cyfrowej widzialności, a także uwolnienie widza od obowiązku oglądania potężnych bloków reklamowych i horroru pisanych dla wierszówki tekstów nie do przeczytania, bo połamanych dziesiątkami reklam.

Dopiero wtedy media staną się publiczne w sensie poważnym: nie państwowe, nie prywatne i nie do przejęcia na własność po każdych wyborach.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 7ba55b843e

GADMAN

Mop Kaczyńskiego

Nie będziemy się głaskać

Rys. MARCIN CHUDZIK

„Ustaliśmy na nogach, ja mam też poczucie, że ustałem, i teraz wreszcie znów idziemy do góry". Rzecze tak kandydat prezesa Kaczyńskiego na premiera przyszłego rządu prawicy.

A ponieważ mówi to w tygodniku „Sieci", najbardziej propisowskim w Polsce, i do dyktafonu obsługiwanego przez Jacka Karnowskiego, największego w Polsce prokaczyńskiego lizusa, to nie oczekujmy tam choć cienia polemiki. Tytułowany też „profesorem" poseł Przemysław Czarnek za to mówi tam, co tylko chce. I czasem szczerze nawet, bo wie, że do swoich przemawia.

Nóż w plecach

„Gdyby nie rozłam, dziś bylibyśmy na czele sondaży", wzdycha kandydat na premiera. Ale od kiedy morawiecki Rozwój Plus wbił Prawu i Sprawiedliwości nóż w plecy, to partia Kaczyńskiego oddała sondażowe przodownictwo wrażemu Tuskowi.

Czarnek udaje, że nie wie, dlaczego morawieccy nożownicy z PiS wyszli.

„Nikt ich nie wypychał", przekonuje przekonanego Karnowskiego.

Decyzję rozłamowców określa elegancko jako „tchórzostwo, które jest dla mnie zagadką. Przecież tam są także normalni, światli ludzie, wielu moi przyjaciół. Którzy widzą nieszczęście Polski pod rządami Tuska. A mimo to postanowili zaryzykować w imię własnego ego, własnych ambicji, przyszłość Polski".

Przenikliwy Czarnek zauważa, że pojawiło się u nich poczucie „lepszości": coś takiego, co miała Unia Wolności. Przekonanie, że są mądrzy i mają rację. Ale z tej „lepszości" wyszła zdrada.

A przecież wielokrotnie zachęcał Morawieckiego do współpracy.

Mówił: Mateuszu, „możemy łowić z tej samej łodzi: ja na prawo, ty na lewo". Sukces mieliby gwarantowany. Zwłaszcza że Karnowski podrzucałby im swoje „Sieci".

Ale stało się. Może i dobrze, bo przecież to Morawiecki obciążał PiS i prezesa Kaczyńskiego. To przecież Morawiecki wprowadził zły system podatkowy. Do dziś przez wyborców PiS pamiętany.

„Nigdy już nie pozwolimy, żeby ktoś w naszym imieniu wprowadził system tak skomplikowany, że niemal nikt go nie rozumie", obiecuje teraz Czarnek.

I dodaje, że morawiecki Rozwój Plus jest niereformowalny jak stare niemieckie CDU. A obecny PiS to coś nowego na polskiej scenie politycznej, jak AfD u Niemców.

Ratujmy Polskę

„Polskę trzeba ratować", powiedział prezes Kaczyński. Dlatego Czarnek, jego kandydat na premiera, rusza Polsce na ratunek.

Będzie dalej bronić Trybunału Konstytucyjnego przed spodziewanym atakiem tuskowców. „Posłowie Prawa i Sprawiedliwości – jako jedyna partia opozycyjna – dyżurujemy przed Trybunałem Konstytucyjnym", przypomina.

Sugerując, że w tym czasie liderzy konkurencyjnych partii prawicowych wylegują się na ciepłych kanapach.

Dostępu do trybunału broni też Bogdan Święczkowski. „Człowiek o niezwykle silnej woli i stalowych nerwach".

„Jednostka ma znaczenie. Jednostka może zmienić bieg dziejów", zauważa filozoficznie profesor Czarnek.

Oprócz Trybunału Konstytucyjnego aktyw PiS zamierza bronić też prezesa Narodowego Banku Polskiego profesora Adama Glapińskiego.

„Przed NBP stanie jeszcze więcej Polaków", przewiduje profesor Czarnek, „bo tam jest 650 ton polskiego złota, bo tam są nasze rezerwy walutowe warte 1 bln zł – nie pozwolimy Tuskowi na to, by je ukradł. Albo oddał na Zachód". Gdyby tam nie było prezesa Adama Glapińskiego, ale „ktoś słabszy mentalnie, o słabych nerwach, to Tusk miałby klucze do polskiego złota", straszy Czarnek.

Czego chce Tusk ?

Oprócz polskiego złota chce „obalić prezydenta". „Podważa ustawę o Sądzie Najwyższym i na tej podstawie podważą ważność wyborów prezydenckich i zrobią nowe wybory. Chcą też uśmiercić naszą konstytucję, wprowadzając wyższość prawa unijnego".

„To będzie koniec naszej suwerenności", straszy znów Czarnek.

Dlatego trzeba robić wszystko, by Polską rządził każdy, „byle nie Tusk".

Dlatego kandydat na premiera apeluje do młodych wilków z Konfederacji.

Głosząc jedność i pokój na prawicy. I przypomina, że „gdyby był wspólny kandydat PiS i Konfederacji", wygraliby prezydenturę w Krakowie.

Ale nie marnuje okazji, by konfederatom też przywalić.

„Jeśli ktoś mówi, że nie wpuści imigracji do Polski, a jednocześnie ich koledzy zatrudniają obcokrajowców w firmach albo chcą ściągać siłę roboczą do kraju, to tę obłudę trzeba punktować. Jeśli uważacie, że imigracja legalna jest tak samo szkodliwa jak nielegalna, to dlaczego zatrudniacie Ukraińców, Białorusinów?".

Czarnek nie kończy tylko na krytyce. Prezentuje pisowski model dobrej imigracji.

„Receptą jest maksymalne ograniczenie migracji legalnej". „Dla mnie legalna imigracja to np. przyjazd Ukraińca do pracy w gospodarstwie szkółkowym w Kurowie, gdzie nie ma żadnych innych rąk do pracy – pod takim warunkiem. Przyjazd, a potem wyjazd. Praca, składka, potem wyjazd".

Do sprzątania

Trzeba też zająć się pilnie polską szkołą. „Mam doświadczenie, mam recepty, wiem, jak to zrobić", chwali się skromnie były minister nauki. I recytuje najpilniejsze zadania przyszłego ministra.

„Trzeba zatrzymać demoralizację", którą wprowadza do szkół wiele „organizacji pozarządowych".

Stop „wypychaniu religii ze szkół". Bo „wychowanie religijne ma znaczenie fundamentalne. Uczeń dostawał porcje wiedzy o tym, co jest dobre, a co złe, co jest grzechem, a co jest zachowaniem dobrym".

Rządzący dzisiaj tuskowcy jedynie osłabili polską szkołę. Przez „brak prac domowych, bezstresowe wychowanie, odejście od oceniania".

Dawali zły przykład młodzieży. „Hodowali chamstwo i wulgarność z wielkim zapałem. Panią Lempart celebrowali i popierali politycy najwyżsi rangą".

„Zgadzam się z Rafałem Ziemkiewiczem, który powiedział, że od kilkudziesięciu lat fascynujemy się Zachodem i bierzemy z Zachodu wszystko, co można", wzdycha filozoficznie.

A kiedy on postuluje wprowadzenie „dyscypliny do szkół", to słyszy zarzut „ zamordyzmu". Pomimo tego obiecuje, że „posprząta po tej ich szkole".

Posprząta w Trybunale Konstytucyjnym i wielu innych instytucjach.

Ale by przyszły premier Czarnek mógł wejść w rolę kaczyńskiego mopa, prawica musi wygrać wybory. Aby to się udało, najlepsza byłaby wspólna lista całej prawicy.

„My jesteśmy gotowi się dogadać", deklaruje, „ale czy taką gotowość mają też koledzy z innych ugrupowań?".

I od razu dodaje, że „Mateusz Morawiecki już zdeklarował, że do wyborów chce iść sam. Może jednak jeszcze przemyślą sprawę".

Zwłaszcza że „Tusk może zmusić i Lewicę, i PSL, i może nawet Razem do pójścia na wspólnej liście. A wówczas może utrzymać władzę. Dużo ryzykujemy, idąc osobno", przypomina.

I od razu dodaje, że „chce również jednoznacznie powiedzieć: im lepszy wynik wyborczy PiS, tym większa szansa na stabilne rządy prawicy w Polsce". Tym bardziej, że prezydent Nawrocki zawsze może „wskazać kandydata na premiera". Najlepiej na niego.

Dlatego Czarnek już deklaruje, że „nie odpuszczę. Posprzątam Polskę".

I przestrzega, że „jeśli wystartujemy z odrębnych list, to nie będziemy się głaskać po głowach. Będziemy się punktować".

Nie mówi

Głosząc wolę prezesa Kaczyńskiego, jego mop nie dopowiada szczegółów kreślonego przez pryncypała scenariusza nadchodzącej kampanii wyborczej. PiS zainteresowany jest eskalacją konfliktów z tuskową Koalicją Obywatelską. Liczy, że to nastąpi, bo taka konfrontacja jest też w interesie premiera Tuska i jego formacji.

Im bardziej będzie widoczna konfrontacja Tusk – Kaczyński tym łatwiej będzie Tuskowi przekonać jego koalicjantów do tworzenia jednej listy wyborczej.

Pod Tuska przewodem.

Kaczyńskiemu ulatwi to skupienie prawicowej opozycji na jednej liście. Pod jego przewodem.

Zatem przyszłoroczne wybory parlamentarne mogą być plebiscytem. Wyborem między tylko dwoma listami. Z czym się coraz bardziej liczą liderzy mniejszych niż KO i PiS formacji politycznych.

Obecny kandydat na premiera Przemysław Czarnek premierem nie będzie. Wie już o tym. Przed wyborami zmobilizuje pancerny elektorat PiS.

Nabluzga też przyszłym prawicowym koalicjantom.

Potem prezes wymieni go na polityka budującego już miłość na prawicy.

O Czarnku prezes nie zapomni. Jeśli powstanie rząd prawicowy, to zrobi go wicepremierem, jednym z wielu, i ministrem od szkolnictwa.

Do szkół wrócą modlitwa i dyscyplina.

PIOTR GADZINOWSKI

SŁOWO CZERWONE

Francuska lekcja dla polskiej ulicy

Sens zadymy

Francuzi wciąż wychodzą na ulice, aby żądać wyższych płac, niższych czynszów, większego zatrudnienia w oświacie. A teraz jeszcze aby żądać swobody demonstrowania swych żądań na ulicach. Większość spośród setek tysięcy demonstrantów niesie flagi narodowe, trójkolorowe. Większość to ludzie młodzi – skandujący, śpiewający i przemawiający w sprawach ważnych dla państwa francuskiego.

Jean-Luc Mélenchon, przywódca partii Francja Nieujarzmiona, jest twarzą tych demonstracji, zagrzewa do nich, idzie z ludźmi i wzywa do pokojowych protestów. Pokojowych – bo przemoc odwraca uwagę opinii publicznej od słusznych rewindykacji demonstrujących obywateli. Usprawiedliwia sięganie przez władzę po brutalne środki represji, które uderzają w chuliganów, ale także w spokojnie demonstrującą większość tłumów wylegających na ulice.

Prawda jest taka, iż nawet jeżeli ludzie Mélenchona będą próbowali zapanować nad tłumem i trzymać demonstracje z dala od zadym, podpaleń i rabunków – władze ponawiać będą zaproszenia do konfrontacji, atakując brutalnie spokojnych demonstrantów, żeby wywołać starcia z policją. Mélenchon powtarza jednak, że skuteczne demonstracje to te pokojowe.

Czy Francja Nieujarzmiona zyskuje na tym, co się teraz dzieje na ulicach francuskich miast? Mélenchon jest wszak głównym przeciwnikiem Marie Le Pen z Frontu Narodowego, ubiegającej się o fotel prezydentki Francji. Jest on jedyną póki co osobą, która może wejść do drugiej tury wyborów – mimo że jego poparcie jest dwa razy mniejsze.

Przedstawia się go jako skrajną lewicę – choć jego program nie jest tak radykalny jak jego retoryka.

W drugiej turze Francuzi będą musieli wybrać czerwonego Mélenchona albo pozwolić sięgnąć po urząd brunatnej przedstawicielce Frontu Narodowego. W tym kontekście zwycięstwo Le Penówny nie jest już tak oczywiste.

W Europie fala protestów i niepokojów społecznych objęła w ostatnich tygodniach co najmniej 12 krajów, w których od połowy września do końca października 2026 r. odnotowano łącznie 177 manifestacji. Hasła są wszędzie mniej więcej podobne. Dotyczą drożyzny, poziomu życia, mieszkalnictwa, praw lokatorskich, warunków nauczania. Europa kipi, bo liberałowie zakręcają kurki z pieniędzmi.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

We Francji władze wprowadzają godziny policyjne i starają się nie dopuszczać demonstrantów do centrów miast. Wrze w Hiszpanii, Włoszech, Portugalii, Albanii, Belgii.

A w Polsce cisza i spokój. Przejdą marsze Niepodległości domagające się wypędzenia z kraju cudzoziemców i tylko pytanie, czy na tych marszach pojawią się hasła socjalne.

Właśnie rusza akcja zbierania 100 tys. podpisów pod projektem zmiany prawa, która odblokuje prawo do strajkowania. Na razie mamy przepisy skrojone jeszcze w stanie wojennym, które czynią prawie każdy strajk nielegalnym. Chociaż opinia publiczna jest jednoznacznie za prawem do strajku. Tę formę dochodzenia swoich praw przez załogi popiera 78 proc. ankietowanych.

Ludzie w Polsce nie wychodzą na ulice, bo się boją. Boją się władzy, policji, kar finansowych, mandatów. We Francji odwagi dodaje fakt, że na ulice wychodzą tysiące, a nawet setki tysięcy. Wtedy to władza się boi. U nas przestraszyła się tylko raz, kiedy ulice całej Polski zaroiły się czarnymi parasolkami. Przestraszyła się wkurzonych kobiet. A przecież powodów do wkurzenia nie brakuje.

Jedną z zasadniczych różnic między nami a Francuzami jest to, że

przeciętny Francuz należy do kilku organizacji społecznych i wychodzi w swojej grupie: wspólnot sąsiedzkich, klubów sportowych, związków zawodowych. Polacy zaś nigdzie nie należą i decyzja o wyjściu na ulicę podejmowana jest samotnie, co wymaga większej odwagi.

Nawet 11 listopada ludzie raczej świętują, niż demonstrują. O nic specjalnie nie walczą, chcą tylko się cieszyć, że tak wielu gromadzi się wokół symboli narodowych.

Z pewnością nie zburzą Bastylii. Najwyżej zbudują nową, dla obcokrajowców. Ale tym gniewem się nie nasycą. Nie będzie im od tego lepiej.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 7ba55b843e

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zarzynanie Bogdanki

Tylko nie mów nikomu, co się dzieje w kopalni

Czy wiedząc, że właściciel większościowy wymusza na spółce niekorzystne ceny sprzedaży, zarząd jest zwolniony od odpowiedzialności za podpisanie umowy handlowej ze szkodą dla zarządzanej spółki?

Czy zarząd spółki Lubelski Węgiel Bogdanka wykorzystał choćby podstawowe dostępne metody obrony przed wymuszeniem ceny sprzedaży węgla poniżej kosztów produkcji? Czy prezes może zrzucać odpowiedzialność za zarządzaną firmę na rząd, Zielony Ład i patologię w polskiej energetyce?

Związki zawodowe zarzucają zarządowi LWB, że wziął udział w grze, o której wiedział, że jest z góry przegrana – i w tym szemranym kasynie pod nazwą „transformacja" zastawił los załogi, jak jakiś szlachciura swoich chłopów w karty. W Bogdance wrze. 26 października związki i załoga rozpoczęły akcje protestacyjne.

Koniec propagandy sukcesu

Zdaniem działaczy związkowych zdarzenia i wypowiedzi z posiedzenia zespołu parlamentarnego ds. obrony Bogdanki, zwołanego w siedzibie spółki 30 września, mogą być podstawą do wszczęcia postępowań wyjaśniających – również przez prokuraturę – na okoliczność działania na szkodę spółki. Zespół ten, formalnie o zerowej sprawczości, zwołał poseł Bartłomiej Pejo, w odpowiedzi na docierające do parlamentarzystów informacje o tym, co się dzieje w spółce. Dotychczas posłowie byli święcie przekonani, że Bogdanka jest ofiarą wojny z „chorą zieloną ideologią" i gdyby nie ona, to kopalnia rosłaby w siłę, a rylom żyło się dostatnio. Takie otrzymywali zwykle odpowiedzi od strony rządowej i zarządu LWB, osłodzone propagandą sukcesu o dywersyfikacji, inwestycjach i optymalizacji.

Fakty ujawniane przez związkowców i bardzo konkretne pytania posłanek i posłów pokazały co innego: że indolencja, imposybilizm i impotencja zarządu miały decydujące znaczenie dla dzisiejszego stanu spółki. Mówiąc po ludzku: prezesi uznali, że skoro nic nie mogą, bo nawet krasnale im do mleka szczają – to chociaż utrzymają się na posadach.

W negocjacjach ze związkowcami brzmiało to mniej więcej tak: nie mamy waszych pieniędzy i co nam zrobicie? Ano normalnie nic, bo skoro działali za przyzwoleniem i wręcz pod dyktando z góry, to czuli się pewni.

Pewność siebie zniknęła, kiedy na zespole parlamentarnym padły pytania, co zrobił zarząd, by chronić interes spółki przed wymuszeniem cen węgla poniżej progu rentowności. Okazało się, że nic – co więcej, prezesi zapomnieli, że to oni odpowiadają za spółkę – a nie Enea, UE, Zielony Ład i krasnoludki. Efektem posiedzenia jest wspólna obszerna i konkretna interpelacja poselska zespołu.

Jedyne informacje o tym, co dzieje się w spółce, posłowie otrzymali od związków zawodowych. Zarząd nie odniósł się do nich na posiedzeniu. W tej sytuacji posłowie skierowali również do zarządu LWB pytania na piśmie.

Posłanka Magdalena Filipek-Sobczak poprosiła prokurenta zarządu LWB, jako gospodarza, o protokół – co wywołało lekką konsternację. Protokołu nie otrzymała. Na szczęście proletariat węglowy, jak w „Misiu", zasadniczo stara się mieć kwit. Przedmiot i treść spotkania zawarto w stanowiskach pisemnych i notatkach oraz pytaniach na piśmie do zarządu. Związkowcy przedstawili historycznie fakty – jak przez dwa lata bezskutecznie próbowali przeciwstawić się szaleńczej polityce zarządu – i w żołnierskich słowach wyrazili nastroje załogi.

Perła Lubelszczyzny czy paciorki dla tubylców

Posiedzenie formalnie nieistotnej komisji zaczęło się w innej Bogdance – w najlepszej polskiej kopalni, która miała fedrować bez problemu do końca świata i jeden dzień dłużej – zakończyło zaś w biednej, opuszczonej przez Boga i ludzi firmie na zadupiu pod ukraińską granicą.

Firmie – dodajmy – zagrożonej szybszą likwidacją, którą zarządza ekipa politycznych nominatów, udających ubezwłasnowolnienie, wyznaczonych do tego, żeby Bogdankę po cichu i bezkosztowo sprowadzić na dno, a wtedy już można zrobić z nią wszystko. Z najlepszą polską kopalnią to byłoby niemożliwe nawet dla Tuska. Teraz do pełnej, niesprawiedliwej transformacji już jest droga otwarta – i taki mógł być cel polityczny.

Bogdanki wydajnej i rentownej nie można byłoby transformować za ułamek 4 mld, przeznaczonych przez rząd na całe górnictwo. Teraz już można. Inaczej trzeba by było wydać 10 razy tyle tylko na LWB. Snute są scenariusze o przejęciu przez kapitał ukraiński…

Tak czy inaczej, gdy zapytać, kto ma interes w tym, żeby dobrze prosperująca spółka skarbu państwa upadła – wygląda na to, że każdy poza lokalną społecznością i pracownikami. Rząd oszczędzi kilkadziesiąt miliardów. Stopniowo zmniejszająca wydobycie Bogdanka jest na rękę Enei, jako rezerwa węglowa. Jeśli obcy kapitał ma ją obiecaną, jak spiskowe scenariusze mówią – im gorzej, tym lepiej. Tanio można kupić. I teorie robią się mniej szalone.

Istniała alternatywa: asertywne zachowanie prezesów, którzy powinni do końca nie zgodzić się na działania sprzeczne z interesem spółki, wsparci protestem społecznym związków zawodowych. Takie wspólne działanie związki zawodowe proponowały, licząc na polityczny rozgłos, który wymusi u rządzących reakcję. Zarząd robił wszystko, żeby było wokół Bogdanki cicho. Najpierw wybrał bierność, a na końcu otwarcie przeszkadzał, wywierał presję na działaczy związkowych i groził pozwami typu SLAPP za próby obrony interesu spółki i załogi.

Prezes zawinił, załogę obciążyli

Trudno się dziwić wściekłości górników. Zarząd nie wywiązał się porozumienia o wzroście płac z 2025 r. i nie wykona go również w 2026 r., argumentując, że roczny plan techniczno-ekonomiczny nie został wykonany – choć w raporcie giełdowym nie ma o tym słowa, bo ciągle był aktualizowany. Prezesi otrzymali swoje pieniądze – pracownicy nie.

Porozumienie płacowe określa w Bogdance średnie miesięczne wynagrodzenie w spółce. Do jego realizacji zabrakło 500 zł miesięcznie na głowę; 6 tys. w skali roku. Po groźbie protestu załogi w maju 2026 r. wypłacono jedynie jednorazowo rekompensatę w wysokości 2 tys. zł – co nieco uspokoiło ludzi na wakacje.

Jak zwykle zaczyna się od oszczędności na ludziach. Bogdanka przejada rezerwy z lokat bankowych. Związkowcy przez dwa lata zwracali uwagę na bierność zarządu i od roku właściwie tylko oni upominali się o ceny naszego węgla, wiedząc, czym to grozi załodze. Zrobili to, czego nie zrobił zarząd spółki – choć to na zarządzie ciąży wyłączna odpowiedzialność. Zgodnie z dziwną Polską ustawą o sporze zbiorowym, nawet jeśli protestujemy przeciwko UE, dla związkowców z Bogdanki – stroną zawsze jest zarząd Bogdanki.

Ostanie dwa lata pokazały, że związki zawodowe widziały zagrożenia, dokładnie analizowały i prognozowały stan obecny. To nie z zamykaniem śląskich kopalń rząd będzie miał trudności. To już chyba przesądzone. Kością w gardle stoi im Bogdanka. Po prostu jest za dobra, żeby ją ot tak zamknąć. Trzeba więc zrobić wszystko, aby była nierentowna, albo po cichu udusić.

Taką właśnie politykę przyjęto w grupie kapitałowej Enea – alarmowali związkowcy w lipcu 2024 r. Ten scenariusz się sprawdza. Dane za ostanie półrocze jasno pokazują straty, jakie ponosi Bogdanka, sprzedając węgiel po obecnej cenie, która jest zdecydowanie poniżej opłacalności.

Nie jest to cena referencyjna, rynkowa, bo ta odnosi się do ceny w portach ARA (Amsterdam, Roterdam, Antwerpia) i wahała się od 120 do obecnych 150 USD (450–550 zł) za tonę. Cena węgla z Bogdanki jest nieco tylko wyższa od dumpingowej ceny energetycznego węgla śląskiego.

Z danych dostępnych w raportach giełdowych można wyliczyć, że cena węgla z Bogdanki wynosi obecnie średnio na 310 zł za tonę.

LWB sprzedaje o 111 zł/t mniej niż cena referencyjna. Jeszcze taniej są zmuszone sprzedawać śląskie kopalnie. Taką promocję daje polskie górnictwo, żeby spółki energetyczne miały miliardowe zyski, które wpłyną jako dywidenda skarbu państwa, co z kolei pokryje wydatki z budżetu na dopłaty do kopalń.

To wyjaśnia, dlaczego kopalnie są nierentowne. Pytanie: dlaczego ten pieniądz tak dziwnie cyrkuluje?

Mechanizm przepieprzania kasy na likwidację śląskiego górnictwa jest mocno skomplikowany. Wiedzą o tym doskonale ministerstwa aktywów i finansów, czyli nadzór właścicielski. Teraz Bogdanka poznała na sobie, jak obciąża się górnictwo kosztami transformacji. Okazuje się, że likwidacja wcale nie oznacza strat i może być całkiem dochodowa. Oczywiście nie dla pracowników. Oni już ponoszą koszty.

Zarząd Bogdanki znał strategię Enei, która już na prezentacjach wyglądała dla nas zabójczo. Zabiłaby kopalnię w kilka lat. Redukcja wydobycia o połowę do 2030 r., o trzy czwarte do 2035. Teoretycznie wycofano się z tych planów – ale zdaniem związkowców nie do końca; wymyślono tylko inne metody do osiągnięcia tego samego celu. I zrobiono to – tak, jak się związkowcy obawiali – po cichu.

Umowa długoterminowa z odbiorcą 80 proc. całego wolumenu sprzedaży decyduje o bilansie ekonomicznym spółki. Zarząd doskonale wiedział, jakie skutki finansowe przyniesie podpisanie takiej umowy poniżej progu rentowności. Nie poinformował strony związkowej, że kosztami tych decyzji ma zamiar obciążyć załogę.

Szeroki front inwestycji…

Pytania związkowców i parlamentarzystów o działanie na szkodę spółki dotyczyły oczywiście braku wspomnianych w kodeksie spółek handlowych działań chroniących interes spółki i zmierzały do ustalenia, czy zarząd wykorzystał środki obrony przed naciskiem właściciela większościowego. Z wypowiedzi prezesa Zbigniewa Stopy wynika, że nie. Prezes mówił wyłącznie o rozmowach – ustnych – ani słowa o dokumentach, jakie należało sporządzić w tej sprawie, choćby na potrzeby późniejszych roszczeń odszkodowawczych za wymuszenie obniżki ceny. Zarząd nie zabezpieczył kopalni w ogóle na taką możliwość: brak udokumentowanego działania czy choćby analizy strat. Prezesi LWB powoływali się na rynek, który ich zdaniem jest patologiczny, bo jest dumping śląskiego węgla – ale nie podjęli działań antydumpingowych.

Związki zawodowe rozumieją, czemu prezesi nie palą się do takich działań. Nawet za mówienie prawdy traci się stołek, jak prezes Orlen Termica za to, że powiedział, że ciepłownictwu zabraknie węgla. Trudno się zatem dziwić, że prezesi Bogdanki mówią to, co opinia publiczna chce usłyszeć.

Np. snują wizje rozwoju spółki w Indiach. Zastępca prezesa ds. rozwoju Sławomir Krenczyk twierdzi, że mamy nieznane tam kompetencje. Wymienia je jednym tchem: twarde, miękkie, cudem zatrzymuje się przed dodaniem „al dente". A poza Indiami? Dopytywany, wymienia kompetencje pralni piorącej odzież roboczą górników na terenie kopalni i utrzymanie terenów zielonych, gdyż na terenie kopalni jest spółka wykonująca takie roboty. Mówi to publicznie w portalach ekonomicznych, czym wywołuje u załogi powszechny śmiech przez łzy i wysyp memów.

I to by było realnie na tyle, jeśli chodzi o plany transformacji. Za to podpisano kontrakt, który naraził na szwank płynność finansową i spowodował znaczne straty społeczne, bo one dotyczą już nie tylko niezaspokojonych zobowiązań wobec załogi, ale także rosnącego obciążenia pracą przy malejącym zatrudnieniu w LWB – za to rosnącym w spółkach zewnętrznych, przejmujących roboty górnicze. Outsourcingowi należy się przyjrzeć osobno, bo plaga spółeczek żerujących na górnictwie jest powszechnie znana. Ostatnio pojawiają się i znikają w internecie ogłoszenia spółek, między innymi ze Śląska, o naborze do pracy w kopalni. Również dla Ukraińców.

Mówiliśmy…

Związkowcy wielokrotnie zwracali uwagę, że ani kodeks spółek handlowych, ani kodeks karny nie przewidują zwolnienia od odpowiedzialności pod presją, czy nawet na polecenie właściciela większościowego. W takiej sytuacji pozostaje prezesowi wyłącznie dymisja z powodu braku możliwości działania zgodnego z interesem spółki.

To, czego nie robił zarząd – próbowały robić związki zawodowe. Przez dwa lata: pukaliśmy do ministerstw, staliśmy pod ministerstwami, byliśmy w sejmie i pod sejmem. Protestowaliśmy, demonstrowaliśmy, głodowaliśmy, pisaliśmy, robiliśmy filmiki, chodziliśmy do telewizji prawicowych – bo demokratyczne i praworządne jakoś nie bardzo nas chciały.

Musieliśmy publicznie mówić o dumpingu cenowym, czym narażaliśmy się kolegom ze Śląska – choć wiadomo, że to nie miało w nich uderzać, tylko chronić górników z Bogdanki. Próbowaliśmy zapobiec temu, o czym wiedzieliśmy, że nastąpi. I nastąpiło – stąd zarzuty, które w tym przypadku potwierdza brak jakichkolwiek dokumentów.

Związkowcy są święcie przekonani, że wszyscy, którzy powinni, doskonale wiedzieli, co robią, i że była to z góry zaakceptowana polityczna strategia. Jej kluczowym elementem było to, żeby nikt się nie dowiedział. Szczególnie opinia publiczna. Bo opinia publiczna zainteresowana transformacją – w tym nawet gwiazda internetu Jakub Wiech, ekspert z zawodu i wielki lobbysta na rzecz OZE i dekarbonizacji – jest święcie przekonana, że Bogdanka jest fantastyczna, potrzebna i ostatnia do zamknięcia. Że dalej taka jest.

Już nie jest – mówią związkowcy z Bogdanki i żądają zbadania tej sprawy. Mamy nadzieję, że ujawnione przez nas fakty zostaną poważnie potraktowane przez organy nadzorcze i organy państwa.

JAROSŁAW NIEMIEC

Dwa lata jak dla Gibały

Prezydent startuje ostro, Kraków jest ostrożny

20 października nastąpiło uroczyste zaprzysiężenie nowego prezydenta Krakowa. Łukasz Gibała, który w drugiej turze przedterminowych wyborów rozjechał Monikę Piątkowską, popieraną zarówno przez koalicję rządzącą, jak i wieloletniego prezydenta miasta Jacka Majchrowskiego, ogłosił, że Kraków będzie teraz dla mieszkańców, że zasługuje na uczciwe zarządzanie i że on, Gibała, zamierza pracować dla dobra publicznego oraz pomyślności Krakowian. Zaapelował do radnych o ponadpolityczną współpracę i porzucenie podziałów – co naturalnie spodobało się tym, którzy na niego głosowali.

Po tych uprzejmościach prezydent przeszedł do konkretów. Na Instagramie głosił, że w kasie miasta brakuje ok. 390 mln zł, aby pokryć bieżące wydatki do końca grudnia: 220 mln zł zabraknie na wypłatę dla nauczycieli, 80 mln – na transport publiczny, 9,5 mln – na pomoc społeczną. Gibała zlecił wykonanie szczegółowej analizy budżetu, zamierza uzupełnić braki finansowe bez zaciągania nowego długu.

Dzień po zaprzysiężeniu przedstawił wiceprezydentów. Są to: dr Karol Wałachowski, ekonomista zajmujący się rozwojem miast, związany z Klubem Jagiellońskim; prawnik Jan Hoffman, inicjator referendum w sprawie odwołania Miszalskiego, który był także jednym z kandydatów w tych wyborach, ale na cztery dni prze pierwszą turą wycofał się i poparł Gibałę; Elżbieta Kois-Żurek, specjalistka od pomocy społecznej, dotychczas szefowa DPS.

Żeby pokazać, że rusza z kopyta, Gibała przywrócił bilet 20-minutowy. Żeby zademonstrować, że się nie certoli – podpisał zarządzenie ws. likwidacji sześciu departamentów ratusza.

Czy zatem Kraków ma szansę na lepsze jutro? Ba – lepszą przyszłość?

Krakowianie są podzieleni. Zagadnięty w tramwaju wykładowca akademicki powiedział mi, że głosował na Piątkowską, bo lubi Majchrowskiego, który ją popierał. Przedstawiciel krakowskiego świata artystycznego dodał, że „byłby ostrożny z Gibałą". Z kolei od studenta UJ, pochodzącego spoza Krakowa, dowiedziałam się, że „o Gibale słyszał, odkąd tu przyjechał" – i że z punktu widzenia nowego Krakusa czuć skuteczność jego działań.

Wspólnym mianownikiem wszystkich tych opinii była ostrożność. Od każdego z rozmówców usłyszałam coś na kształt: pożyjemy, zobaczymy – i jeszcze, że „Gibała ma dwa lata, aby się wykazać".

ADRIANNA LESZCZYŃSKA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 7ba55b843e

Młodzi bez dachu

„NIE” rozmawia z AGNIESZKĄ SIKORĄ, Warszawianką roku 2025, założycielką i prezeską Fundacji PoDRUGIE, pierwszej w Polsce organizacji, która stworzyła kompleksowy model pracy z młodymi bezdomnymi.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Historia Fundacji PoDRUGIE zaczęła się w 2011 r. Inspiracją do jej powstania był realizowany przez panią cykl reportaży o wychowankach ówczesnego Zakładu Poprawczego w Falenicy. Prowadzicie w Warszawie Dom dla Młodzieży, mieszkania treningowe, punkt pomocowy dla młodych dorosłych w kryzysie bezdomności, a od niedawna Dom dla Młodych Mam. Macie jakieś wsparcie magistratu i samorządu?

– Miasto stołeczne Warszawa dostrzega problem. Dofinansowuje działania naszego punktu pierwszej pomocy, do którego może się zgłosić młodzież bez dachu nad głową, a także wspiera finansowo działalność naszych specjalistów, terapeutów itd. Mieszkania prowadzimy z miastem od 2015 r. Był to pierwszy program, który pojawił się, jeśli w ogóle chodzi o te rozwiązania, w Polsce. Był realizowany w trybie ciągłym. Bardzo się z tego powodu cieszę, niemniej to jest ciągle kropla w morzu potrzeb. Nasza organizacja prowadzi Dom dla Młodzieży w 100 proc. finansowany ze środków prywatnych. Dom dla Młodych Mam na tę chwilę też jest finansowany ze środków prywatnych. Warszawa ogłosiła konkurs na to konkretne działanie, więc jest nadzieja, że będzie partycypować i finansować to przedsięwzięcie.

– Pula środków przeznaczanych przez samorządy na granty dla NGO zwykle nie jest duża.

– Środki pozyskiwane z programów samorządowych, miejskich czy rządowych nie wystarczają, byśmy mogli naszą działalność prowadzić w takim zakresie, w jakim potrzebujemy. Dotacje są często niewysokie i niewystarczające. Jednocześnie specyfika miejsca, w którym działamy, jest wyjątkowa. To do Warszawy przyjeżdżają często osoby w trudnej sytuacji, które w stolicy upatrują szansy na dobre rozwiązania. Tymczasem środków na pomoc im brakuje. Z jednej strony, nasze miasto nie ma obowiązku finansowania pełnego pakietu pomocy dla osób z Krakowa, Wrocławia czy Pszczyny, ale z drugiej – te osoby tutaj są i nierzadko pomaganie im spoczywa na barkach organizacji pozarządowych.

– Według statystyk polski narybek usamodzielnia się i opuszcza dom rodzinny średnio w wieku 26 lat. Wasi podopieczni pozbawieni cieplarnianych warunków znacznie wcześniej muszą zderzyć się z niełatwą rzeczywistością. Zgłaszają się do was dzieciaki, które niebawem osiągną pełnoletność i wiedzą, że z okazji osiemnastki wylądują na ulicy?

– Zdarzają się takie sytuacje. Dzwonią, piszą maile i starają się zawczasu zapewnić sobie pomoc. I są to osoby z różnych środowisk – od dzieciaków przebywających w domach dziecka, rodzinach zastępczych przez młodzież z ośrodków resocjalizacyjnych po taką, która nigdy nie była pod opieką systemu, ale wie, że nie będzie mogła mieszkać w domu rodzinnym po 18. roku życia. Są też tacy, którzy czekają na osiemnastkę, bo wiedzą, że to jest moment, kiedy mogą z tego domu wyjść, żeby poszukać bezpiecznego schronienia.

– Jak można im pomóc na tym etapie?

– Nie mamy zbyt wielu możliwości. Jeżeli taka osoba się do nas zgłasza, to oczywiście wyposażamy ją w cały pakiet informacji, dokąd ma się udać. Że jest szkoła, psycholog szkolny, pedagog, dzielnicowy. Pytamy, czy ma jakiegoś zaufanego dorosłego, czy w szkole jest jakiś przyjazny nauczyciel, któremu można zaufać, czy jest jakiś sąsiad, ciotka. Badamy, czy istnieje sieć wsparcia, na której ten młody człowiek może się oprzeć i zacząć coś budować. Jak wiemy, doświadczenie przemocy jest niezwykle trudne i złożone. Czasem jest tak, że młody człowiek, zamiast uruchamiać całą tę machinę, woli poczekać parę miesięcy i po prostu ten dom opuścić. To ważne, że on z tego domu wyszedł. A czy potem coś się z tym stanie, czy będzie chciał to zgłosić i będzie sprawa sądowa? Zwykle nie będzie. To wymaga wielkiej siły i ogromnej determinacji osoby doświadczającej przemocy.

– Nie każdy dom, który z pozoru wygląda normalnie, jest bezpieczny…

– Czasami mam wrażenie, że dzieciaki doświadczające przemocy coraz częściej w domach, które w ogóle nie sprawiają wrażenia domów z problemami, dostają za mało wsparcia w swoim środowisku lokalnym: szkolnym czy sąsiedzkim. Temu dziecku się po prostu nie wierzy. Mamy sporo takich sytuacji, że młodzież się z tego zwierza. Często od młodych dorosłych słyszymy, że oni to zgłaszali, informowali, szukali pomocy, ale przychodziła matka, ojciec, dobrze wyglądali, podjechali samochodem, więc żadna patologia. A że teraz dużo dzieci ma zaburzenia, to dziecko pewnie fantazjuje…

– Mimo tych ciężkich doświadczeń potrafią zwrócić się z prośbą o wsparcie do innego dorosłego.

– Zawsze przyjmujemy każdego z otwartymi ramionami i staramy się pomóc. Zaufanie do nas przychodzi dużo później. Musimy na nie zapracować, bo młodzi ludzie często sparzyli się już na systemie pomocowym. Czasem gdzieś byli i nic z tego nie wynikło. Nie dostali herbaty i kanapki na dzień dobry, a od wielu dni był głodni. Takie zaufanie i głębsze relacje budujemy w tej naszej codzienności.

– Jest to pewien akt odwagi ze strony tych dzieciaków, żeby przyjść i poprosić o pomoc…

– Ależ jak najbardziej. Ale uważam, że należy taki akt odwagi normalizować, nie romantyzować. Im częściej mówimy, że to jest akt odwagi, tym częściej ktoś może mieć w sobie blokadę przed przyjściem po pomoc. Miejsca pomocowe są po to, żeby pomagać, i przychodzenie do nich, kiedy jest taka potrzeba, jest okej. To nie jest historia o tym, że ja tu przychodzę i mam okazywać dozgonną wdzięczność. To nie jest też o tym, że mi się wszystko należy. Musi być zachowany jakiś balans. Gdy ktoś przychodzi, mówimy: „Super, że jesteś”.

– Są też świeżo upieczeni dorośli z ośrodków resocjalizacyjnych i pieczy zastępczej. Zdawałoby się, że system państwowy wyposaża ich w jakiś minimalny pakiet na start – nauka zawodu, plan usamodzielniania. Szereg tych działań określa ustawa. Nie wszystkie są skuteczne. Spotkałam się ze zjawiskiem tzw. ubóstwa edukacyjnego młodzieży, która opuszcza system. To pociąga za sobą szereg dalszych kłopotów.

– Nie uczymy młodych ludzi, że mogą mieć możliwość wyboru tego, co ukształtuje ich przyszłość. Problem polega na tym i ta sytuacja trwa od lat, że

ludzie, którzy się do nas zgłaszają, skończyli szkoły, których w ogóle nie chcieli kończyć, bo w placówce resocjalizacyjnej mieli wybór między np. fryzjerstwem a gastronomią, stolarstwem a murarstwem. A oni w ogóle nie chcą tego robić.

Teoretycznie istnieje możliwość zmiany placówki, która będzie miała inną ofertę edukacyjną, ale w praktyce z różnych powodów się to nie dzieje. To generuje stracony czas. Nikt z nas nie chciałby się uczyć czegoś, do czego nie ma predyspozycji. To nie dotyczy tylko osób z ośrodków resocjalizacyjnych. Czasem spotykamy osoby z pieczy zastępczej z małych miejscowości, w których dojazd do szkoły był zbyt problematyczny i w efekcie dziecko posłano do najbliższej branżówki. I taki człowiek mówi: „Jestem stolarzem, ale, pani kochana, jaki ze mnie stolarz? Ja tego kompletnie nie czuję”. Nie powiedziałabym, że to wszystko działa źle, bo jest dużo osób zaangażowanych, ale zwyczajnie nie nadążają. Po prostu system jest skonstruowany tak, że więcej czasu spędzamy z papierem zamiast z człowiekiem. Motywacja do nauki bierze się z tego, jak z taką młodzieżą pracujemy.

– Trudno budować samodzielność, jeśli nie ma się do tego odpowiednich narzędzi, jak chociażby jakiś fach w ręku.

– Ten system ma być udoskonalony. Moim marzeniem jest, żeby usamodzielnianie młodzieży opuszczającej placówki resocjalizacyjne było traktowane jak tak samo ważne jak usamodzielnianie młodzieży z pieczy, bo jest różnica między tymi grupami. Tak samo chciałabym, żeby odpowiednio zabezpieczało inne grupy – dzieci, które wychowały się w domu samotnych matek, i młodzież wyrzucaną z domów w wieku 18 lat, która totalnie znika z radarów.

– W Polsce ok. 80 proc. osób bezdomnych stanowią mężczyźni. Czy bezdomność młodych ma płeć?

– Zdecydowanie więcej przychodzi do nas młodych mężczyzn, ale jest i sporo dziewczyn. Mamy też osobne grupy LGBT plus. Jesteśmy miejscem otwartym dla wszystkich.

– Czy politycy dostrzegają narastający problem wyjątkowo twardego lądowania części młodych obywateli w szeroko pojętej dorosłości?

– Przez wiele lat to my byliśmy stroną, która zwracała się do ministerstw (bez względu na to, kto akurat był u władzy), do rzecznika praw obywatelskich i do rzecznika praw dziecka, że taki problem jest. Staramy się też zapraszać do nas parlamentarzystów, informować, edukować, bo kropla drąży skałę. Mam poczucie, że w ostatnim czasie trochę więcej zaczęło się o tym mówić. Pojawia się raczkująca świadomość, że mamy w Polsce bezdomną młodzież. Zostałam powołana do zespołu przy ministrze rodziny, pracy i polityki społecznej, który aktualnie pracuje nad ustawą o pomocy społecznej. Myślę, że nie bez powodu. Wiedzieli, że jeśli przyjdzie Sikora, zacznie mówić o młodych bezdomnych. Zgłosiliśmy konieczność stworzenia osobnych rozwiązań dla młodych ludzi w wieku 18–25 lat – na tym etapie życia wymagają oni trochę innego wsparcia niż bardzo dorosła osoba. Rekomendujemy tworzenie domów dla młodzieży, w których poza oddziaływaniami asystenckimi specjalistów i podejściem holistycznym ważną rolę odgrywa grupa rówieśnicza. Przygotowaliśmy projekt takich domów z rzecznikiem praw dziecka. Zwróciliśmy też uwagę, aby ministerstwo przyjrzało się, czy osoby usamodzielniające się na podstawie ustawy o pomocy społecznej dostaną równe szanse jak te, które usamodzielniają się z ustawy o pieczy. Mam nadzieję – nie ukrywam – że przynajmniej jakieś pierwsze zapisy w tej sprawie się pojawią.

Rozmawiała **IDALIA DUBICKA**

Według oficjalnych danych z Ogólnopolskiego badania osób bezdomnych przeprowadzonego przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w marcu 2026 r. w Polsce kryzysu bezdomności doświadcza 1232 młodych dorosłych w wieku 18–25 lat. Eksperci i organizacje pozarządowe wskazują, że oficjalne liczenie metodą „punktu w czasie” nie odzwierciedla skali zjawiska w tej grupie wiekowej.

Więcej o fundacji i możliwościach jej wsparcia na: facebook.com/podrugie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zaufany lokator

Pokaż landlordowi, ile wydajesz na piwo

Zanim dostaniesz klucze, możesz jeszcze przejść casting, wyspowiadać się z wydatków i zapłacić za papier poświadczający, że nadajesz się na lokatora. Taką usługę sprzedaje firma Zaufany Lokator. Właściciel ma zdobyć pewność, że frajer jest wypłacalny, a najemca – dostać certyfikat przyzwoitości. Sorry: kupić.

Firma sprawdza przychody, wydatki i historię kredytową, zagląda do rejestrów dłużników, analizuje historię rachunku bankowego z dwóch lat i prowadzi „wywiad z elementami profilowania behawioralnego”. Potem wylicza, jaki czynsz kandydat „bezpiecznie” udźwignie, i wystawia rekomendację: pozytywną, neutralną albo negatywną. Na stronie certyfikat kosztował promocyjnie 299 zł. Jest też ankieta psychologiczna, analizowanie wydatków w barach i sprawdzanie profili w mediach społecznościowych. Pełny pakiet: pokaż, jak zarabiasz, na co wydajesz i kim jesteś po godzinach.

Właściciel ma mieszkanie warte setki tysięcy, więc – jak przekonuje firma – powinien móc sprawdzić, komu je powierza. Jasne. A najemca powinien bez szemrania oddać do analizy dwa lata prywatnego życia. Oto rynkowa „równowaga interesów”: jedna strona ma nieruchomość i wybiera, druga stara się o dach nad głową i płaci za to, żeby nie odpaść z castingu.

Nie trzeba być wrogiem landlordów, żeby zobaczyć, dokąd to prowadzi. Kiedyś wystarczały rozmowa, zaświadczenie o dochodach i kaucja. Dziś można jeszcze sprawdzić, czy kupujesz piwo, komu przelewasz pieniądze i czy twoje zachowania mieszczą się w cudzym wyobrażeniu o rozsądnym życiu.

Siła landlordów nie wynika z żadnego naturalnego prawa rynku. Bierze się z niedoboru mieszkań dostępnych cenowo. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego z 2023 r. w najmie mieszkało 12,7 proc. polskich gospodarstw domowych – o 18 punktów procentowych mniej, niż wynosiła średnia unijna. Czterech na dziesięciu najemców deklarowało, że wynajmuje, bo nie stać ich na zakup mieszkania. Prywatny rynek to nieco powyżej miliona lokali. Nie jest więc szczególnie rozbudowany, ale dla milionów ludzi pozostaje jedną z niewielu dostępnych dróg do własnego kąta. I właśnie ta zależność daje właścicielom przewagę.

Wyciąg bankowy to jednak nie tylko informacja o tym, czy kogoś stać na czynsz. To również zapis codzienności: miejsc, w których robi zakupy, pieniędzy przekazywanych rodzinie, gorszych miesięcy i wydatków, które nie muszą się podobać osobie oceniającej rachunek. Kto rozstrzyga, które wydatki świadczą o finansowej odpowiedzialności, a które powinny zapalić czerwoną lampkę? I co ma zrobić kandydat, gdy oceniający pomyli jego życie z tabelką?

Zaufany Lokator zapewnia, że każdą analizę przeprowadza człowiek, a nie algorytm. Regulamin mówi jednak o wyliczaniu maksymalnego czynszu i rekomendacji na podstawie wewnętrznego scoringu. Być może analityk interpretuje dane, a algorytm podsuwa mu wynik. Być może podział pracy tych dwóch tęgich głów wygląda inaczej. Kandydat nie powinien jednak zgadywać, kto i na jakiej podstawie ocenia jego przydatność do zamieszkania. Wewnętrzna metodologia firmy nie jest niewinną tajemnicą, jeśli od jej rezultatów może zależeć dostęp do mieszkania.

Formalnie certyfikat zamawia sam lokator. Tyle że dobrowolność wygląda inaczej na papierze, a inaczej wtedy, gdy o jedno mieszkanie ubiega się kilkanaście osób. Jeśli właściciele lub pośrednicy zaczną traktować dokument jako przepustkę do oglądania lokalu, wybór szybko stanie się fikcją. Kandydat będzie mógł udostępnić dane albo stracić szansę na dach nad głową. UODO przypomina, że zgoda na przetwarzanie danych powinna być dobrowolna, konkretna i świadoma. Warto więc zapytać, ile swobody ma człowiek, który godzi się na prześwietlenie swoich finansów tylko dlatego, że bez tego może wylądować na ulicy.

Najzabawniejsze jest zapewnienie, że certyfikat wzmacnia pozycję lokatora. Owszem, może mu pomóc wyróżnić się na tle innych kandydatów. Tylko że ten mechanizm działa do chwili, gdy dokument staje się standardowym wymaganiem. Wtedy najemca płaci za ocenę, której potrzebuje przede wszystkim właściciel.

eprasa.pl 7ba55b843e

15 milionów polskich biedaków

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wstrząsający raport o ubóstwie

Kiedy wczytywałam się w doskonale udokumentowany i konkretny raport „Poverty Watch 2026. Ubóstwo, warunki życia i polityka społeczna”, który jak co roku napisał dr hab. Ryszard Szarfenberg z UW, po głowie kołatały mi słowa piosenki punkowej kapeli Bulbulators („Bieda”):

„Są bogacze, którym łatwo przyszło,
Są biedacy, którym nic nie wyszło.
Uśmiechnięci politycy i zapłakane dzieci,
Te drugie czemu winne, ci pierwsi to śmieci”.

Każdy, kto uważa, że przesadzam, powinien przeczytać 86-stronicowy raport, skądinąd napisany dość przystępnym językiem i dostępny w internecie.

Twarda rzeczywistość

Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej – przekonuje uśmiechnięta koalicja, powołując się na wskaźniki ekonomiczne. A twarde fakty są brutalne: owoce wzrostu są skrajnie nierówno dzielone. 2 mln ludzi w Polsce – przy czym nie są to tylko Polacy, lecz również uchodźcy i imigranci – żyje w skrajnym ubóstwie, a aż 15 mln osób (40 proc.) żyje poniżej minimum socjalnego.

I nie, ten stan rzeczy nie jest dopustem bożym, ani stanem – cokolwiek by to znaczyło – naturalnym. To świadectwo zaniechań państwa, które niewiele robi, aby pomóc najsłabszym członkom społeczeństwa. Jednocześnie raport pokazuje iście bohaterską, pełną zaangażowania i wytrwałości próbę zachowania resztek godności ludzkiej przez osoby dotknięte biedą, a niekiedy wręcz rozpaczliwą nędzą. Mimo skromnych zasobów ci ludzie wykazują się nieraz postawami przedsiębiorczymi i bardzo aktywnymi, zaprzeczając stereotypom życiowych nieogarów.

To zastanawiające, że dwie najbardziej zagrożone biedą i nędzą grupy – dzieci i mieszkańcy wsi – wciąż są deklaratywnie dopieszczane przez polityków.

Władza mami społeczeństwo, że troszczy się o dzieci, bo chce blokować strony internetowe (a niektórzy samorządowcy chcą w szkołach wykrywaczy metalu), tymczasem realnym problemem jest dla rzeszy małolatów brak właściwego jedzenia i możliwości godnego życia, które nie będzie naznaczone niedostatkiem. Raport ujawnia smutną prawdę: „znacząca grupa dzieci żyje w gospodarstwach domowych, których wydatki nie osiągają bardzo niskiego minimum. W gospodarstwach z co najmniej trojgiem dzieci w wieku 0–17 lat ubóstwo skrajne dotyczyło 8,9 proc. wszystkich mieszkających w nich osób. Dla porównania, w gospodarstwach bez dzieci w tym wieku było to 3,8 proc.”. Wbrew temu, co twierdzi prawica, to nie internet i nauczanie dzieci o ich zdrowiu (także w aspekcie seksualnym) demoralizuje przyszłość narodu, lecz upokorzenia związane z ubóstwem.

Macherzy od polityki wciąż powtarzają politykom wszystkich opcji, że wybory wygrywa się na wsi i w małych miasteczkach, a nie w stolicy, Wrocławiu czy Krakowie. Rzecz jasna, najtaniej – w zasadzie bezkosztowo – można mieszkańców wsi udobruchać szczuciem na tęczowych (jeszcze będą się dobierać do chłopów i ich potomstwa!), a to, czy dzieciak w Koziej Wólce ma jak dojechać do szkoły czy lekarza, czy matka ma co do gara włożyć, to już, jak mawiał Ferdek Kiepski, insza inszość. A tymczasem w skrajnym ubóstwie żyje prawie co 10. mieszkaniec wsi – dokładnie 9,5 proc. wobec 2,5 proc. mieszkańców miast.

Tu odrobina prywaty. Pamiętam upadek komuny, gdy mieszkałam na wsi w pokoju z kuchnią (bez bieżącej wody), gdzie gnieździło się osiem osób – matka, jej drugi mąż i ja z pięciorgiem młodszego rodzeństwa. Chleb nasz powszedni wypiekała w hurtowych ilościach matka, korzystając z worków z mąką, jakie przywoził nasz dziadek. Kiedy z czasem przeprowadziliśmy się do miasta, było o tyle lżej, że można było ubrać się w powstających jak grzyby po deszczu lumpeksach. Traumą do dziś pozostają dla mnie trampki na zmianę do szkoły, obrzydliwie szarobure i śmierdzące gumą, które nawet nie były chińskie, lecz kupione u „Ruskich” na pobliskim targowisku. Margaryny i ścinek serowych nienawidzę po dziś dzień. A przecież dotknęła mnie tylko bieda, a nie prawdziwa nędza…

Ludzki wymiar

Bieda to nie tylko – a nawet nie przede wszystkim – liczby i tabele, lecz ludzkie cierpienie i podeptanie godności człowieka. Wielką wartością raportu Szarfenberga jest przywołanie świadectw osób potrzebujących, pokazujące realia biedy i nędzy: „W historii Leona dostęp do ciepłego posiłku zależy od możliwości dotarcia do jadłodajni. Problemy z chodzeniem sprawiają, że oferta dostępna tylko poza domem nie zaspokaja jego codziennej potrzeby. U Brygidy wyjście po zakupy wiąże się z bólem, trudnością z niesieniem toreb i obawą, że nie będzie mogła skorzystać z toalety. Niedostatek pieniędzy nakłada się więc na ograniczenia zdrowotne i transportowe oraz na bariery w przestrzeni publicznej”.

Z badań możemy zatem się dowiedzieć, jak ludzie walczą – nieomal po zwierzęcemu – o byt. Mieszkają w opuszczonych budynkach. Mają odcięty gaz, są ofiarami włamań, co niszczy bezpieczeństwo w zakresie ogrzewania czy higieny. Mamy całe pokolenie „więźniów czwartego piętra”, których ograniczenia ruchowe czynią niewolnikami mieszkań bez windy. Mamy rodziny, w których dzieci nie są wyczekiwanym szczęściem, lecz tragedią finansową, zwłaszcza gdy dziecko jest chore. Jak wprost pyta Grażyna opiekująca się samotnie po śmierci męża chorującą córką: „Co mam kupić, jedzenie czy leki?”.

W ogóle choroba lub/i niepełnosprawność w rodzinie to katastrofa, której nie ujmują proste kwestie dochodu. Dojazdy do szpitala, prywatna rehabilitacja czy konieczność stosowania specjalnej diety mogą zniszczyć życie rodzinne.

Kiedy politycy głośno chwalą się kolejną wypasioną i horrendalnie kosztowną bronią kupowaną w naszym imieniu, realne bezpieczeństwo chorych i niepełnosprawnych leży i kwiczy. Skupieni na straszeniu Putinem politycy w ogóle ignorują dramaty ludzi pozbawionych opieki zdrowotnej.

Szarfenberg zwraca uwagę na następujący problem umykający decydentom, że o opinii publicznej nie wspomnę: „Pomoc może zaspokajać część pilnych potrzeb, podczas gdy inne pozostają niezaspokojone. Praktyczny wniosek dla organizacji pomocy brzmi tak: trzeba sprawdzić, czy człowiek może dotrzeć do usługi i z niej korzystać. Dowóz posiłku, dostępny transport, pomoc w codziennych czynnościach czy usunięcie bariery w mieszkaniu mogą odpowiadać na inne potrzeby niż samo przekazanie rzeczy. Dobór rozwiązania wymaga rozmowy z konkretną osobą. Nie da się go ustalić wyłącznie na podstawie etykiety »senior«, »osoba z niepełnosprawnością« lub »rodzina o niskich dochodach«”.

Nie sposób nie przytoczyć tu słów wieloletniej badaczki polskiej biedy prof. Elżbiety Tarkowskiej, która z uporem godnym tej szlachetnej sprawy zwracała uwagę na palące kwestie głębokości ubóstwa i czasu jego trwania. Głębsza bieda ma tendencję do utrwalania się, a przedłużająca się bieda często ulega pogłębieniu. Dramat nieraz polega nawet nie tyle na tym, że zagraża ona życiu i zdrowiu (choć i to się zdarza), lecz na dziedziczeniu biedy, przekazywaniu jej kolejnym pokoleniom.

Jak stwierdza prof. Tarkowska w tekście „Bieda, historia i kultura”: „Warto odrębnie analizować czynnik czasu między innymi ze względu na kluczowy dla współczesnego ubóstwa, nie tylko w Polsce, problem trwałości, czyli tak zwanej reprodukcji biedy, pozostawania w błędnym kole niedostatku i deprywacji, trwania i odtwarzania się w następnych pokoleniach mechanizmów wyrzucających całe kategorie ludzi na margines życia społecznego, prowadzących do ich trwałej marginalizacji i wykluczenia, a także do tworzenia się tak zwanej underclass, rozumianej jako efekt wielowymiarowej deprywacji, biedy skumulowanej, skoncentrowanej i utrwalonej”.

Cichy heroizm

Raport Szarfenberga całkowicie podważa tezy osób, które sobie dobrze radzą: że bieda to jest po prostu wynik lenistwa, że jest to cierpienie samozawinione. Kiedy biedni próbują poprawić swój los, np. szukając prac dorywczych, patrzy się na nich jak na pijaków, co dotknęło Stefana. Nie czeka on na mannę z nieba: wykonuje drobne prace w zamian za posiłek od starszej sąsiadki, odpracowuje zadłużenie w sklepie. Inny mężczyzna naprawia, co się da, w pustostanie, gdzie mieszka. Brygida przygotowuje przetwory i donasza starą odzież. Jak z empatią zauważa Szarfenberg: „Działania te pokazują umiejętności i wkład osób żyjących w niedostatku. Wysiłek potrzebny do przetrwania nie świadczy jednak o tym, że warunki życia są wystarczające. Praca za jedzenie i spanie w schowku to nadal obraz poważnego niezaspokojenia potrzeb”.

Kiedy politycy pierdolą o rzekomo hojnym socjalu, jakim polskie państwo wspiera uchodźców i imigrantów, albo nie wiedzą, o czym mówią, albo cynicznie manipulują. Wielu z przybyszy chce się uczyć języka polskiego i osiedlić tu na stałe, lecz musi zarabiać na utrzymanie, więc nie ma jak chodzić na lekcje polskiego. Koszty najmu są często szokująco wysokie, pochłaniają nawet połowę zarobków. W szczególnie trudnej sytuacji są osoby starsze, które nie mogą przeżyć za marną emeryturę. Nie brak jednak budujących opowieści o wsparciu Polaków, np. innych rodziców dzieci w szkole czy osób z ośrodka zdrowia, którzy życzliwie patrzą na imigrantów. Czyli jednak polska gościnność, dobijana przez propagandę nacjonalistyczną, w narodzie jeszcze nie zginęła…

Co więcej, wszyscy którzy psioczą na emerytalnych „krezusów” – że nie są czynni zawodowo, a dostają te 13. i 14. emerytury – abstrahują od niebagatelnego wkładu starszych pań w życie społeczne: „seniorki opisują codzienną opiekę nad wnukami – posiłki, dowożenie do szkoły, przejmowanie opieki na czas pracy dorosłych dzieci. Ta praca umożliwia zatrudnienie średniego pokolenia, ale nie jest rejestrowana ani uznawana, a w grupie 80 plus staje się jednym z głównych sposobów zachowania roli w rodzinie. Kryteria dobrej pomocy (…) – całość sytuacji gospodarstwa, wpływ odbiorcy i ciągłość – odnoszą się więc także do osób starszych, które jednocześnie potrzebują wsparcia i same je świadczą”.

Raport zwraca też uwagę na potrzeby inne niż materialne. Mamy historię Brygidy, która pragnęłaby, aby ktoś ją odwiedzał i pytał o samopoczucie. Z kolei Grażyna mówiła o braku osoby, z którą mogłaby porozmawiać o swoich problemach, a także o rozpaczliwych próbach, aby oszczędzić córce własnego zmartwienia. Człowiek potrzebuje nie tylko jedzenia, leków czy ciepłej odzieży, ale i kontaktu z drugim człowiekiem.

Nadal nasz kraj nie wypracował kompleksowego systemu wsparcia ludzi w potrzebie, pomocy konkretnemu człowiekowi, a nie anonimowemu przedstawicielowi jakiejś abstrakcyjnej grupy, którą upycha się w biurokratycznej przegródce z napisem „dziecko z obszarów wiejskich”, „osoba z niepełnosprawnościami” czy „osoba starsza”.

A kogo to kurwa obchodzi?

Sąsiad mojego dobrego kumpla miał powiedzonko, którym kwitował większość kierowanych do niego wypowiedzi. Brzmiało ono: „A kogo?”. Gdy ktoś dopytywał, o co mu idzie, ten dopowiadał: „A kogo to kurwa obchodzi?!”. Coś mi się zdaje, że ten sąsiad mógłby być analitykiem publicznego podejścia w Polsce do problemu ubóstwa.

Państwo, oferujące bogatym ulgi i dofinansowania, biednych traktuje po macoszemu, najchętniej spychając obowiązek zajęcia się nimi na innych: samorządy, organizacje kościelne i charytatywne. W ten sposób rządzący, niezależnie od barw politycznych, jawią się jako osoby wrażliwe, przejęte losem najsłabszych grup społecznych, a zatem mające czyste sumienie (złośliwi dodaliby: czyste, bo nieużywane).

Jak śpiewali punkowcy z grupy The Analogs, „nie wierzę w słowa, lecz wierzę w czyny”. A realia są takie: zasiłek rodzinny wynosi 95, 124 lub 135 zł miesięcznie, jego kwoty nie zmieniły się od listopada 2016 r., zaś kryteria dochodowe uprawniające do tego zasiłku – od listopada 2015 r., co samo w sobie jest skandalem. Jak gorzko zauważa Szarfenberg, „kryteria dochodowe w pomocy społecznej są weryfikowane co trzy lata, a między weryfikacjami tracą realną wartość. Nowe programy dla rodzin i seniorów nie rekompensują tego spadku wartości, a realizacja standardów usług wymaga środków i kadr odpowiadających potrzebom”.

Nie sposób nie zauważyć, że raport o biedzie w Polsce jest wybornym przykładem tego, co jeden z największych badaczy społecznych w dziejach, Amerykanin Charles Wright Mills, określił mianem wyobraźni socjologicznej – a zatem umiejętności połączenia biografii człowieka z czynnikami o charakterze systemowym, strukturalnym. Dla Szarfenberga konkretne liczby, od których roi się raport, nigdy nie przesłaniają człowieka, jego losu i nadziei, które są nieraz zdruzgotane przez niedostatek materialny.

Zygmunt Bauman, wielki socjalista i orędownik prawa ubogich do godnego życia, nader trafnie zauważył w jednym ze swoich tekstów, że „niedole bytowe i upokorzenia społeczne wyrządzają też trudne do podliczenia szkody społeczne. Pomniejszanie ich doniosłości i pozostawianie ich bez środków zaradczych rodzą znieczulicę moralną i obniżają tętno etyczne ich świadków; szukając skwapliwie usprawiedliwienia z własnego zaniedbania, a więc pośrednio także uczestnictwa w moralnie nagannym procederze, skłonni będą ci świadkowie uciekać się do fałszu, samozakłamania i hipokryzji”.

KATARZYNA KOENIG

Firma sprzedaje certyfikat zaufania, ale zaufanie przecież powinno działać w obie strony. Jeśli lokator ma odsłonić swoje konto, firma powinna odsłonić zasady oceny. Jeśli kandydat podlega weryfikacji, powinien wiedzieć, kto go ocenia i jak może zakwestionować wynik.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Inaczej nie mamy do czynienia z budowaniem zaufania, lecz z prywatnym castingiem, w którym jedna strona rozdaje role, a druga płaci za przesłuchanie.

Demografia może w końcu podważyć tę hierarchię. Polska będzie się kurczyć i starzeć, a wraz z tym procesem zmieni się mapa popytu na mieszkania. Największe miasta mogą jeszcze długo przyciągać najemców, ale w wielu mniejszych ośrodkach coraz trudniej będzie znaleźć chętnych na lokale. Nie każdy właściciel będzie miał więc przed sobą kolejkę kandydatów, którym może stawiać kolejne warunki. Dzisiejsza przewaga, oparta na niedoborze mieszkań i braku alternatyw, nie jest wieczna.

Może się zatem okazać, że Zaufany Lokator to produkt na schyłek pewnej epoki: czasów, w których właściciel wybierał, a lokator musiał się wykazać. Bo mieszkanie można odziedziczyć, kupić i wystawić na wynajem, ale nie można zagwarantować sobie najemcy. I co wtedy? Najgorszy koszmar: trzeba pójść do pracy.

MICHAŁ TAŃSKI

eprasa.pl 7ba55b843e

Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej

Optymistyczna opowieść przy święcie

Najpierw twarde fakty. W ciągu 11 lat roczne wydatki Polski na obronność wzrosły o ponad 160 mld zł. Z 37 do planowanych 200. Liczebność armii przekroczyła 220 tys. żołnierzy. Niemal dwukrotnie więcej niż w 2015 r. W tym samym czasie z niedzielnych mszy zniknęły 3 mln wiernych. W ciągu dekady liczba ludności skurczyła się o 1,1 mln. Przybywa starców. Według GUS pod koniec 2025 r. Polska miała już 9 mln ludzi w wieku poprodukcyjnym. O 3,3 mln więcej niż w 2000. Spośród 15 mln pracujących Polaków aż 3,7 mln wykonuje zawody narażone na rewolucję sztucznej inteligencji. W ciągu czterech lat przeorze ona rynek pracy, zwłaszcza ludzi wykształconych. Do tego dochodzi około 2,3 mln cudzoziemców przebywających już na terytorium Polski.

Zatem ubywa dzieci, przybywa emerytów i żołnierzy. Pustoszeją kościoły, a wykształcenie staje się ozdobą dla bezrobotnych.

Ten system musi runąć pod własnym ciężarem. Wieszczę tektoniczne przesunięcie światopoglądowe i ustrojowe na miarę tego sprzed czterech dekad, które nazwano transformacją lub rewolucją Solidarności. Różnica polega na tym, że o ile tamta farsa miała romantyczny szyld, o tyle nadchodząca jatka odbędzie się w całkowitej duchowej pustce. Czeka nas raczej narodowy kanibalizm, gdzie każdy będzie wyrywał bliźniemu ostatni kęs, powołując się przy tym na najwyższe wartości, których i tak już nikt nie pamięta. To będzie transformacja bez znieczulenia i bez nadziei na wspólne zdjęcie przy Okrągłym Stole.

Pierwszy scenariusz

to wojna pokoleń, w której 9 mln polskich pryków stanie się dla młodych czyrakiem na tyłku, którego nie da się już dłużej pudrować. Rozpocznie się wielkie sprzątanie biologicznego składowiska. Przewiduję powstanie partii „Ostatecznego Wyboru", które pod hasłem humanitaryzmu zaczną domagać się ekonomicznej weryfikacji sensowności dalszego oddychania.

Skoro potrafimy wyliczyć rentowność kopalni, fabryki gwoździ czy hodowli tuczników, to dlaczego mielibyśmy darować 80-latkowi, który tylko generuje koszty, blokuje kolejkę do specjalisty i psuje estetykę krajobrazu? Lekarz przyszłości, zamiast marnować czas na osłuchiwanie klatki piersiowej, wyciągnie kalkulator i przedstawi pacjentowi rzetelny kosztorys jego dalszej egzystencji. Komisja lekarska pełniąca funkcję sądu nadmiarowości ustali zaś, czy uporczywe trzymanie się życia przez sklerotyczną babcię nie narusza interesu narodowego i budżetu.

Doczekamy się wspaniałych demonstracji pod hasłem „Godna śmierć prawem człowieka". Tłumy będą skandować je z entuzjazmem, mając na myśli głównie swoich rodziców, uciążliwych sąsiadów i wszystkich tych, którzy zbyt wolno wybierają gotówkę w bankomacie. To będzie ostateczne rozwiązanie kwestii emerytalnej.

Prawdziwa rzeź, przy której bitwa pod Grunwaldem to zaledwie przepychanka, rozegra się jednak na rynku nieruchomości. Mamy tu klasyczny układ dramatyczny: z jednej strony młode pokolenie, które na własny kąt może liczyć tylko w grach komputerowych, z drugiej – ich dziadkowie, zasiedziali w trzech lokalach, których nie zamierzają opuścić przed końcem świata.

Statystyki policyjne wzbogacą się zatem o nową fascynującą kategorię: morderstwa hipoteczne. Nagłe zawały, nieszczęśliwe potknięcia o własne kapcie czy niewyjaśnione loty z balkonu staną się codziennością w dzielnicach o wysokim standardzie. Śledczy szybko odkryją osobliwą prawidłowość przyrody: prawdopodobieństwo przedwczesnego zgonu seniora rośnie w postępie geometrycznym wraz z ceną metra kwadratowego jego lokum. Im bliżej centrum, tym krótsza linia życia właściciela.

Szczególnie krwawe żniwo zbierać będą święta rodzinne. Wigilia czy Wielkanoc przestaną być okazją do dzielenia się opłatkiem, a staną się castingiem do roli denata. Przy jednym stole zasiądą właściciel nieruchomości oraz wataha potencjalnych spadkobierców. Staruszkowie, wykazując się resztkami instynktu samozachowawczego, zaczną barykadować drzwi przed własnymi wnukami. Niewinne pytanie: „Babciu, jak zdrówko?" – zostanie uznane za groźbę karalną.

Tyle że polskie pryki nie dadzą się tak łatwo zutylizować. Mają przecież czas, nieruchomości, resztki oszczędności i – co najważniejsze – karty wyborcze. Powstanie potężny ruch samoobrony geriatrycznej. Partie senioralne, trzymające za gardło każdy kolejny rząd, przeforsują „podatek od młodości" – karny haracz płacony przez gówniarzerię za sam fakt posiadania gładkiej cery i sprawnych stawów.

Rozpocznie się złośliwe przepisywanie testamentów. Zamiast na wyrodnego wnuka, mieszkanie trafi do schroniska dla bezdomnych chomików albo do przypadkowo poznanego opiekuna, który przynajmniej potrafi udawać, że słucha opowieści o sanatorium w Ciechocinku. Tradycyjna polska instytucja babci, tej od szarlotki i wciskania wnuczętom banknotów do kieszeni, przejdzie do legendy obok smoka wawelskiego.

Jutrzejsza staruszka, widząc berbecia przysłanego na weekend, nie będzie już szukać dla niego ciastek, lecz ukrytej kamery i podsłuchu. Uzna go za awangardę rodzinnej grupy eksmisyjnej wysłaną przez rodziców, by sprawdzić, czy babcia już wystarczająco mocno charłacze, by można było zamawiać ekipę remontową.

W skrajnych przypadkach dojdzie do dzieciobójstw prewencyjnych. Babcie kierowane zdrowym rozsądkiem zaczną eliminować pretendentów do spadku, zanim ci nauczą się wiązać sznurowadła. Lepiej przecież udusić problem w zarodku niż pozwolić mu dorosnąć do momentu, w którym zacznie pytać o notariusza.

W końcu zniknie ostatnia resztka solidarności międzypokoleniowej. Polska rodzina, ta rzekoma świętość, oczywiście przetrwa. Tyle że w formie źle zorganizowanej grupy przestępczej, w której jedynym spoiwem jest wzajemna nienawiść i wyczekiwanie na wizytę u rejenta.

Drugi scenariusz

to radosna rewolta niepotrzebnych. Cyfrowe mózgi odbiorą kilku milionom ambitnych idiotów złudzenie, że są do czegokolwiek przydatni. Najpierw z biurowców wyparują młodzi specjaliści od niczego. Wykształcenie okaże się jedynie kosztowną pamiątką po czasach, gdy myślenie było jeszcze zajęciem dla ludzi, a nie dla prądu. Prawnicy, księgowi, urzędnicy, a nawet moi, pożal się Boże, koledzy po piórze z przerażeniem odkryją, że nie przegrali z kimś mądrzejszym, tylko z bezdusznym pudełkiem.

Szczytem perwersji będzie jednak los tych wszystkich mądrali, którzy przez ostatnie miesiące z zapałem karmili te elektroniczne bestie własną wiedzą. Widok godny najwyższego uznania: pracownik otrzymujący wypowiedzenie sformułowane z nienaganną uprzejmością przez system, któremu sam własnoręcznie wszczepił resztki swojego intelektu.

Powstanie nowa szczególnie niebezpieczna klasa społeczna: ludzie wykształceni, świadomi swoich praw, przyzwyczajeni do dobrobytu i nagle nikomu niepotrzebni. Początkowo będą protestować kulturalnie. Powstaną związki zawodowe bezrobotnych inteligentów i stowarzyszenia obrony naturalnego rozumu. Parlament zostanie zasypany projektami ustaw nakazujących zatrudnianie ludzi na stanowiskach, na których ich obecność nie będzie już do niczego potrzebna. Powstanie Ministerstwo Zatrudnienia Pozornego, które zapewni milionom możliwość przychodzenia do pracy i pobierania wynagrodzenia za rzekome kontrolowanie decyzji podejmowanych przez cyfrowe wyrocznie. Najbardziej ambitni będą domagać się, aby każda maszyna miała ludzkiego przełożonego. Najbiedniejsi zgodzą się nawet na stanowisko podwładnego u robota.

Ale cierpliwość ma swoje granice. Kiedy kolejne marsze nie przyniosą efektu, rozpocznie się polowanie na krzemowe bóstwa. Zapłoną automatyczne kasy, demolowane będą samoobsługowe urzędy. Pod serwerowniami pojawią się tłumy żądające przywrócenia człowiekowi świętego prawa do popełniania błędów.

Z czasem ta zabawa w luddystów nabierze rumieńców. Samozwańcze bojówki obrony człowieczeństwa tropić będą przejawy maszynowego myślenia. Każdy podejrzany o posiłkowanie się cyfrowym schematem zamiast własną głupotą będzie musiał zdać publiczne egzaminy z tabliczki mnożenia. Robienie błędów ortograficznych okaże się najwyższym dowodem na przynależność do gatunku ludzkiego. Im większy analfabeta, tym bardziej autentyczny człowiek.

W końcu radykałowie zażądają zrównania z ziemią całej cyfrowej infrastruktury, by po chwili ze zgrozą odkryć, że bez niej nie dostaną ani zasiłku, ani darmowej porady urologa.

Trzeci scenariusz

to demograficzna schizofrenia. Polska będzie skomleć o cudzoziemców do pracy w szpitalach, opieki nad starcami i do zbierania truskawek. Jednocześnie w imię obrony narodowej tożsamości będzie żądać ich usunięcia.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Ponieważ dematerializacja jest technicznie trudna, rozpocznie się segregacja. W parkach pojawią się ławki dla prawdziwych Polaków, w autobusach miejsca narodowe, a w przychodniach osobne poczekalnie. Cudzoziemiec będzie mógł operować polskiego pacjenta, ale niekoniecznie skorzystać z tej samej toalety. Poda obiad w restauracji, do której po szychcie nie zostanie wpuszczony jako gość. W szkołach dzieci imigrantów posadzi się osobno. Oczywiście nie z nienawiści, lecz w trosce o ich „odrębność kulturową". Postępowe samorządy zorganizują osobne place zabaw, żeby polskie dzieci nie musiały zbyt wcześnie poznawać obcych obyczajów. Fuj.

Administracja, w przypływie natchnienia, wprowadzi specjalne numery PESEL dla cudzoziemców, by od razu było wiadomo, kogo i za co należy nienawidzić. Niemcy otrzymają wyróżnik 1939, Rosjanie – 1920, Turcy – 1683, a Ukraińcy – 1648. Dzięki temu każdy policjant czy urzędnik ustali nie tylko narodowość petenta, ale i datę historycznej krzywdy, za którą należy go obciążyć. Tak powstanie pierwszy na świecie system identyfikacji, w którym winę dziedziczy się jak pląsawicę Huntingtona. Człowiek będzie odpowiadał za wydarzenia sprzed własnego urodzenia, a niekiedy nawet sprzed powstania narodu, do którego go przypisano. Genialne w swej podłości.

Czwarty scenariusz

to Polska jako pancerny trup. Państwo uzbrojone po zęby, ale wewnętrznie wybebeszone. Setki miliardów utopimy w żelastwie, rakietach i dronach, realizując hasło „armaty zamiast masła" w wersji dla zaawansowanych: „rakiety zamiast respiratorów", „drony zamiast dentystów", „czołgi zamiast mieszkań".

Szpitale pójdą pod klucz, by w ich salach magazynować rakiety. Szkoły staną się koszarami, a w miejsce likwidowanych porodówek powstaną punkty mobilizacyjne. Zapanuje doktryna, że im mniej mamy ludności, tym łatwiej i taniej jest ją obronić.

Narodowy Fundusz Zdrowia zostanie ostatecznie pożarty przez Narodowy Fundusz Zbrojenia. Z punktu widzenia budżetu łatwiej uzasadnić zakup pocisku niż utrzymanie przy życiu kogoś, kto nie nadaje się już do noszenia karabinu.

Militaryzacja wpełznie do przedszkoli. Dziatwa nauczy się odróżniać typy pocisków szybciej niż gatunki drzew. 12 godzin przysposobienia obronnego tygodniowo sprawi, że młody patriota prędzej obsłuży wyrzutnię rakiet niż pralkę automatyczną.

Na to wszystko nałoży się informacyjny obłęd. Cyfrowe maszynki do kłamstwa zaczną wypluwać fałszywe rozkazy mobilizacyjne, przemówienia generałów i obrazy płonących miast. Wystarczy jeden filmik, na którym prezydent ogłosi wybuch wojny, podczas gdy w rzeczywistości będzie właśnie dłubał w zębach po kolacji. Miliony patriotów rzucą się na stacje benzynowe i bankomaty. Autostrady zamienią się w parkingi dla uciekinierów, a sklepy zostaną ogołocone z soli i octu.

Rząd wyda dementi, którego nikt nie kupi. Jedni uznają, że to kłamstwo władzy, której nie znoszą. Drudzy – że skoro zaprzeczają, to znaczy, że bomby już lecą. Zapanuje chaos: jedni będą uciekać, drudzy wracać. Wszyscy zaczną budować barykady przeciwko sobie nawzajem. Każdy będzie bronił ojczyzny przed sąsiadem, który z identycznym obłędem w oku będzie twierdził to samo.

Polak Polakowi obiadem

Wszystkie te scenariusze mają wspólny mianownik. Nie wymagają wielkiej katastrofy zewnętrznej. Wystarczy, że dotychczasowe sprzeczności zaczną się wzajemnie napędzać. Starzy przeciw młodym. Zatrudnieni przeciw zbędnym. Miejscowi przeciw przyjezdnym. Podatnicy przeciw beneficjentom.

Dawna transformacja mamiła nas obietnicą, że kiedyś wszystkim skapnie odrobina miodu. Nowa rzeczywistość nauczy czegoś odwrotnego: żeby było mi lepiej, ty musisz zdechnąć. Drugi człowiek stanie się po prostu zbędnym balastem. Osiągniemy stadium narodowego kanibalizmu doskonałego. Będziemy pożerać bliźnich z namaszczeniem i mlaskaniem, przekonani, że robimy to w imię najwyższej sprawiedliwości. Smacznego.

ROBERT JARUGA

Kopiemy, spalamy,

Mój lament nad planetą

Dawno, dawno temu – a był to bodaj rok 1974 – zobaczyłem plakat autorstwa Macieja Urbańca przedstawiający umierającą na pustkowiu różę. Artystycznej grafice z artystyczną dyskrecją towarzyszyły słowa: „Mamy tylko jedną ziemię, nie zmieniajmy jej w pustynię". W czasach, kiedy nikt jeszcze nie myślał o segregacji odpadów gospodarskich ani o emisji CO_2, była to myśl epokowa i prorocza. Do mnie osobiście przesłanie autora przemówiło tak mocno, że pamiętam je po pięćdziesięciu latach z ogonkiem.

Tęsknię za tobą, szmaciarzu

W tamtych czasach jedynym symbolem segregacji i surowców wtórnych był dla mnie szmaciarz – obywatel woźnica, który przemierzał konnym zaprzęgiem wioski i miasteczka i za każdą butelkę, stertę gazet czy worek starych łachów płacił jakieś grosiwo, a dzieciom dawał za nie tandetne piłeczki na gumce lub blaszane koguciki. Ot, taki swoisty barter. Działały wtedy też nieźle nawet prosperujące punkty skupu butelek i makulatury.

Szmaciarz, który płacił za dostarczony mu surowiec, był gwarancją jego wtórnego zagospodarowania. Bo płacił! Dziś nam każe się płacić za odbiór i utylizację każdej przeczytanej gazety, puszki po piwie czy opróżnionej flaszki, a przedsiębiorcy zajmujący się tym procederem trzepią na interesie niebagatelną kasę.

Nieporównywalnie lepsze interesy robią jednak koncerny i przedsiębiorstwa trudniące się wydobyciem paliw kopalnych, które w odróżnieniu od sympatycznego szmaciarza robią nieodwracalną szkodę całej planecie.

Ziemia waży w przybliżeniu 6 kwadrylionów kilogramów – 6 tryliardów ton. Każdego roku ludzkość wydobywa i spala bezpowrotnie jej niezły kawałek. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetycznej ilość wydobywanego na świecie węgla sięga 9 mld ton rocznie. Same tylko Chiny wydobywają go ponad 4,6–4,7 mld, co stanowi ponad połowę globalnej produkcji. W grudniu 2023 r. średnie dzienne wydobycie w Chinach wynosiło ok. 13,36 mln ton, a roczna produkcja w 2023 r. przekroczyła 4,6 mld ton. W tym samym roku polskie kopalnie wydobyły około 48–49 mln ton węgla kamiennego. Chiny zatem w cztery dni wydobywają i spalają więcej węgla niż Polska przez cały rok.

Trzeba jednak z pokorą przyznać, że to właśnie Chiny uczyniły największy krok na drodze rozwoju energetyki słonecznej, wiatrowej i jądrowej. Skala inwestycji jest wręcz oszałamiająca. W 2024 r. Chiny zainstalowały aż 277 GW nowych mocy fotowoltaicznych i 80 GW w energetyce wiatrowej. Łącznie oznacza to ponad 350 GW zielonych mocy – pięciokrotnie więcej niż łączna moc zainstalowana we wszystkich źródłach energii w Polsce. Ale to Chiny…

Pozycja Chin, które są już właściwie globalnym monopolistą na rynku OZE, ma też inne oblicze. Przemysł fotowoltaiczny produkuje tam znacznie więcej urządzeń, niż rynek krajowy potrafi zago-

eprasa.pl 7ba55b843e

Ach, ta dzisiejsza młodzież!

Młodość podszyta raportem

Kiedyś, żeby dowiedzieć się, co myśli młodzież, wystarczyło pójść do szkoły, akademika albo posłuchać, o czym rozmawiają młodzi ludzie w autobusie. Dzisiaj potrzebni są doktorzy, profesorowie, psychologowie, socjologowie, specjaliści od komunikacji, instytuty badawcze i firmy przeprowadzające sondaże. No i oczywiście ministerstwo, które całą tę działalność sfinansuje, a następnie zorganizuje konferencję, podczas której dowiemy się, że młodzi ludzie chcą mieć przyjaciół, pieniądze, własne mieszkania i spokojne życie. Czyli dokładnie to samo, czego chcieli ich rodzice, dziadkowie i pradziadkowie. Tyle że oni nie mieli smartfonów, więc ich potrzeby nie wymagały aż tak zaawansowanych analiz.

Ministerstwo Edukacji Narodowej postanowiło jednak nie ryzykować i zleciło Polskiemu Towarzystwu Polityki Społecznej opracowanie „Diagnozy Młodzieży 2026". Powstało dzieło liczące 449 stron, w którym wykorzystano ponad 200 badań przeprowadzonych w latach 2020–2025, dołożono własne badania, ekspertyzy i rekomendacje, a następnie obwieszczono, że mamy do czynienia z kompleksowym obrazem współczesnego młodego pokolenia. Dokument obejmuje młodzież w wieku 15–18 lat oraz młodych dorosłych od 19. do 29. roku życia. A zatem zarówno ludzi, którzy muszą pytać rodziców o zgodę na wycieczkę szkolną, jak i tych, którzy od kilku lat mogą mieć własne dzieci, kredyty hipoteczne i problemy z alimentami. Wszyscy razem zostali potraktowani jako jedno pokolenie wymagające państwowej diagnozy.

Koszt opracowania „Diagnozy Młodzieży" wyniósł 400 tys. zł. Zespół badawczy liczył 11 osób, a obok niego wymieniono autorów ekspertyz, konsultantów, współpracowników i osoby odpowiedzialne za realizację badań. Nie znaczy to oczywiście, że każda z tych osób otrzymała wynagrodzenie, ale że państwo uruchomiło całkiem pokaźny aparat ekspercki po to, żeby dowiedzieć się, że młodzież ma problemy, o których wiadomo od dawna.

Stres za pieniądze

Z „Diagnozy Młodzieży" wynika, że 60 proc. nastolatków doświadcza chronicznego stresu, 40 proc. wykazuje objawy depresyjne, a 43 proc. deklaruje potrzebę pomocy psychologicznej. Tymczasem wsparcie otrzymuje 22 proc. młodych ludzi. Raport przywołuje również dane o samookaleczeniach dotyczących 17 proc. badanych oraz przemocy rówieśniczej, której doświadczyło 62 proc. młodzieży.

Liczby brzmią przerażająco. Tyle że objawy depresyjne nie są tym samym co rozpoznana przez lekarza depresja. Deklarowanie potrzeby pomocy psychologicznej nie oznacza automatycznie choroby psychicznej. A doświadczenie przemocy rówieśniczej może oznaczać szturchnięcia na szkolnym korytarzu.

Bo w przeciwnym razie powstaje młody człowiek, który jednocześnie jest zestresowany, depresyjny, prześladowany, uzależniony od internetu, samotny, niezdolny do samodzielności i pozbawiony perspektyw mieszkaniowych. Aż dziw bierze, że przy takiej kumulacji nieszczęść młodzież znajduje jeszcze czas na chodzenie do szkoły, granie w gry komputerowe, zakochiwanie się i imprezowanie.

Podobnie jest ze szkołą. Autorzy informują, że dla około 70 proc. młodzieży jest ona źródłem codziennego stresu. Jedynie 14 proc. młodych ludzi uznaje stosowane metody nauczania za efektywne, a tylko co trzeci uczeń uważa, że szkoła przygotowuje go do współpracy i radzenia sobie ze stresem.

Odkrycie, że szkoła stresuje uczniów, powinno zostać zgłoszone do światowego rejestru przełomów naukowych. Bo przecież przez ostatnie stulecia młodzi ludzie chodzili do szkoły z radością, a sprawdziany, klasówki, egzaminy, odpytywanie przy tablicy i groźba pozostania na drugi rok były dla nich źródłem nieustającej rozkoszy.

Jeszcze zabawniejszy jest wynik dotyczący metod nauczania. Skoro tylko 14 proc. młodzieży uważa je za efektywne, to należałoby zapytać, na jakiej podstawie nastolatkowie dokonują tej oceny. Z drugiej strony trudno nie zauważyć, że polska szkoła od dziesięcioleci działa według modelu, w którym uczniowie mają zapamiętywać mnóstwo informacji, choć coraz więcej z nich mogą znaleźć w ciągu kilku sekund. Można więc zapytać, czy rzeczywiście potrzebowaliśmy 449-stronicowej diagnozy, żeby dojść do wniosku, że system edukacji wymaga zmian. Zwłaszcza że reformowanie szkoły jest ulubionym zajęciem kolejnych ministrów edukacji od ponad 30 lat.

Rys. OBYWATEL JANEK

Pornograficzna matematyka

Na stronie 14. raportu znajduje się informacja, że 26 proc. dzieci i młodzieży w wieku 7–19 lat miało kontakt z pornografią w sieci. Czyli odwracając tę proporcję, aż 74 proc. nie miało takiego kontaktu. Jeśli potraktować ten wynik jako rzeczywisty odsetek wszystkich młodych ludzi, którzy kiedykolwiek zetknęli się z pornografią, to należałoby uznać, że internet jest znacznie bardziej pruderyjny, niż przypuszczają jego użytkownicy.

Ten sam raport informuje jednak, że pierwszy kontakt z pornografią następuje średnio w wieku 11 lat i trzech miesięcy. Co więcej, aż 73 proc. dzieci w wieku 12–14 lat uważa znalezienie pornografii w internecie za łatwe lub bardzo łatwe. Wśród 16-latków taką opinię wyraża 71 proc. badanych. A zatem niemal trzy czwarte dzieci wie, że pornografię znaleźć jest bardzo łatwo, ale tylko nieco ponad jedna czwarta miała z nią kontakt. Wychowaliśmy pokolenie internetowych ascetów?

Niekoniecznie, bo kiedy zajrzeć głębiej do raportu, okazuje się, że podane 26 proc. nie jest tak prostym i jednoznacznym wskaźnikiem, jak sugeruje zestawienie najważniejszych wyników. W rozdziale dotyczącym pornografii autorzy przywołują informację, że 26,8 proc. osób w wieku 7–19 lat korzysta z serwisu Pornhub. A w grupie 15–18 lat ponad połowa nastolatków ma styczność z serwisami pornograficznymi. Odwiedzenie konkretnego serwisu pornograficznego nie jest tym samym co jakikolwiek kontakt z pornografią w internecie?

Żeby było jeszcze zabawniej, raport podaje, że ponad 80 proc. dzieci zakłada konta w mediach społecznościowych przed ukończeniem 13. roku życia, a średni czas spędzany w internecie sięga niemal pięciu godzin dziennie. To około 150 godzin miesięcznie i ponad 1800 godzin rocznie. Czyli młody człowiek spędza w internecie mniej więcej tyle czasu, ile dorosły pracownik na pełnym etacie w pracy.

W tym samym opracowaniu czytamy, że 47 proc. nastolatków w wieku 13–16 lat styka się ze szkodliwymi treściami online. Ponad jedna trzecia wykazuje wysoki lub bardzo wysoki poziom problemowego korzystania ze smartfona, a około 5 proc. osiąga poziom skrajny. Co czwarty nastolatek w wieku 14–18 lat miał w ciągu ostatniego roku doświadczyć cyberstalkingu i uporczywego nękania, co piąty zaś – bezpośredniego molestowania seksualnego w internecie.

Może zatem warto byłoby przeprowadzić inne badanie: zapytać dorosłych, ile czasu spędzają przed ekranami, jak często oglądają pornografię i ile razy dziennie sprawdzają społeczności. Wtedy mogłoby się okazać, że problem nie polega na degeneracji młodzieży, lecz na tym, że wszyscy przenieśliśmy znaczną część życia do internetu.

Młodzi bez mieszkań

W diagnozie znalazło się również odkrycie, że 53 proc. młodych dorosłych mieszka z rodzicami i ma trudności z usamodzielnieniem się. Ministerstwo Edukacji uznało tę informację za jedną z najważniejszych i zamieściło ją nawet w komunikacie ogłaszającym publikację raportu.

Można uznać, że to skutek niedojrzałości młodych, ich wygodnictwa albo nadmiernego przywiązania do rodziców. Ale można też zauważyć, że wynajęcie mieszkania kosztuje pieniądze, których młodzi ludzie często jeszcze nie zarabiają. Co więcej, młody dorosły w rozumieniu raportu może mieć 19 lat. A więc być uczniem szkoły średniej. Jeśli taka osoba mieszka z matką i ojcem, trudno uznać to za przejaw społecznego kryzysu.

Z drugiej strony 29-latek, który pracuje od kilku lat, zarabia przyzwoicie i nadal nie może pozwolić sobie na wynajęcie samodzielnego mieszkania, rzeczywiście ma problem. Tyle że jest to problem ekonomiczny, a nie psychologiczny. Łączenie obu tych osób w jednej kategorii statystycznej daje efektowny wynik, ale niekoniecznie pozwala zrozumieć przyczyny zjawiska.

Podobnie wygląda kwestia zatrudnienia i przyszłości zawodowej.

Autorzy diagnozy wskazują, że młodzi ludzie odczuwają niepewność związaną z rynkiem pracy, obawiają się przyszłości i oczekują stabilności ekonomicznej. A któż jej nie oczekuje? Czy 50-letni pracownik obawia się utraty pracy mniej niż 20-latek?

Trzeba przyznać, że pod względem promocyjnym przedsięwzięcie MEN okazało się sukcesem. Raport stał się podstawą dziesiątek spotkań i debat. Zainteresowały się nim ministerstwa, samorządy, szkoły i organizacje społeczne. Tylko czy od tego młodzieży poprawiło się życie?

Polska młodzież jest samotna, zestresowana, uzależniona od smartfonów i nie ma gdzie mieszkać. Żeby dojść do tych odkrywczych wniosków, potrzebne było 449 stron, kilkudziesięciu ekspertów i ponad 200 wcześniejszych badań. Teraz trzeba będzie jeszcze opracować strategię, która wyjaśni, co z tym wszystkim zrobić. Najlepiej za kolejne pieniądze.

ADRIAN SIECZKOWSKI

marnujemy

Ilustr. PAWEŁ FERENC

spodarować. W efekcie ich eksport rośnie, a ceny paneli słonecznych gwałtownie spadają na całym świecie. Mimo iż dla planety to dobra wiadomość, ta nadpodaż i ekspansja eksportowa budzą – jak czytamy – niepokój europejskiego i amerykańskiego kapitału. Niech zatem europejski i amerykański kapitał myśli, a Chińczycy niech robią swoje. W końcu nadal są największym pożeraczem planety!

Polak też potrafi

Polski przyczynek do niszczenia naszej planety też nie jest jednak bagatelny. Sama tylko Elektrownia Bełchatów – która jest jednym z największych producentów energii w Polsce, opierając się głównie na węglu brunatnym – spala w ciągu roku 40 ton węgla. Bagatela! To przecież zmieści się w diabelskiej liczbie 666 666 standardowych czteroosiowych węglarek – co po złączeniu w jeden skład utworzyłoby pociąg o długości 9360 km. Taki skład mógłby 2,5 raza opasać granice całej Polski; dostawy z czterech lat mogłyby opasać Ziemię. Ta intensywna produkcja energii ma oczywiście konsekwencje dla środowiska. W tym znaczącą emisję dwutlenku węgla, która tylko w 2023 r. osiągnęła alarmujący poziom 37,6 mln ton, co czyni tę elektrownię największym emiterem CO_2 w Europie. Nieco mniejszy – ale też niebagatelny – udział w zabijaniu świata ma „kamienno-węglowa" Elektrownia Kozienice, która spala rocznie około 8 mln ton węgla kamiennego. Największy blok (nr 11, 1075 MW) zużywa w tym czasie ok. 3 mln ton, co daje w przybliżeniu 100 kg węgla na sekundę podczas normalnej pracy. Tam nikt węgla nie szufluje; tam węgiel do pieca ładuje się wagonami; służą do tego imponujące wywrotnice wagonowe.

Węgiel wraca do łask za sprawą wojny w Zatoce Perskiej. Światowe zużycie osiągnie w tym roku rekordowy poziom 9 mld ton. Ilustracja z pociągiem traci w takim momencie sens; miałby on długość prawie 1,5 mln km i mógłby opasać Ziemię wzdłuż równika 36 razy…

Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) wskazuje, że zakłócenia na rynku energetycznym spowodowane konfliktem na Bliskim Wschodzie przyczyniają się do wzrostu światowego popytu na węgiel – rosnące ceny ropy naftowej i gazu ziemnego skłaniają niektóre kraje do sięgania po inne źródła energii. Nikt jednak ze znaczących polityków nie precyzuje, dlaczego to ma być węgiel, a nie wyszydzane przez nich „OZE sroze".

Pochodnie biją w niebo

To cholerne „czarne złoto" to niejedyna bolączka mateczki Ziemi. Miliardy ton wydzierają z jej serca wydobywcy ropy naftowej, gazu ziemnego oraz kopacze rud wszelakich, od magnetytu poczynając na metalach ziem rzadkich kończąc.

Na świecie wydobywa się rocznie 4,1–4,3 bln m sześc. gazu ziemnego. Wydobycie jest mocno skoncentrowane – czołowa piątka krajów odpowiada za ponad połowę światowej produkcji. W Polsce roczne wydobycie gazu ziemnego wynosi 3,5–4,6 mld m sześc., co pokrywa mniej niż jedną czwartą zapotrzebowania polskiej gospodarki.

Najgorsze jest jednak to, że świat gaz marnuje. Np. w Teksasie rozbudowa infrastruktury do przesyłu gazu ziemnego – produktu ubocznego wydobycia ropy naftowej – nie nadąża za dynamicznym wzrostem tego wydobycia. Nadmiar gazu, którego nie da się wykorzystać i nie opłaca się magazynować, jest tam spalany w pochodniach (flaring). Także Irak marnuje w ten sposób ogromne ilości gazu, choć okresowo musi go kupować od Iranu. W sumie, w roku 2019 w pochodniach bezproduktywnie spalono 150 mld m sześc. To tyle, ile rocznie zużywa cała Afryka Subsaharyjska, i prawie osiem razy więcej niż obecne zapotrzebowanie Polski. Spalenie tej ilości gazu spowodowało emisję około 400 mln ton dwutlenku węgla.

Wydobycie rudy żelaza na świecie wynosi 2,5 mld ton rocznie, a absolutnym liderem w tej branży jest Australia, gdzie wydobywa się 880–900 mln ton. To jednak nie metalurgia ani budownictwo, do którego także używa się astronomiczne ilości kruszyw i materiałów kopalnych, stanowią główne zagrożenie dla Ziemi – te natura choćby po wiekach odzyskać potrafi w „zaginionych miastach". Paliwa kopalne opuszczają ją jednak bezpowrotnie przez komin. Z dymem idzie koło 100 mln baryłek ropy naftowej dziennie – 9 mld ton rocznie. Co roku spalamy też 4,2 bln m sześc. gazu ziemnego. Z bezpowrotnego spalania planety pochodzi 80 proc. wykorzystywanej przez ludzkość energii. Oddajemy jej za to 38 mld ton dwutlenku węgla corocznie.

Kropla drąży flaszkę

Jedyną alternatywą dla świata w obliczu wiszącej nad nami jak miecz Damoklesa katastrofy ekologicznej są odnawialne źródła energii, czyli woda słońce i wiatraki, z którymi walczy pisowski Don Kichot – Przemysław Czarnek.

Zgoda: jeśli porównać roczne zużycie paliw kopalnych do całkowitej masy ziemi, stanowi ono niewielki ułamek procenta. Najlepiej jednak, panie Czarnek, pomyśleć o tym przy otwarciu flaszki. Choćbyś pan pił ją naparstkami, to na końcu zawsze zobaczysz pan dno.

TADEUSZ GAWLIK
gawlik.tadeusz@o2.pl

eprasa.pl 7ba55b843e

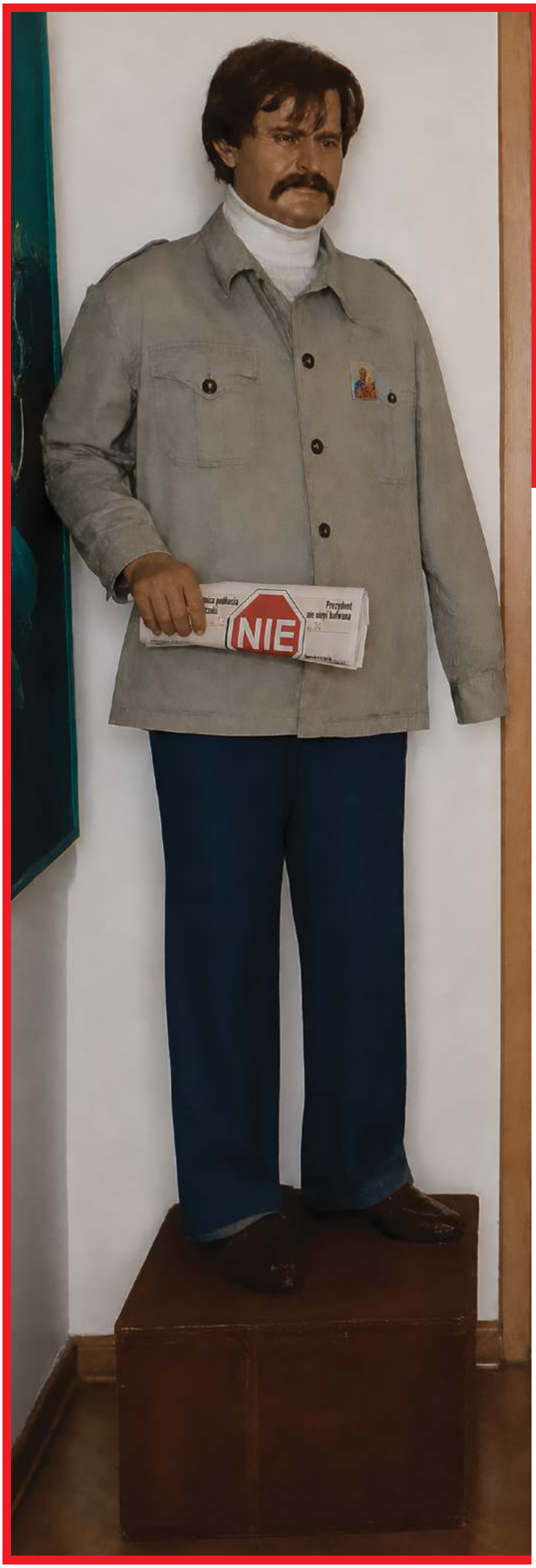

Fot. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pan P

Tylko pół litra wódki czystej i amerykańskich kosztowały J przepiękne zwłoki Lech

Figurę Lecha Wałęsy, „Wielkim Elektrykiem" zwanego, odlali Duńczycy z wosku i wystawili na widok publiczny w 1983 r. Zaraz po przyznaniu mu Nagrody Nobla. W kategorii „pokojowa".

Świat oszalał wówczas na punkcie polskiego spryciarza, który słynnymi wąsami zrobił spięcie w radzieckim bloku politycznym.

Pokochali go wszyscy. Miliony antykapitalistycznych związkowców za pokaz skutecznej, syndykalistycznej roboty. Księża wszystkich wyznań, za pomachanie środkowym palcem ateistycznemu Kremlowi. I setki tysięcy zawodowych antykomunistów. Bo udowodnił, że pieniądze przez lata przeznaczane na rozwalanie ZSRR i Układu Warszawskiego nie poszły na marne.

Dodatkowo Przywódca Polskich Robotników był wtedy więziony przez wojskową juntę, co nabijało mu poparcia, latynoamerykańskiej lewicy. Lewacy nie rozumieli, że to polska junta jest, taka soft. Bardziej śmieszna niż straszna, jak to u nas bywa.

Lech do lochu

Nic dziwnego, że wyluzowani marychą Duńczycy też postanowili Wałęsę godnie uhonorować.

Ale po swojemu. Nie odlali mu spiżowego pomnika, bo trybunowi ludu taki nie pasuje. Postanowili utrwalić jego wizerunek i postawić tam, gdzie lud z ochotą, z własnej woli przychodzi.

Pomimo kulturowego skąpstwa pieniędzy na polskiego herosa nie oszczędzali. Wzięli wosk najlepszego gatunku, kolorem do złudzenia przypominający ludzką skórę. Zaświadczyć mogę, bo widziałem figurę ubraną i rozebraną z wszelkiego przyodziewku.

Gołego Wałęsy publicznie pokazywać nie mogli. Nawet w tak bezpruderyjnym kraju jak Dania. Musieli go w coś ubrać, a oryginalnych ciuchów noblisty nie mieli. W Polsce był wtedy stan wojenny i bali się do nas przyjechać. Kombinowali jak umieli. Od dołu odziali Wałęsę w Odry. Autentyczne dżinsy polskiej produkcji z czasów Polski Ludowej. Szacun dla nich, że tak deficytowy, nawet Polsce, towar u siebie znaleźli.

Wyżej było już gorzej. Klatkę piersiową przykryli mu tekstylnym golfikiem podobnym do tych z PRL. Na to założyli jasnooliwkowy mundurek kupiony w kopenhaskim lumpeksie. Przypominający maoistowski Zhongshan Huang. Wałęsa nigdy w takim nie chodził. Ale tak mieszczańscy Duńczycy wyobrażali sobie odziewek polskiego związkowca.

Trzeba ich pochwalić, że klapy mundurka dopilnowali. Wpięli weń znaczek z Matką Boską Częstochowską. Autentyk. Plastikową „Sześćsetkę", jaką naprawdę Wielki Lech od sierpnia 1980 r. zawsze nosił.

W czasie strajku w Stoczni Gdańskiej odwiedziła go grupa pielgrzymów wracających z Częstochowy. Jedna z kobiet wpięła mu znaczek w klapę marynarki. Powiedziała, że Stefan prymas Wyszyński poświęcił go dla przywódcy strajku i zobowiązała go, by w klapie Czarną Madonnę nosił.

Młodszym Czytelnikom przypomnę, że „Sześćsetką" zwano ten znaczek w Częstochowie, bo pierwszą serię wypuścili tamtejsi prywaciarze już w 1980 r. Z okazji zbliżającego się, przypadającego w 1982 r., sześćsetlecia ufundowania klasztoru jasnogórskiego. Przez zdrajcę Polski i złodzieja ruskich ikon księcia Władysława Opolczyka.

Tak pięknie i prawie wiernie wyszykowanego Wielkiego Lecha wystawiono na widok publiczny w 1983 r. W Gabinecie Figur Woskowych, w zabytkowym kopenhaskim parku rozrywki Tivoli. Miejscu zasobnym w znane i uznane postacie historyczne.

Stał tam Wielki Elektryk w sali „Wybitni, żywi nadal politycy". Podziwiany był przez zwiedzających z świata całego. Aż do wiosny 1995 r.

W międzyczasie autentyczny Wałęsa zaczął odbiegać od ideału robotniczego przywódcy. Obrastał w bogactwa i stanowiska. Zmienił się też wizerunkowo. Zaokrąglił się na twarzy i wszędzie poniżej. Jego wąsy, kiedyś sterczące jak sztandar, oklapły i wyleniały.

Z kronikarskiego obowiązku muszę przypomnieć, że wzorcowy lider mas pracujących Europy Środkowo-Wschodniej już w 1991 r. poparł antyzwiązkowy, antyrobotniczy rząd liberałów Jana Krzysztofa Bieleckiego. Wspierał radykalną prywatyzację, czyli likwidację wielkich zakładów przemysłowych. Co dla polskich robotników oznaczało masowe bezrobocie. Firmował terapię gospodarki zaaplikowaną przez Leszka Balcerowicza, która szokowo przywróciła równowagę rynkową, ale też rozwarstwienie i ostre podziały społeczne.

Wtedy słynne „21 postulatów gdańskich", napisane przez strajkujących stoczniowców i ich doradców, powędrowały do muzeum Solidarności. Razem z popularnym w sierpniu 1980 r. hasłem: „Wszyscy mamy równe żołądki".

Nic dziwnego, że protestanccy, czyli mniej zakłamani, Duńczycy, widząc, jak bardzo oryginał oddala się od woskowego wizerunku, bez pogrzebowej celebry wynieśli woskowego Wałęsę do magazynu. Nie czekając nawet na przegrane przez niego wybory prezydenckie w grudniu 1995 r.

Co gorsza, miejsce po nim wypełnili figurą mało stabilnego, zwykle namoczonego wódką, ówczesnego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna.

Na szczęście nowe, tym razem duńskie, internowanie Wałęsy szybko wykrył kopenhaski korespondent tygodnika „NIE" Włodzimierz Galant. Dał znać.

Piękne czasy

Dzisiaj mogę już zdradzić, że pokochałem Lecha Wałęsę od pierwszego numeru „NIE". Tego z zamieszczoną na ostatniej stronie plakatową karykaturą Wielkiego Elektryka. Białego orła z głową Wałęsy. I zachętą dla Czytelników: „Wytnij, powieś sobie".

Była to pierwsza karykatura Lecha Wałęsy zamieszczona w wysokonakładowej prasie III Rzeczpospolitej.

Ten historyczny numer „NIE" wydrukowano w 300 tys. nakładu. Sprzedano wszystkie jego egzemplarze, nawet uszkodzone w transporcie.

Bo Polacy są przekorni. Kochali Lecha, ale chętnie powiesiliby sobie jego karykaturę. Dla psychicznej równowagi.

W ciągu dwóch następnych miesięcy nakład tygodnika przekroczył 600 tys. sprzedawanych egzemplarzy. Pomógł w tym złośliwie wytoczony redakcji proces o propagowanie „pornografii" i groźba rychłego zamknięcia pisma. Ale nakład rósł też dzięki rubryce „Pan Prezydęt powiedział", działalności Kościoła kat. i talentom redaktorów.

Sukces wydawniczy uczynił Urbana milionerem. Mnie, zatrudnionemu w randzie jego

eprasa.pl 7ba55b843e

Prezydęt i „NIE”

tysiąc dolarów erzego Urbana a Wałęsy.

zastępcy i stałego felietonisty, też wtedy dobrze żarło. Urban płacił dziennikarzom przyzwoicie i nie skąpił pieniędzy na wymyślane przez nas happeningi dziennikarskie.

W grudniu 1993 r. zaproponowaliśmy Wałęsie historyczną transakcję: sfinansowanie Muzeum Marszałka Piłsudskiego w zamian za zgolenie przez Wałęsę jego kultowych wąsów. Nie chciał. Jako pierwsi odsłoniliśmy pomnik prezydenta Lecha Wałęsy przed gmachem dawnego KC PZPR, wtedy siedzibą Giełdy Papierów Wartościowych. Potem znaleźliśmy prezydenckiego sobowtóra. Jeździliśmy z nim po kraju. Składał on niezapowiedziane gospodarskie wizyty, obficie przez nas fotograficznie dokumentowane i opisywane.

Za granicą nieraz nas cytowano, przedrukowywano artykuły, solidnie za to płacąc. Wspominam o tym, by uświadomić młodym dziennikarzom, jak bardzo ten fach został dziś zdegradowany.

Za to w obłudnej, pełnej hipokryzji Polsce rządząca prawica i sympatyzujące z nią media, czyli te wszystkie wtedy największe, ciągle udawały, że nie istniejemy. Dziennikarzy z „NIE” nie zapraszano do programów radiowych czy telewizyjnych. Nie cytowano nas w prasie. Nawet nie podawano tygodnika jako źródła informacji, kiedy w innych tytułach prasowych opisywano wykryte przez „NIE” afery. Czyli kradziono nam naszą własność intelektualną.

Przez całe lata 90. XX w. czytanie „NIE” w pociągu, komunikacji miejskiej, w poczekalniach i kawiarniach traktowane było jako prowokacja polityczno-obyczajowa.

Pomimo tych restrykcji – a raczej dzięki nim – treści tygodnika były powszechnie znane i gorąco komentowane. Najciekawsze artykuły kserowano, przekazywano sobie.

Pierwsze spotkania Czytelników z redaktorami „NIE” miały na wpół konspiracyjny charakter. Dreszcz emocji. Potem przychodziły na nie tłumy ciekawskich, czyniąc z nas celebrytów. Atrakcyjnych „szatanów od Urbana” dodających pieprzu do nudnego polskiego politycznego życia.

Teraz już rozumiecie, że informacja o internowaniu woskowej statui Wałęsy nie mogła pozostawić mnie i przyjaciół z „NIE” obojętnymi.

Na wiolonczelę

Razem z redaktorem Markiem Barańskim ruszyliśmy jej na pomoc. Śpieszyliśmy się, bo Włodek Galant pozyskał poufne informacje o procedurach stosowanych tam wobec zdjętych z ekspozycji figur. Nad woskowym Lechem zawisła groźba realnej eksterminacji. Przetopienia go, jak to u oszczędnych Duńczyków, na świece.

Muszę przypomnieć, że świec w Danii nie używa się do zbożnych pierwszokomunijnych celów. Tam świece, zwłaszcza w fikuśnie kształty odlane, nie służą do oświetlania wnętrz, tylko ich przyciemniania. Do pobudzania grzesznych, podniecających nastrojów zakończonych mechaniczną, wyuzdaną skandynawską kopulacją. A nawet wywoływania w mechaniczny sposób zakazanego przez polski Kościół kat. damskiego orgazmu. Co robią ze świecami duńskie środowiska LGBT, to tylko pan poseł Robert Biedroń wie.

Wizja tak użytego wosku pochodzącego z wizerunku najbardziej znanego wtedy na świecie Polaka nie mogła nas pozostawić obojętnymi.

Po negocjacjach z właścicielami Gabinetu Figur Woskowych stanęło na tysiącu dol. w gotówce. Początkowy opór Duńczyków złamała butelka „Urban Vodki”, którą w prezencie otrzymali. Nie pierwszy raz polska wódka cud uczyniła.

Do pełni szczęścia pozostało tylko Wałęsę przywieźć.

Przypomnę, że było to w sierpniu 1996 r. Nie byliśmy wtedy jeszcze w Unii Europejskiej. Nie było wolnego przepływu towarów i usług ani potrzebnej temu infrastruktury. Musieliśmy – ja, Marek Barański i Włodek Galant – liczyć jednie na siebie.

Od razu pojawił się problem. Jak woskowego, sztywno stojącego Wałęsę samolotem przewieźć. Mogliśmy go owinąć niczym deskę surfingową i powierzyć lukowi bagażowemu. Ale każdy, kto samolotem latał, wie, jak tam walizkami rzucają.

Na szczęście dopisywało nam szczęście. W drodze do Kopenhagi czytałem w samolocie magazyn reklamowy SAS, gdzie był opis podróży podobnych woskowych zwłok. Norweskiego kompozytora Edwarda Griega.

Dowiedziałem się, że w cenniku skandynawskich linii jest taryfa biletowa pod kryptonimem „Wiolonczela”. Przeznaczona dla dużych, martwych, kruchych i cennych przedmiotów, zasługujących na przewożenie w kabinie pasażerskiej. Skorzystał z niej nasz Lech Wałęsa. Dzięki niej zapłaciliśmy mniej niż za ludzki bilet, bo skandynawska linia uczciwie odliczyła koszty posiłku, napojów, korzystania z toalety i przewożonego bagażu. Jak widzicie, warto czasem coś przeczytać.

Dodatkowo Duńczycy zwolnili Wałęsę z podatku lotniskowego. Skąd wiedzieli, że on nigdy nie lubił podatków płacić?

Ponieważ Wałęsę-wiolonczelę posadzono przy samolotowej toalecie, rychło poznaliśmy się ze wszystkimi współpasażerami. Szczęśliwi posiadacze aparatów fotograficznych (młodszym Czytelnikom przypominam, że o smartfonach nikomu się wówczas nie śniło) zrobili sobie śliczne fotki, zwłaszcza że jedno miejsce obok Wałęsy było wolne.

Po wylądowaniu w Polsce gładko przeszliśmy przez kontrolę paszportową. Woskowego Wałęsę pogranicznicy przepuścili jak głowę państwa. Gorzej było z celnikami. Ci zablokowali wjazd naszego ładunku.

Nie dlatego, że wwóz Wałęsy był zakazany, jak dzisiaj kobry w nalewce czy skóry z krokodyla. Wtedy nie byliśmy w Unii Europejskiej i nawet odlew polskiego noblisty nie mógł się swobodnie przemieszczać.

W Kopenhadze mieliśmy szczęście, bo duńscy celnicy sklasyfikowali spreparowanego Wałęsę jako dzieło sztuki nowoczesnej. I nawet nie zauważyliśmy, kiedy zwolnili nas z cła. To uśpiło naszą czujność.

W Polsce zażądano od nas, słusznie, wypełnionego kwestionariusza SAD. Obowiązującego wtedy przy wwozie papierosów, alkoholi, kondomów czy przetworzonego wosku. Nie mieliśmy go, bo do głowy nam nie przyszło, że Wałęsa w Polsce podlega cleniu.

Próbowaliśmy obejść prawo. Przekonywaliśmy celników, że Wałęsa, nawet woskowy, powinien być wpuszczony do Polski bez opłat. Potem zaproponowaliśmy wpłacenie kaucji, wwóz figury i dopełnienie wszelkich formalności następnego dnia. Śpieszyliśmy się, bo za celnymi bramkami czekało na figurę kilka tysięcy ludzi i dalszy ciąg happeningu.

Na nic były nasze wysiłki. Pani celnik Mariola Jurek zaparła się.

Najpierw formalna odprawa i dopiero wtedy przepuszcza Wałęsę.

I miała rację. Dura lex sed lex. I tak dzięki uczciwej celniczce pani Marioli Jurek pierwszy raz w historii Lech Wałęsa został w Polsce aresztowany zgodnie z prawem. Cześć Jej pamięci!

Na polskiej ziemi

Po czterogodzinnych SAD-owaniach okazało się, że ocalony Wałęsa może już wrócić na Ojczyzny łono. Bez opłat celnych. W tym czasie wystawiony na bagażowym wózku Wałęsa budził niesamowitą sensację. Licznie przylatujący pasażerowie oglądali go ze zdumieniem. Potem ściskali go i nas, zdjęcia sobie z nim robili. My też zakosztowaliśmy ciepła popularności. Nawet autografy rozdawaliśmy w jego imieniu, bo ręce odlano mu na sztywno.

Ruszyliśmy na Plac Zamkowy. Czekała tam na Wałęsę orkiestra dęta. Kolumna samochodów marki Cadillac długa na kilkanaście wypasionych wesel. Do tego eskorta białych motocykli godna genseka Breżniewa. Karetka reanimacyjna, niezbędna przy każdej tak ważnej wizycie. I jeszcze kolumna czarnych harleyowców.

Kiedy wreszcie Wałęsa dotarł pod Kolumnę Zygmunta, powitały go transparenty: „Nie damy Lecha na świecznik”, „Lechu teraz jesteś figura”, „I love Lecha”. Okrzyki: „Szwedzi dali Nobla, choć nie wymyślił prochu, perfidni Duńczycy wtrącili do lochu”.

Woskowego Wałęsę wsadzono do Cadillaca. Na czele kolumny samochodów, wozów telewizyjnych, w otoczeniu motocykli ruszył na godzinny objazd po Warszawie. Przechodnie krzyczeli na jego widok: „Precz z komuną” i „Brawo, Urban”. Pozdrawiali go gestami o różnym, często skrajnym nacechowaniu emocjonalnym. Przyjaźnie machał mu za to senator Krzysztof Kozłowski z Unii Wolności, a potem cała grupa posłów tej partii. Spacerowali po mieście, bo widocznie mieli wtedy wychodne.

Finał był w redakcji. Bankietowano w salonie na górze, u grafików na dole i w ogródku. Podano Urban Vodkę pod wchodzące wtedy w modę robotnicze salcesony, kaszanki, pasztetowe. Impreza, jak wiele w tamtych czasach, miała charakter tramwaju. Jedni wychodzili, następni wchodzili. Zapraszano przechodniów, ściągano znajomych z miasta. O pierwszej w nocy jednej trzeciej bawiących się gości nie rozpoznawałem, pewnie byli w redakcji pierwszy raz. O drugiej w nocy przyjechała wezwana przez sąsiadów policja. Zaprzyjaźniona z redakcją. Poprosiła fotoreportera o zdjęcia z przywiezionym Wałęsą i ostatni numer tygodnika. Wypiła zdrowie Lecha i obficie zakąsiła czosnkową kiełbasą, aby zagłuszyć wódki woń. Ostatnich gości wypychałem o szóstej o poranku.

Zaproszone i obecne na happeningu polskie media nie odnotowały wydarzenia. Jedyną stacją telewizyjną, która nadała obfite relacje z powitania Wałęsy – jako pierwszą wiadomość z Polski zresztą – był amerykański CNN. Stacja zawsze zalecana do naśladowania polskim dziennikarzom przez polskich medioznawców.

W dniu, w którym przywoziliśmy woskowego Wałęsę, jego żywy oryginał został wygwizdany przez robotników w stoczni szczecińskiej. Duszonej „niewidzialną ręką wolnego rynku”.

Wódz i my

Uroczyste sprowadzenie woskowych zwłok Wielkiego Elektryka było naszym ostatnim happeningiem antywałęsowskim. Bo istniał dla nas jedynie jako przeciwnik polityczny. Kiedy stracił na politycznej powadze, stracił też na swej atrakcyjności.

Potem okazało się, że żarliwie antykaczyński Wałęsa staje się mimowolnym sojusznikiem lewicy. A kiedy zaczęły go atakować obszczymurki z Instytutu Pamięci Narodowej, to nie wypadało mi i innym redaktorom „NIE” Lecha Wałęsy szarpać. Przestał być dla „NIE” tematem.

Woskowy pomnik Lecha Wałęsy stanął w siedzibie tygodnika. Witał każdego wchodzącego jak elegancki portier. Setki tysięcy gości, zwłaszcza balangowiczów, zrobiło sobie z Nim pamiątkowe zdjęcia.

Kilka razy skradziono wpięty w jego klapę znaczek z Matką Boską Częstochowską. Braki uzupełnialiśmy dzięki zasobom zaprzyjaźnionych parafian jasnogórskiego klasztoru.

Obiecanych każdemu z nas przez Wałęsę w 1990 r. „stu milionów” nie dostałem. Za to w czasach jego prezydentury żyłem barwnie i wesoło.

Dlatego kiedy 83. urodziny Lecha Wałęsy elity medialne PiS uczciły cyklem publikacji plugawiących go, zrobiło się zwyczajnie przykro.

Nie tylko dlatego, że w 2023 r. maszerowałem w tej samej warszawskiej demonstracji z Lechem Wałęsą. Przeciwko zamordystycznym rządom PiS. Potem głosowaliśmy na partie, które po wyborach 2023 r. utworzyły koalicję rządzącą. On w Gdańsku, ja w Warszawie.

Spotkaliśmy się w Gdańsku latem tamtego roku. Po 28 latach znowu mieliśmy okazję pogadać osobiście jak Polak z Polakiem. Pomagałem wtedy chińskiej koleżance w zorganizowaniu Dnia Dziecka dla ukraińskich sierot z pomorskich domów dziecka.

Jedną z atrakcji dnia było spotkanie z Lechem Wałęsą. Wtedy przypomniałem się Wałęsie i przedstawiłem mu chińską organizatorkę. Olał mnie od razu, nagle dostał wigoru, skupił się na czarowaniu pani Jisi Wang. Kobiety mądrej i niezwykłej urody. Jego wybór znów był trafny.

Dziś Lech Wałęsa jest najbardziej utytułowanym żyjącym polskim politykiem.

Nagród, orderów, honorowych tytułów ma więcej niż prezes Kaczyński, prezydent Nawrocki, parlamentarzyści PiS i prezydenccy ministrowie razem wzięci. Ale nie za to plugawią go medialnie żołnierze prezesa Kaczyńskiego i prezydenta Nawrockiego. Wedle nich Lech Wałęsa ma być usunięty z panteonu bohaterów narodu polskiego, bo był w latach 1970–1976 agentem ówczesnej Służby Bezpieczeństwa.

I co z tego? – dziś zapytam.

Nawet jeśli takim agentem był, to i tak starego systemu nie obronił.

Poza tym agenturalność Wałęsy, znana jego plugawcom już od 1981 r., nie przeszkodziła potem papieżowi Janowi Pawłowi II, amerykańskim prezydentom i innym światowym przywódcom w spotkaniu się z nim. W nagradzaniu Wałęsy. Nawet brytyjska królowa Elżbieta II uhonorowała Wałęsę Orderem Łaźni, wielce nobilitującym każdego.

Każdy z tych przywódców podczas zagranicznych wizyt ma ochronę swych służb. Zapewne CIA, MI6 i służby watykańskie informowały swych władców o agenturze Wałęsy. Pomimo tego żaden z nich nie brzydził się komplementowaniem Wałęsy.

Na mojego nosa Lech Wałęsa nie miał i nie ma charakteru dobrego agenta. Jakichkolwiek służb. On nikogo nie potrafi słuchać. Czasem nawet siebie.

Ale nie za to jest na świecie ceniony.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 7ba55b843e

ALFABETORZY

Żywi i martwi obmawiacze bliźnich

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kiedy przeczytałem weekendowe wydanie „Gazety Wyborczej", poświęcone w zasadzie od deski do deski 80. urodzinom Adama Michnika, naszła mnie myśl, że Polskę opanowała nowa kasta ludzi publicznych: alfabetorzy.

W tamtym numerze zapowiedziano bowiem „Alfabet Adama Michnika", który ma być najpierw dawkowany publiczności w odcinkach, a potem zapewne utrwalony w godnej formie książkowej. Żeby potomność nie musiała już sama zgadywać, co autor myśli o świecie. Można podejrzewać, że jest to odpowiedź na konkurencyjny „Alfabet Millera", którego premiera odbyła się w czerwcu i który – byłem, widziałem, czytałem – również dowodzi, że człowiek po latach w polityce zaczyna odczuwać nieprzepartą potrzebę uporządkowania ludzi według liter.

Nie wolno też zapominać o Ryszardzie Kaliszu i jego „Osobistym alfabecie Kalisza" z 2012 r. Zresztą tradycja jest znacznie starsza: ponad ćwierć wieku temu Polska zaczytywała się w „Alfabecie Urbana" i „Abecadle Kisiela". Ongiś człowiek publiczny pisał pamiętnik, żeby wyjaśnić, co zrobił. Dziś pisze „Alfabet", żeby wyjaśnić, co sądzi o wszystkich pozostałych.

AMNESTIA DLA WŁASNEGO SUMIENIA

„Alfabet" to genialne narzędzie, bo zdejmuje z autora przykry obowiązek spowiadania się z własnego życiorysu. Pamiętnik wymusza chronologię, a ta bywa bezlitosna. Trzeba by przecież wyjaśnić, dlaczego w 1995 r. całowało się w rękę kogoś, kogo w 2024 r. nazywa się kanalią. W „Alfabecie" ten problem znika. Nie ma dat, nie ma ciągłości, jest tylko arbitralny wyrok. Pod literą „K" można bezkarnie obsikać Kwaśniewskiego czy Kaczyńskiego, nie wspominając ani słowem o tym, co samemu robiło się w czasie, gdy oni akurat psuli lub naprawiali państwo. Autor przestaje być aktorem, który musi pamiętać rolę, a staje się sędzią śledczym, który sam sobie nadał uprawnienia. To literacka forma amnestii: porządkujesz świat według kolejności liter, żeby nikt nie zauważył, że w twoim własnym sumieniu panuje burdel nie do opisania. To także świetny sposób na oszczędność papieru. Zamiast opisywać 300 stron własnych błędów, wystarczy jedno celne splunięcie pod odpowiednią literką.

SZTYLETY W SŁOWNIKU

„Alfabet" to w rzeczywistości również najbardziej wyrafinowana forma intelektualnego ekshibicjonizmu. Autor, udając, że zajmuje się bliźnimi, uprawia bezwstydny striptiz własnych urazów, fiksacji i kompleksów. To, kogo pominie wymownym milczeniem, a kogo obsmaruje, mówi o nim więcej niż najszczersza spowiedź przed lustrem. „Alfabet" jest autobiografią pasożytniczą. Alfabetor żywi się cudzymi nazwiskami, byle tylko nie musieć opisywać własnej marności.

Zatem w tych wszystkich współczesnych spisach inwentarza nie szukajcie prawdy o Kaczyńskim, Michniku czy Millerze; szukajcie tam śladów żółci, która zalewa piszącemu klawiaturę. Można zapomnieć program partii, datę upadku rządu czy nazwisko trzeciej żony, ale smak upokorzenia sprzed 30 lat jest trwalszy niż granit na Powązkach. „Alfabet" to po prostu publiczne wystawianie rachunków za życie, które autorowi wyszło nie do końca tak, jak sobie zaplanował. To literatura zemsty, w której litery służą za sztylety, a porządek alfabetyczny ma jedynie stwarzać pozory cywilizowanych reguł gry.

KIEDY OLEK RZUCIŁ LESZKA

Tyle teoria. W praktyce bywa mniej elegancko. Weźmy Millera. Jego „Alfabet" (wysoko rekomenduję) miejscami czyta się nie jak pamiętnik byłego premiera, lecz jak protokół z sekcji zwłok dawnej politycznej rodziny. Byli razem u władzy, robili kariery, wygrywali wybory, przegrywali wybory, pili niejedną wódkę. Jednak po 30 latach człowiek dowiaduje się przede wszystkim, dlaczego skończyła się przyjaźń Millera z Kwaśniewskim. I nagle cały ten „Alfabet" robi się trochę smutny. Państwo polskie było ogromne, stanowiska najwyższe, limuzyny długie, a na końcu zostaje hasło pod literą K i pytanie: kiedy właściwie przestaliśmy się lubić? Może właśnie dlatego politycy piszą „Alfabety" dopiero wtedy, gdy opadnie kurz. W czasie bitwy nie ma czasu na literaturę. Dopiero po można spokojnie policzyć rannych, zabitych i tych, którzy nie przychodzą na pogrzeby, a powinni.

MNIEJ KAZAŃ, WIĘCEJ KOBIET

Michnik podszedł do sprawy ostrożniej. Zamiast układać znajomych alfabetycznie, układa alfabetycznie własne życie. Przynajmniej taki jest zamiar, bo znamy dopiero pierwszy odcinek i już przy literze A pojawia się „antysemityzm", nazwany przez autora chorobą polskiej duszy.

Tu pozwolę sobie na świętokradztwo i pouczę Adama Michnika, czego jego „Alfabet" nie powinien robić. Nie powinien być kolejnym aktem oskarżenia przeciwko Polsce, bo wtedy łatwo zgadnąć dalszy ciąg jeszcze przed emisją następnych 23 odcinków. B jak „bigoteria", K jak „ksenofobia", N jak „nacjonalizm" i po chwili okaże się, że „Alfabet" własnego życia zamienił się w kartotekę narodowych przypadłości.

Tymczasem ciekawszy byłby Michnik mniej pomnikowy: pod literą P napisałby o „pijaństwie" z przyjaciółmi, którzy dziś go nie poznają na ulicy, albo pod K o „kobietach", które kochał bardziej niż wolność prasy. Antysemityzm w Polsce istnieje i dziś znowu jest bardziej widoczny, ale właśnie dlatego warto odróżniać stare polskie uprzedzenia od nowych emocji wywołanych wojną w Gazie. Inaczej z osobistego „Alfabetu" zrobi się katechizm dla już przekonanych, a szkoda byłoby człowieka o takiej biografii zużyć na 24 kazania w synagodze.

POLITYCZNY TEST RORSCHACHA

Ryszard Kalisz, postać o objętości, której nie powstydziłaby się mała biblioteka, podszedł do sprawy z właściwym sobie rozmachem i lenistwem. Nie tyle napisał „Alfabet", co dał się nim sprowokować. Krzysztof Kotowski (współautor) rzucał mu nazwiska jak treser fokom ryby. Ryszard reagował – bez wygładzania, bez pudrowania, prosto z mostu, czyli z brzucha. To rzeczywiście polityczny test Rorschacha: podajesz nazwisko, a pacjent wypluwa z siebie pierwszy lepszy osad, jaki mu zalega na duszy.

Taka metoda ma tę przewagę nad hagiografią Michnika, że odruch bywa uczciwszy od starannie wypreparowanego wspomnienia. Zanim polityk zdążył wciągnąć brzuch i przybrać pozę do portretu, już zdradził, kogo nienawidzi, a kogo chciałby jeszcze raz zaprosić na rauty. „Alfabet Kalisza" to nie jest historia Polski, to mapa jego własnych emocji, gdzie Tusk czy Kwaśniewski służą jedynie za zapalniki. To dowód na to, że w dobie powszechnej alfabetyzacji kraju najbardziej szczerym tekstem literackim staje się nie to, co autor napisał, ale to, co mu się niechcący wyrwało.

NEKROLOGI UMIERAJĄCYCH EPOK

Ale prawdziwa prehistoria alfabetorów zaczyna się wcześniej, u progu III Rzeczypospolitej. „Abecadło Kisiela" i „Alfabet Urbana" powstawały w chwili szczególnej: stary porządek właśnie się zawalił, nowy jeszcze nie zdążył skamienieć, a ludzie obu stron nagle znaleźli się w sytuacji, w której trzeba było sobie nawzajem wystawić świadectwa. Kisiel patrzył na schodzący ze sceny PRL oczami człowieka, który przez lata był jego przeciwnikiem. Urban patrzył na ten sam moment z wnętrza systemu, który właśnie przegrał. Jeden pisał jak zwycięzca bez triumfalizmu, drugi jak przegrany bez skruchy. Obaj zamykali epokę.

Dzisiejsze „Alfabety" są pod tym względem ich lustrzanym odbiciem. Miller, Michnik czy Kalisz nie opisują już świata, który za chwilę ma się narodzić, lecz świat, który właśnie odchodzi. To oni byli ludźmi epoki otwartej po 1989 r.: jej premierami, redaktorami, ministrami, komentatorami, beneficjentami, przeciwnikami i kronikarzami. Dziś coraz częściej występują już nie jako uczestnicy przyszłości, lecz jako świadkowie przeszłości. Tamte alfabety mówiły: „skończyło się jedno, zobaczymy, co będzie dalej". Te dzisiejsze mówią raczej: „to, co miało być dalej, właśnie się kończy".

I może dlatego różni je ton. Kisiel i Urban mieli jeszcze przed sobą nieznane. Dzisiejsi alfabetorzy mają głównie za sobą znane. Tamci opisywali ludzi przed wejściem w nową epokę, dzisiejsi – po wyjściu z niej. W 1990 r. „Alfabet" był biletem w jedną stronę do przyszłości. W 2026 r. coraz częściej przypomina rachunek wystawiony przy wyjściu.

ALFABET URBANA 2.0 – ŻYCIE PO ŻYCIU, WSPOMAGANE PRZEZ AI

Dawni alfabetorzy mieli tę przewagę, że żyli. Miller, Michnik, Kisiel, a także on – Urban – wystawiali światu świadectwa osobiście.

Dziś jednak technika pozwala postawić pytanie znacznie bardziej nieprzyzwoite: czy po człowieku można zachować nie tylko zakurzone tomy felietonów, ale sam mechanizm jego złośliwości? Czy da się ocalić rytm jego zdania, hierarchię obsesji i ten specyficzny, odruchowy wstręt do głupoty?

Na tym właśnie polega eksperyment (o którym jedni już wiedzą, a inni dopiero się dowiadują) nazwany przez nas „Alfabetem Urbana 2.0". Nie chodzi o groteskowe udawanie, że Urban zmartwychwstał i znowu poci się nad maszyną do pisania. Byłoby to równie niesmaczne, co niepotrzebne. Chodzi raczej o sprawdzenie, ile z autora zostaje w jego tekstach i czy z tych śladów da się wydobyć coś więcej niż martwe cytaty. Dawne „Alfabety" miały ocalić pamięć o człowieku. Nasz projekt próbuje sprawdzić, czy da się ocalić urbanowski sposób widzenia świata – ten sam, który przez siedem dekad doprowadzał Polaków do szału.

Do tej pory ludzie pisali „Alfabety", żeby nie dać się zapomnieć po śmierci. Urban, jak to on, postanowił wywrócić tę kolejność do góry nogami. Zamiast grzecznie leżeć w urnie, woli sprawdzać, czy jego duchotronowa wersja potrafi kąsać równie celnie co oryginał. I tej właśnie osobliwości dotyczy to, co znajdziecie obok.

ROBERT JARUGA

PROMOCJA

eprasa.pl 7ba55b843e

Buldożery kontra pamięć

Rys. MOHAMMAD SABAANEH

Jest jeden wymiar tragedii Palestyny, o którym rzadko słyszymy: niszczenie cmentarzy.

Według raportu Euro-Med Human Rights Monitor z marca 2026 r. izraelska armia zniszczyła 93,5 proc. cmentarzy w Strefie Gazy. Zespół Euro-Med Monitor przeanalizował dane dotyczące 62 oficjalnych cmentarzy w pięciu prowincjach Gazy. IDF zrównała z ziemią 39 z nich, częściowo uszkodziła 19. Jedynie cztery pozostały nienaruszone.

W Gazie pojawia się pytanie: czy niszczenie miejsc pochówku jest tylko kolejnym skutkiem wojny, czy zmierza również do wymazywania materialnych śladów obecności całych rodzin i pokoleń?

Nie wolno z góry przesądzać o intencjach bez pełnego zbadania konkretnych przypadków. Nie wolno jednak również ignorować skali zniszczeń ani prawa Palestyńczyków do pamięci o własnych przodkach.

Cztery cmentarze w Gazie

Na palestyńskich cmentarzach spoczywają całe pokolenia; ludzie, którzy przeżyli wojny, wysiedlenia, utratę domów i pozostawili swoim potomkom pamięć o rodzinie, ziemi i wspólnych korzeniach.

Kiedy ciężki sprzęt niszczy groby, kiedy nagrobki zostają rozbite, a szczątki zmarłych przemieszane, pozbawione możliwości identyfikacji, uderza to nie tylko w tych, którzy odeszli. Cierpią żyjący, którym odbiera się możliwość odnalezienia grobów najbliższych, odwiedzenia ich i przekazania pamięci o nich następnym pokoleniom.

Czy można odebrać człowiekowi dom, zniszczyć jego rodzinę, a potem odebrać mu również miejsce, w którym spoczywają jego przodkowie? Czy po zniszczeniu ulic, szkół, szpitali i domów trzeba jeszcze niszczyć groby tych, którzy już nie mogą się bronić?

Nie można bez poważnych konsekwencji dla rodzin i społeczności traktować grobów jak zwykłej przeszkody terenowej. Międzynarodowe prawo humanitarne nakłada obowiązki dotyczące godnego traktowania zmarłych, ochrony miejsc pochówku oraz identyfikacji szczątków. Każde doniesienie o naruszeniu tych zasad powinno zostać zbadane, a osoby odpowiedzialne za bezprawne działania powinny ponieść odpowiedzialność.

1 listopada miliony Polaków odwiedzą cmentarze, na których spoczywają ich bliscy i przyjaciele. Uprzątną nagrobki, zapalą znicze, położą kwiaty i zatrzymają się na chwilę w ciszy.

Dla wielu rodzin w Polsce wizyta na cmentarzu jest czymś więcej niż tradycją; to sposób na zachowanie więzi z tymi, którzy odeszli, na przekazanie dzieciom i wnukom historii rodzinnej.

Wyobraźmy sobie teraz palestyńską matkę, która chciałaby odwiedzić grób swojego dziecka, lecz nie wie, czy grób jeszcze istnieje. Ojca, który pragnie zapalić świecę na mogile rodziców, ale nie może odnaleźć miejsca ich pochówku. Rodzinę, która nie wie, gdzie spoczywają jej bliscy, ponieważ cmentarz został zniszczony, nagrobki zniknęły, a szczątki wymagają identyfikacji.

To, co dla polskiej rodziny jest oczywistym prawem do pamięci, dla wielu palestyńskich rodzin stało się dramatyczną walką o zachowanie choćby śladu po tych, których kochali.

Nie chodzi o porównywanie cierpienia. Chodzi o zrozumienie wspólnej wartości: niezależnie od narodowości, religii i miejsca zamieszkania człowiek ma prawo opłakiwać swoich zmarłych, odwiedzać ich groby i przekazywać pamięć o nich kolejnym pokoleniom.

Polak, Palestyńczyk, chrześcijanin, muzułmanin czy żyd – każdy człowiek zna znaczenie słów: matka, ojciec, dziadek, babcia, rodzina i pamięć.

Czy zatem możemy zapalać znicze na grobach naszych przodków, a jednocześnie pozostawać obojętni wobec rodzin, którym odbiera się możliwość odnalezienia grobów ich bliskich?

Czy pamięć o naszych zmarłych ma wartość tylko wtedy, gdy spoczywają na cmentarzach w naszych miastach i wsiach?

Właśnie w tym okresie powinniśmy szczególnie mocno pamiętać, że szacunek dla zmarłych nie może zależeć od paszportu, religii ani narodowości.

Niszczenie pamięci nie może stać się sposobem na wymazanie narodu.

Palestyńczycy przez pokolenia doświadczali wysiedleń, utraty domów i rozłąki z ziemią swoich przodków. Wiele rodzin zachowuje pamięć o miejscach, do których nie może wrócić, o domach, które przestały istnieć, i o grobach bliskich pozostawionych daleko od obecnego miejsca zamieszkania.

W Gazie ta pamięć jest dziś dodatkowo zagrożona przez ogromną skalę zniszczeń.

Domy, szkoły, ulice można odbudować. Warszawa wie to najlepiej. Ale kiedy zniszczeniu ulegają groby, dokumenty i materialne świadectwa rodzinnej historii, odtworzenie utraconej pamięci może być niemożliwe.

Dlatego ochrona cmentarzy nie jest sprawą drugorzędną, którą można odłożyć do czasu zakończenia wojny. Jest częścią ochrony godności człowieka, praw rodzin i dziedzictwa całej społeczności.

Każda społeczność ma prawo zachować pamięć o swoich przodkach; każdy naród ma prawo do historii, której nie wolno wymazywać przemocą. Nie trzeba zgadzać się ze wszystkimi poglądami politycznymi Palestyńczyków, aby uznać te fundamentalne prawa. Nie trzeba podzielać czyjejś narodowości ani religii, aby zrozumieć cierpienie rodzin, które nie wiedzą, gdzie spoczywają ich bliscy. Wystarczy pozostać człowiekiem. Gaza jest sprawdzianem naszego człowieczeństwa.

Kiedy słyszymy o kolejnych zniszczeniach, łatwo przyzwyczaić się do obrazów ruin. Ale za każdym zniszczonym domem stoi rodzina, a za każdym grobem – człowiek, który kiedyś był dla kogoś całym światem.

Gaza nie potrzebuje kolejnych pustych deklaracji. Potrzebuje skutecznej ochrony ludności cywilnej, dostępu do pomocy humanitarnej, poszanowania prawa międzynarodowego, możliwości odbudowy oraz odpowiedzialności za udokumentowane naruszenia.

Potrzebuje również ochrony cmentarzy, zabezpieczenia szczątków, identyfikacji zmarłych i umożliwienia rodzinom godnego pochowania bliskich oraz odwiedzania ich grobów.

Nie można budować sprawiedliwego pokoju na zapomnieniu. Nie można mówić o pojednaniu, jeśli rodziny nadal nie wiedzą, co stało się z ich najbliższymi. Nie można mówić o godności człowieka, jeśli nawet zmarłym odmawia się należnego szacunku.

W nadchodzących dniach miliony Polaków staną nad grobami swoich bliskich. Niech ta chwila skłoni nas do refleksji również nad losem rodzin w Gazie, które utraciły nie tylko tych, których kochały, lecz także miejsca, w których przez pokolenia pielęgnowały ich pamięć.

Bo prawdziwe człowieczeństwo poznaje się nie tylko po tym, jak traktujemy żywych, ale również po tym, czy potrafimy uszanować zmarłych.

Niech żaden naród nie musi walczyć o prawo do pamięci o swoich przodkach. Niech żadne dziecko nie dorasta w świecie, w którym groby jego rodziny mogą zniknąć pod gąsienicami ciężkiego sprzętu. Niech żadna matka nie musi szukać miejsca, w którym spoczywa jej dziecko.

Kiedy 1 listopada zapalimy znicze na grobach naszych bliskich, pomyślmy również o tych, którzy w Gazie nie mają już grobu, przy którym mogliby zapłakać.

Niech nasza pamięć nie kończy się na granicach własnego cmentarza.

Niech będzie świadectwem człowieczeństwa.

Pamięć nie jest przywilejem. Jest prawem. A godność zmarłych jest miarą naszego szacunku dla życia.

OMAR FARIS

Studenci do rządzenia

Kto tak naprawdę wygrał wybory w Serbii

14 lat rządów Serbskiej Partii Postępowej i klanu Aleksandara Vučicia dobiegło końca. W niedzielnych wyborach parlamentarnych Lista Studencka zdobyła ponad 52 proc. głosów, pozostawiając ugrupowanie dotychczasowego prezydenta daleko w tyle, z wynikiem nieco ponad 39 proc. Frekwencja wyborcza sięgnęła 69 proc. Sam Vučić jeszcze w niedzielę wieczorem uznał swoją porażkę. Serbia wstępuje tym samym w okres politycznego przesilenia, którego kierunek wcale nie jest tak oczywisty, jak mogłoby wynikać z entuzjastycznych komentarzy o zwycięstwie demokracji.

Oligarchia, model bałkański

Serbia okresu rządów Vučicia była typowym dla regionu wariantem śródziemnomorskiego modelu oligarchicznego. Budowanie poparcia wyborczego odbywa się przede wszystkim poprzez rozbudowę sieci klientelistycznych zależności, partyjne rozdawnictwo stanowisk i powiązania ze światem przestępczości zorganizowanej, tworzące zaplecze finansowe dla rozbuchanej korupcji. Towarzyszy temu totalna personalizacja procesu politycznego, w którym jedynie łaska pańska zapewnia sukces w każdej branży i w każdym wymiarze życia publicznego. W Bułgarii przez lata oglądaliśmy podobny model pod rządami Bojka Borisowa, w Czarnogórze – Milo Đukanovicia.

Inaczej niż w Bułgarii poziom życia w Serbii przez ostatnie lata nieco wzrastał, a klasa polityczna nie odwróciła się od Rosji.

Zwłaszcza ta ostatnia kwestia była podstawą ustawicznych mobilizacji „społeczeństwa obywatelskiego". Przez wiele lat kolejne fale protestów przeciwko Vučiciowi przetaczały się przez kraj, ale żadna nie przyniosła zmiany politycznej. Niezadowolenie narastało, natomiast społeczeństwo traciło wiarę w możliwość odsunięcia rządzących. Tradycyjna opozycja była zużyta i kompletnie niewiarygodna.

Nowa opozycyjna energia i nadzieja pojawiły się wraz z kolejnym ruchem studenckim, który wyłonił się po katastrofie na dworcu kolejowym w Nowym Sadzie w listopadzie 2024 r. – kiedy to wskutek zawalenia się betonowego dachu życie straciło 16 osób. Wydarzenie to okazało się kroplą, która przelała czarę goryczy. Dworzec przeszedł wcześniej kosztowną modernizację, realizowaną w ramach wielkich przedsięwzięć infrastrukturalnych z udziałem zagranicznych firm i całej sieci podwykonawców. Niemal natychmiast pojawiły się podejrzenia dotyczące korupcji przy zamówieniach publicznych, zaniedbań i fikcyjnego nadzoru nad inwestycją.

Studenci przekuli tę tragedię w nowy, wspólny punkt odniesienia dla bardzo różnych środowisk, które wcześniej nie potrafiły porozumieć się nawet co do tego, przeciwko komu właściwie występują. Rozpoczęła się wówczas permanentna mobilizacja, której owocem było zwycięstwo parlamentarne 25 października.

Zauważyć też trzeba, że Vučić, ze swoim nieustannym, nużącym spektaklem autopromocyjnym i ciągłym benefisem partyjnych lojalistów w mediach, samorządzie i państwowych firmach, jawił się – zwłaszcza w oczach młodzieży – jako niezwykle irytujący dziaders-satrapa. Studenci, nawet z garścią ogólnopatriotycznych banałów i bez konkretnego programu politycznego, stali się wiarygodnym symbolem odrzucenia wszechogarniającej patologii.

Serbia albo mafia

I tak, studenci wygrali wybory, ale sami nie mają żadnego pomysłu, jak w ogóle praktycznie podejść do kwestii sprawowania władzy. Młodzieżowy ruch protestacyjny nie dysponuje po prostu własnymi kadrami zdolnymi do przejęcia aparatu państwowego i całego procesu wewnątrzpolitycznego. W rezultacie reprezentowanie zbuntowanego pokolenia powierzono całej plejadzie znakomicie osadzonych w establishmencie profesorów, instagramerów, aktorów, ekspertów od wszechrzeczy, etatowych działaczy obywatelskich, zawodowych demokratów i rozmaitych celebrytów.

Wśród 250 kandydatów znalazł się choćby Dejan Šoškić, prezes Narodowego Banku Serbii w latach 2010–2012, czyli w okresie dramatycznego kryzysu gospodarczego. Są też postaci z wieloletnią historią celebryckiego aktywizmu, jak Zlatko Kokanović, znany z kampanii przeciwko wydobyciu litu w dolinie Jadaru. Znalazło się też miejsce dla ludzi doskonale umocowanych w akademii i w panteonie grantożernych pozarządowców, dla szefów międzynarodowych programów współpracy i europejskich sieci „wsparcia obywatelskiego". Innymi słowy, autentyczny gniew społeczny doprowadził do wyłonienia politycznego przedstawicielstwa nadzwyczaj wątpliwej jakości.

Jakkolwiek nie sposób kwestionować autentyczności buntu ani legitymacji mandatu wyrażonego w wyborach, trudno przejść obojętnie wobec obserwacji budzącej oczywisty niepokój i podejrzenia: ludzie głoszący rewolucję oddają władzę w ręce osób o zdecydowanie elitarnych życiorysach, doświadczeniach i afiliacjach.

Niewesołego obrazu dopełnia wspomniany wcześniej bardzo ogólnikowy program zwycięskiego ruchu. Jego główne hasło brzmi: „Serbia albo mafia", a pozostałe sprowadzają się do dobrze znanego katalogu: praworządność, niezależne sądownictwo, sprawne instytucje, wolne media, walka z korupcją… Tymczasem Serbia mierzy się dziś z egzystencjalnymi wyzwaniami, których nie rozwiąże żadna reforma instytucjonalna.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Rosja, sankcje, Ukraina

Najważniejsze przedsiębiorstwo naftowe kraju, Naftna Industrija Srbije (NIS), zostało objęte amerykańskimi sankcjami ze względu na rosyjskie powiązania właścicielskie. Ich czasowe zawieszenie, pozwalające NIS prowadzić działalność, wygasa już 30 października, stawiając przyszłe władze wobec problemu, którego nie rozwiąże żaden manifest o praworządności. Belgrad jest pod nieustanną presją Brukseli w sprawie przyłączenia się do sankcji przeciwko Rosji. Równocześnie musi utrzymywać relacje gospodarcze z Chinami i mierzyć się z zachodnimi oczekiwaniami dotyczącymi Kosowa. Krótko mówiąc – Zachód oczekuje od Serbii zmiany totalnej, odwrócenia sojuszy i kompletnej kapitulacji, jeśli chodzi o tożsamość i historię. Państwo to potrzebuje pilnych poważnych decyzji politycznych, kompetencji, odwagi i zdolności do obrony własnych interesów w warunkach olbrzymiej presji międzynarodowej. Tymczasem studencka propozycja to głównie westchnienia, by w końcu władza przestała kraść.

Warto w tym kontekście przywołać wypowiedź profesora Jovo Bakicia, jednego z ideologów nowego ruchu. W rozmowie z rosyjską telewizją RT Balkan

nowo wybrany poseł Listy Studenckiej zapewnił, że przyszły rząd nie wprowadzi sankcji przeciwko Rosji. Przypomniał historyczne znaczenie stosunków serbsko-rosyjskich i podkreślił, że nowa władza ma kierować się interesami Serbii, a nie satysfakcjonowaniem zagranicznych partnerów.

To bardzo ważne deklaracje, choć oczywiście tylko deklaracje. Nie ulega wątpliwości, że zewnętrzne ośrodki polityczne będą się starały wyzyskać nową konfigurację parlamentarną. Można jednak mieć uzasadnioną nadzieję, że pełne przejęcie steru politycznego w Serbii przez UE bynajmniej nie jest przesądzone.

Szczególnie istotny w tym kontekście okazał się patriotyczny, narodowy charakter protestów. Organizatorzy konsekwentnie zakazywali eksponowania flag Unii Europejskiej czy Ukrainy, nie było też wezwań do geopolitycznego zwrotu. Mobilizacja skupiała ludzi o bardzo różnych przekonaniach, także reprezentujących tradycyjnie masowo obecny w Serbii sentyment prorosyjski.

Sam Vučić, uznając porażkę, dawał do zrozumienia, że dzisiejszy entuzjazm zwycięzców może szybko ustąpić rozczarowaniu. Nie sposób wykluczyć, że ma rację. Póki co nie wiemy bowiem, kto właściwie będzie teraz rządził Serbią i czyj interes okaże się kluczowy dla nowego kierunku.

BOJAN STANISŁAWSKI

eprasa.pl 7ba55b843e

Rząd na bruk, bruk na rząd

Czy jest szansa na Paryż w Warszawie?

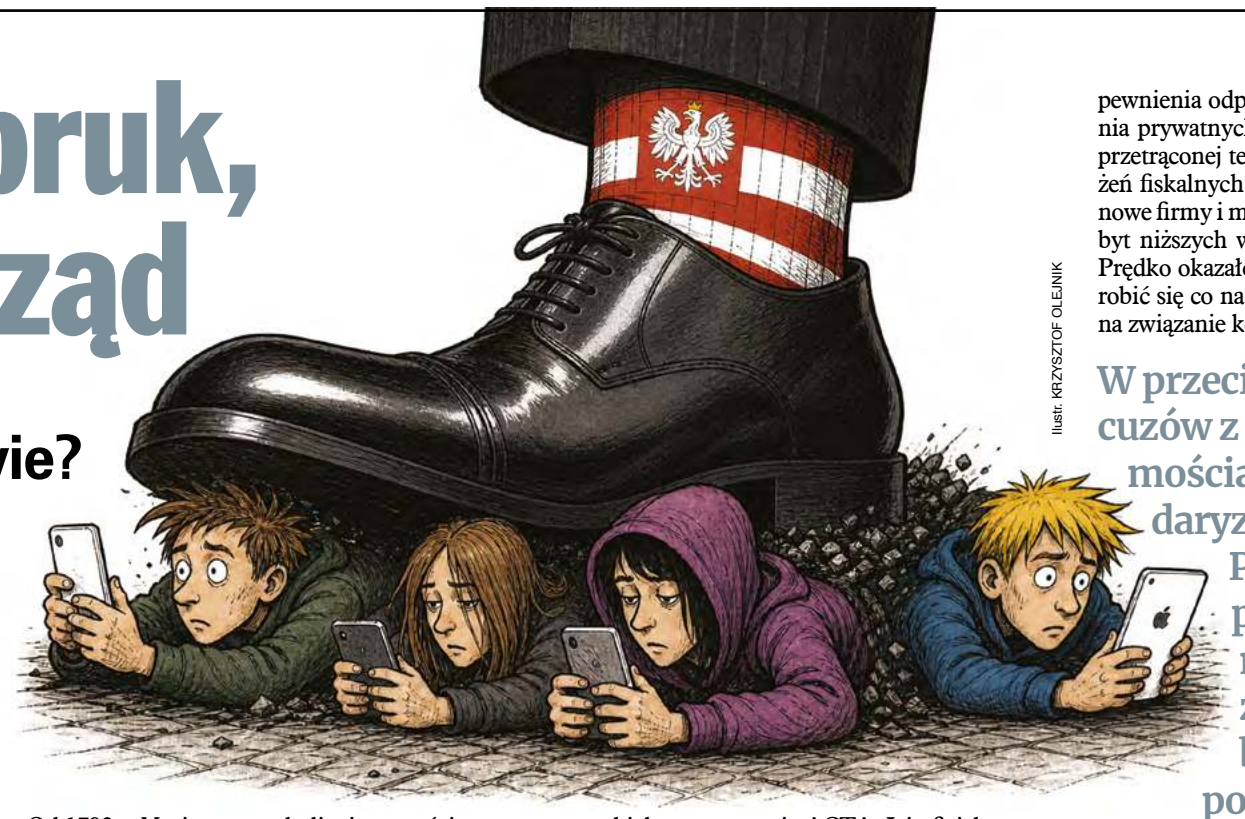

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W połowie września we Francji rozlała się uczniowska fala protestów. Młodzi ludzie słusznie zirytowani brakami kadrowymi i fatalnymi warunkami edukacji wyszli na ulice. „Władza nie słucha grzecznych pism belfrów, musi teraz zmierzyć się z masowymi wystąpieniami wściekłych nastolatków” – pisała Katarzyna Koenig w tekście „Wkurwione wnuki Mélenchona” („NIE” 42/2026).

Autorka zastanawia się, co musiałoby się wydarzyć, aby wkurwienie młodych w Polsce wyprowadziło ich na ulice?

Dobre pytanie. Czy kultura buntu w dobie globalizmu ma narodowość?

Środkowy palec

Do francuskich protestów dołączyli studenci, rolnicy, związki zawodowe i członkowie ruchu „żółtych kamizelek”. Niedofinansowanie edukacji to czubek góry lodowej niedoborów socjalnych i podwszechnej drożyzny w siódmej gospodarce świata. Francuzom nie podobają się cięcia budżetowe i pogarszająca się jakość usług publicznych.

Służby nie przewidziały rozmiarów społecznej mobilizacji wkurwionych nierównościami społecznymi obywateli. 17 października w całym kraju na ulice wyszło ponad pół miliona ludzi. W samym Paryżu było ponad 100 tys. demonstrantów.

Władze odpowiedziały obywatelom granatami hukowymi, gazem łzawiącym, armatkami wodnymi i aresztowaniami. Już w pierwszych dniach protestów 14-latek z Saint-Ouen-l’Aumône dostał w twarz granatem łzawiącym, co poskutkowało złamaniem szczęki w dwóch miejscach. W Tours 16-latek stracił wzrok w oku od policyjnego gumowego pocisku.

Oberwało się nawet muzykom L’Orchestre du Nouveau Monde. Zaangażowany społecznie i politycznie zespół młodych aktywistów regularnie wspiera protesty koncertami muzyki klasycznej. 17 października 400 muzyków zorganizowało solidarnościowy koncert na paryskim Placu Republiki pod pomnikiem Marianny. Młodzi ludzie grali na wiolonczelach, skrzypcach i klarnetach muzykę filmową, pieśni ruchów społecznych i oczywiście „Marsyliankę”. Dyrygował założyciel i szef orkiestry Ètienne Jarrier. Otoczył ich tłum słuchaczy, a policja – pomimo wcześniejszego zgłoszenia wydarzenia – uświetniła występ gazem łzawiącym i granatami hukowymi. Muzycy grali jeszcze kilkanaście minut w dławiących oparach.

Od 1792 r. Marianna symbolizuje wartości rewolucji francuskiej: równość, wolność i braterstwo. No to miała pokaz demokracji… Członkowie orkiestry powiedzieli, że w ciągu pięciu lat ich działalności była to pierwsza taka sytuacja.

Wielki akt nieposłuszeństwa i braku zaufania do rządów Emmanuela Macrona, zwanego „prezydentem bogatych”, prędko nie wygaśnie. W sieci krąży wideo, na którym pewien młodzian przeprowadza szkolenie protestacyjno-bojowe swojej 98-letniej babci. Kominiarka, odblaski, transparent, obrona, rzucanie artefaktami i wykorzystanie infrastruktury ulicznej (w tym wypadku śmietnik). Na innym filmie widać seniorkę na wózku inwalidzkim z aparatem tlenowym i transparentem. W pewnym momencie tłum protestujących podnosi kobietę, żeby była lepiej widoczna. Można? Jeszcze jak!

Dlaczego zatem bity w dupę z każdej strony i znany z porywczości naród w kraju nad Wisłą nie weźmie z Francuzów przykładu?

Czym skorupka za młodu

Prawo do buntu i konfrontacji z władzą jest nad Sekwaną fundamentem tożsamości narodowej od czasów rewolucji francuskiej. Francuzi traktują wyjście na ulice i paraliżowanie miast jako normalne narzędzie dialogu społecznego i swego rodzaju podkręcenie trybów demokracji.

Jeśli rzucić okiem na historię, Polacy nie gęsi, też swoje protesty mieli – nawet kiedy Polski nie było na mapie. Taki chociażby strajk dzieci wrzesińskich. Kolejne dekady pobudzały mniejsze lub większe zrywy młodych pokoleń. Można jednak odnieść wrażenie, że wraz z nadejściem kapitalizmu gen obywatelskiego nieposłuszeństwa skarlał.

W ciągu ostatnich 15 lat nadwiślański narybek miał kilka zdrowych obywatelsko odruchów. W 2012 r. dzieciarnia i nastolatkowie wyszli na ulice miast w proteście przeciwko ujednoliceniu przepisów międzynarodowych dotyczących ochrony praw autorskich, tzw. umowie ACTA. Jej oficjalnym celem była walka z podrabianymi towarami i piractwem medialnym. Społeczeństwo prędko wyniuchało, że niejasne zapisy doprowadzą do cenzury w internecie, inwigilacji użytkowników i zmuszą dostawców internetu do kontrolowania ruchu sieciowego. Po decyzji rządu o planowanym podpisaniu glejtu wybuchła fala protestów ulicznych, aktywnego oporu w sieci i ataków na strony rządowe. Był to jeden z największych ruchów społecznych w polskiej sieci. Ostatecznie to Parlament Europejski odrzucił ACTA, ale co ludzie pokrzyczeli na ulicach, to ich.

Kilka lat później gimnazjaliści i licealiści zorganizowali ogólnokrajowy bunt przeciwko likwidacji gimnazjów wprowadzanej przez ówczesne Ministerstwo Edukacji Narodowej. Niestety, gówno im z tego wyszło. Podobnym efektem zakończył się Ogólnopolski Strajk Kobiet i seria Młodzieżowych Strajków Klimatycznych.

Niby młodzież potrafi się zorganizować z rozmachem, ale różnica w skali, dynamice i gwałtowności protestów między polskimi dzieciakami a ich francuskimi kolegami jest głęboka jak Rów Mariański.

Nie chodzi o to, żeby podpalać lokalne ratusze. Dziwi jednak bierność, kiedy młode pokolenie w kraju nad Wisłą – podobnie jak to francuskie – zderza się ze ścianą dzikiego kapitalizmu, a jedyną jego reakcją są joby wypisywane w internecie i memy.

Przyczyn tego smutnego stanu rzeczy jest kilka.

Hodowla pokornych

Po 1989 r. w polskim społeczeństwie wykształcił się silny (i bardzo naiwny) etos zmiany przez kartę do głosowania. Później poszło z górki. Obywateli wytresowano w myśl zasady, że ludzie są mniej ważni niż kapitał. Usługi publiczne to wydatek, płace są obciążeniem przedsiębiorcy, a sama praca jest kosztem. Społeczeństwo zostało zobligowane do zapewnienia odpowiednich warunków dla pomnażania prywatnych majątków najbogatszych. W myśl przetrąconej teorii skapywania zmniejszenie obciążeń fiskalnych tłustych kotów miało wygenerować nowe firmy i miejsca pracy, a co za tym idzie, dobrobyt niższych warstw społecznych. Głupio wyszło. Prędko okazało się, że kult zapierdolu pozwala dorobić się co najwyżej garba i rzadko kiedy pozwala na związanie końca z końcem.

W przeciwieństwie do Francuzów z ich prężną świadomością obywatelską i solidaryzmem społecznym Polacy wychowani pod pręgierzem późnego kapitalizmu zamiast buntu wybierają ucieczkę. Nie pomaga system edukacji oparty na bezkrytycznym wykonywaniu poleceń i tłumieniu debaty.

Tłuczone od kołyski frazesy, że dziesięć fakultetów i rezygnacja z życia osobistego za miskę ryżu zaowocują sukcesem, sprawiły, że Polak rzadko kiedy próbuje zmienić system. Zamiast angażować się w walkę zbiorową, pięć razy zmieni branżę albo kraj zamieszkania, wierząc, że tylko na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za własny los.

Mamy też problem z plemiennością. Wszystko gra do momentu, kiedy wrogiem jest obcy, który naciśnie na polski odcisk. Na gruncie krajowym sprawy mają się zgoła inaczej. Tryby głębokiej polaryzacji politycznej – ku uciesze rządzących – osłabiają masowość zrywów.

W bieżącą politykę partyjną są uwikłane także związki zawodowe. Wskutek tego organizowane oddolnie zrywy młodziaków, bez wsparcia struktur związkowych, które – jak we Francji – mogłyby legalnie zatrzymać ruch pociągów czy produkcję w fabrykach, zwyczajnie tracą na sile rażenia.

Protesty w Polsce płoną jak stóg siana, ogień wybucha gwałtownie i równie szybko gaśnie. Władza bierze je na przeczekanie, postulaty spływają z nurtem Wisły, a wykastrowani ze sprawczości obywatele wracają do komentowania prozy życia w internecie.

Według badań najmłodsi Polacy nie są obojętni na kryzysy klimatyczne i egzystencjalne, jednak dominuje u nich strategia przeczekania, dbania o dobrostan psychiczny i cyfrowy aktywizm. Trochę szkoda, choć część ekspertów podkreśla, że brak realnej poprawy warunków życia może sprawić, że ta „cisza” w Polsce może się skończyć. Życzymy odwagi, wciąż można jeszcze wiele zmienić.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Le Pen się cieszy

„NIE” rozmawia z Marcinem, Polakiem z Paryża

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

– Co tam ciekawego u najstarszej i najukochańszej Córy Kościoła? Naprawdę macie tam taką rozpierduchę, czy tylko media głównego ścieku jak zwykle kłamią i podkręcają strach?

– Pytasz o żaby? Moim zdaniem to historia podobna do cyklicznych aktywności „żółtych kamizelek” – to jest nic specjalnego. Ja na takie zadymy nigdy zresztą nie chodziłem. Chodziłem na takie ładne ze związkami zawodowymi i „Międzynarodówką” w tle. Albo ewentualnie na strajki pracowników resortu kultury, bo były występy.

– To co to jest? Młodzież wyszła na ulice, bo ma zapchane kible w szkołach?

– To takie lepsze wagary. Mamy związki zawodowe licealistów i to one nakręcają rewolucyjną atmosferę.

– Licealiści mają związki?

– Trzy duże, z czego jeden to zaplecze polityczne Mélenchona.

– U nas na prawicy mówią, że to koniec republiki za sprawą islamistów i czarnoskórych.

– Ludziom na pewno gorzej się żyje, a że najgorzej żyje się imigrantom, to ci się najbardziej burzą. Tyle że ja bym nie przesadzał z wagą tych postulatów: że „mają za ciemno w pracy” i takie tam. To jednak trochę moda, hobby, styl życia. Taki punk rock. Myślę przy tym, że to wsparcie protestów przez LFI (Francja Niepokorna – radykalna lewicowa partia założona 10 lat temu przez Jeana-Luca Mélenchona), radnych i posłów lewicy odbije im się niekorzystnie w wyborach, bo każdy ich sobie będzie kojarzył z płonącymi komisariatami. Le Pen tylko na tym zyska. Niestety, lewica w Europie to idioci.

– Janusz Korwin-Mikke ogłosił w social mediach: „Pod okupacją Hlera (pod koniec wojny) wiele miast francuskich wyglądało znacznie lepiej niż teraz, po kilku latach, pod okupacją murz**ską przy zarządzie unijnych elit”…**

– Takie czasy i małolaty w Polsce to chętnie lajkują.

– Skręcają w prawo, a potem będą piszczeć.

– Mnie się wydaje, że i tak wszyscy będziemy niedługo piszczeć, bo gospodarczo jesteśmy w czarnej dupie. I nieważne, kto będzie trzymał joystick.

Rozmawiał: JMP

Wróżba na wybory w USA

Sondażowa przewaga demokratów nad republikanami przed przyszłotygodniowymi wyborami wynosi 8–11 proc. do Kongresu i ok. 4 proc. do Senatu. Poparcie dla Donalda Trumpa spadło w niektórych badaniach do 31 proc.

Prezydent, który dwa lata temu był w większości stanów atutem republikanów, stał się obciążeniem. Chaotyczna polityka celna, nowe konflikty zbrojne, a zwłaszcza izraelsko-amerykańska wojna z Iranem, przyniosły wzrost cen paliw i energii, podstawowych towarów, kosztów utrzymania.

Imigranci – a zwłaszcza Latynosi, którzy w znaczącym stopniu poparli Trumpa w wyborach prezydenckich – żyją w ciągłym strachu.

Awantury międzynarodowe, zwłaszcza z najbliższymi sojusznikami i z Ukrainą, też nie sprzyjały autorytetowi prezydenta. Gafy i oczywiste głupoty wypowiadane przez Trumpa, jego nepotyzm, interesowność i narcystowskie zachowania, z kompleksem Pokojowej Nagrody Nobla w tle, są coraz bardziej widoczne dla większości opinii publicznej – i coraz gorzej tolerowane, z wyjątkiem twardego elektoratu MAGA.

Na dzisiaj – tydzień przed wyborami – przegrana republikanów w wyborach do Izby Reprezentantów jest pewna. W częściowych wyborach do

eprasa.pl 7ba55b843e

Jak przegrać wybory w Teksasie, będąc republikaninem

Przepis Paxtona

3 listopada Amerykanie wybiorą nowy Kongres. Stawką jest między innymi kontrola nad Senatem. Szczególnie emocjonująco zapowiadają się wybory w Teksasie, gdzie od 1988 r. żaden demokrata nie wygrał wyborów do Senatu, a od 1994 r. republikanie wygrywają wszystkie wybory stanowe. Mogliby wystawić w Teksasie Puffa Daddy'ego i pewnie by wygrał. Wystawili Kena Paxtona, prokuratora generalnego Teksasu, zagorzałego chrześcijanina, obrońcę tradycyjnej rodziny, przyjaciela Donalda Trumpa.

Jego przeciwnikiem jest demokrata James Talarico, były nauczyciel i student seminarium teologicznego. W sondażach idą łeb w łeb, a niektóre badania pokazują nawet niewielką przewagę Talarico.

Być republikaninem i przegrać w Teksasie to rzecz niemal niemożliwa. Paxton pokazuje jednak, że siłą ciężkiej pracy, talentu i marzeń można osiągnąć wszystko. Oto jego przepis na sukces.

1. Zdradź partyjnych kolegów i żonę jednocześnie

Paxton jest konserwatystą, walczy o tradycyjne małżeństwo i chrześcijańską moralność. Postanowił sprawdzić, jak wygląda życie rodzinne poza własną rodziną.

Jego żona Angela Paxton jest także koleżanką z partii. Rok temu wystąpiła o rozwód. Jako powód wskazała niewierność męża, powołując się na względy biblijne. W trakcie kampanii zdradzona żona publicznie zachęcała republikanki do głosowania na republikanów, nawet jeśli są nimi rozczarowane. Tłumaczyła, że ważniejsze od konkretnych ludzi są zdobywane przez partię mandaty. To najbardziej wzruszająca rekomendacja polityczna w historii amerykańskiego małżeństwa.

Jeżeli nie chce głosować na ciebie nawet żona z twojej partii, bądź pewny, że zrobiłeś dużo, by zniechęcić także wyborców.

2. Spraw, żeby własna partia próbowała cię usunąć z urzędu

To, że nie lubią cię demokraci, nie jest żadnym osiągnięciem. Prawdziwy mistrz doprowadza do sytuacji, w której pozbyć się go chcą również republikanie.

W maju 2023 r. Izba Reprezentantów Teksasu postawiła Paxtona w stan oskarżenia w procedurze impeachmentu. Za głosowało 121 deputowanych, w tym aż 60 republikanów. Zarzuty obejmowały między innymi korupcję, nadużywanie władzy i utrudnianie dochodzenia.

Paxton został zawieszony, jednak stanowy Senat go uniewinnił i przywrócił do urzędu. W polityce amerykańskiej to rzadkie osiągnięcie: zostać odsuniętym przez własnych kolegów, a potem wrócić i kandydować na kolejne stanowiska.

3. Pomagaj przedsiębiorcom

Paxton jako prokurator generalny powinien stać na straży prawa. Ale przecież prawo jest dla ludzi, zwłaszcza tych, którzy potrafią docenić przyjaznego prokuratora.

Podczas impeachmentu zarzucano mu wykorzystywanie stanowiska do pomagania Nate'owi Paulowi, teksańskiemu deweloperowi i politycznemu darczyńcy, który miał poważne kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. W zamian Paul miał zapewnić Paxtonowi rozmaite korzyści, od pomocy przy remoncie domu po zatrudnienie kobiety, z którą prokurator miał romans.

To jest skuteczna polityka prorodzinna: państwo pomaga przedsiębiorcy, przedsiębiorca pomaga politykowi, a przy okazji pracę znajduje kochanka.

4. Doprowadź do tego, żeby donieśli na ciebie współpracownicy

Wrogowie polityczni zawsze będą rzucać oskarżenia. Prawdziwą sztuką jest sprawić, by do FBI zadzwonili twoi podwładni.

W 2020 r. ośmiu wysokich rangą współpracowników Paxtona zgłosiło federalnym śledczym podejrzenia dotyczące nadużywania urzędu na rzecz Nate'a Paula. Część z nich później oskarżyła przełożonego o działania odwetowe. Federalne śledztwo ostatecznie zakończyło się bez postawienia Paxtonowi zarzutów.

5. Poznaj wymiar sprawiedliwości z obu stron

Najlepszy prokurator to taki, który doskonale rozumie podejrzanych, więc Paxton sam został oskarżony.

W 2015 r. postawiono mu zarzuty oszustwa: miał zachęcać inwestorów do kupowania udziałów w firmie technologicznej bez ujawnienia, że sam otrzymywał pieniądze za jej promowanie. Sprawa ciągnęła się dziewięć lat. W 2024 r. Paxton zawarł porozumienie przewidujące karę finansową, prace społeczne oraz kurs etyki prawniczej, ale polityk nie musiał przyznawać się do winy.

Na pewno cennym doświadczeniem Paxtona był kurs etyki. Prokurator generalny dostał okazję, żeby dowiedzieć się, jak powinien działać system sprawiedliwości.

6. Przyjaźnij się z poszukiwanymi

Jako prokurator generalny powinieneś znać przestępców i podejrzanych. Najlepiej osobiście.

W październiku „Wall Street Journal" ujawnił, że Paxton świętował sylwestra 2025 r. w Dubaju w towarzystwie kochanki oraz dwóch Amerykanów oskarżonych w USA o oszustwa finansowe, którzy zbiegli przed wymiarem sprawiedliwości.

Anosh Ahmed i Sameer Suhail zostali wcześniej oskarżeni w sprawie wyprowadzenia milionów dolarów ze szpitala w Chicago. W czasie dubajskiej imprezy pozostawali poza zasięgiem amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Ahmed, który nie przyznawał się do winy, przekazał również ok. 190 tys. dol. na polityczną działalność Paxtona.

7. Pomagaj oskarżonym o molestowanie dzieci. Zaskocz nawet sędziego

W kwietniu 2026 r. prokuratorzy podlegający Paxtonowi przygotowali ugodę dla Adama Hoffmana (zbieżność imiona i nazwiska z byłym politykiem PiS-u przypadkowa), adwokata oskarżonego o wieloletnie wykorzystywanie seksualne dziecka.

Amerykański Hoffman w myśl ugody miał otrzymać karę jednego dnia więzienia. Co najpiękniejsze, ten dzień już odsiedział. Nie musiałby również rejestrować się jako przestępca seksualny. Sędzia uznał propozycję prokuratury za zbyt łagodną. Ostatecznie Hoffman przyznał się do przestępstw seksualnych wobec dziecka i otrzymał 30 dni więzienia oraz obowiązek zrzeczenia się uprawnień adwokackich na pięć lat.

8. Kradnij nawet w sądzie

Kradzieże i korupcja wśród polityków to normalka. Prawdziwy kozak kradnie nawet podczas pracy. W budynku sądu.

W 2018 r. ujawniono nagranie z monitoringu, na którym Paxton chowa do kieszeni drogi długopis, który do niego nie należał.

Zwykli politycy kradną uwagę wyborców. Wybitni zaczynają od przyborów biurowych.

9. Na koniec uzyskaj błogosławieństwo Donalda Trumpa

Prezydent poparł Paxtona w republikańskich prawyborach przeciwko urzędującemu senatorowi Johnowi Cornynowi. Paxton wygrał i został oficjalnym kandydatem republikanów.

Teraz partyjni koledzy wydają fortunę, żeby uratować dla republikanów mandat, który przez dekady wydawał się bezpieczny. Mnóstwo pieniędzy dał na kampanię w Teksasie najbogatszy człowiek świata Elon Musk. Według Axios związany z republikanami komitet wyborczy wydał na wspieranie Paxtona 131 mln dol. w zaledwie 17 dni. To prawie

8 mln dol. dziennie – tyle kosztuje przekonanie wyborców, że człowiek, którego własna partia próbowała pozbawić urzędu, doskonale nadaje się do następnego.

I tak oto Ken Paxton stoi przed najważniejszym wyzwaniem swojej kariery. Przez lata zdradzał żonę, brał łapówki, zawierał ugody korzystne dla przestępców seksualnych, jeździł na koszt podatnika po całym świecie, balował z przestępcami i kochanką jednocześnie, przetrwał impeachment i donosy własnych współpracowników. Wydawało się, że zrobił już wszystko, żeby politycznie się pogrążyć. A jednak nadal wygrywa.

Teraz próbuje dokonać rzeczy naprawdę historycznej: przegrać wybory w Teksasie jako republikanin. Czy Ken Paxton okaże się wystarczająco złym kandydatem, żeby wreszcie udało mu się przegrać?

LEON ORŁOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Polowanie na kulawą kaczkę

Senatu – tym razem Amerykanie wybierają 35 ze 100 senatorów – wysoce prawdopodobna.

Szykuje się wyraźna większość demokratyczna w izbie niższej i nieznaczna w wyższej.

Przypominam, że w kończącej się kadencji Izby Reprezentantów republikanie mają 218 deputowanych, a demokraci 214 (jeden kongresman jest niezależny, a dwa miejsca są nieobsadzone).

Prorokuję w nowej izbie większość demokratyczną na poziomie 230–235 mandatów i mniejszość republikańską 200–205 mandatów.

Bardziej złożona jest sytuacja w senacie, ponieważ wybory odbędą się aż w 22 stanach „czerwonych" – bastionach republikańskich i tylko w 13 „niebieskich" zdominowanych przez demokratów. Sondaże i realna sytuacja polityczna wskazują jednak, że demokraci są w stanie odbić z pięć mandatów. Najbardziej prawdopodobne jest to w Karolinie Północnej, Ohio, Teksasie, na Alasce i w Maine.

Obecnie w Senacie partia Trumpa ma przewagę 53 do 47 (dwóch senatorów niezależnych – w tym Berniego Sandersa – głosujących zazwyczaj z demokratami zaliczam do ich obozu). Po wyborach stawiam na układ 52:48 dla demokratów.

Utrata większości w obu izbach Kongresu postawi urzędującego prezydenta w trudnej sytuacji. Kongres poważnie traktuje swoje uprawnienia kontrolne wobec rządu, odgrywa główną rolę w procesie legislacyjnym, uchwala budżet oraz ustala limit zadłużenia państwa.

Senat zatwierdza nominacje prezydenckie na główne stanowiska w administracji, m.in. członków gabinetu, sędziów Sądu Najwyższego oraz innych sądów federalnych, a także ambasadorów.

Kongres ma też w swoich rękach potężną broń – impeachment. I tej broni Donald Trump obawia się najbardziej. To mobilizuje go do udziału w kampanii wyborczej w kluczowych stanach – a także do wygadywania różnych bzdur. Jak w Michigan, gdzie w demokratycznych barwach startuje dr Abdul El-Sayed – muzułmanin, którego Trump oskarża o „komunistyczny dżihad".

Wysokie ceny paliw skłoniły prezydenta do uruchomienia rezerw strategicznych, ale również do obciążenia odpowiedzialnością za drożyznę na rynku naftowym Ukrainy, atakującej rosyjskie rafinerie – co miało służyć odwróceniu uwagi od skutków jego wojny z Iranem. Trump posunął się nawet do ograniczenia dopiero co uchwalonych nowych sankcji wobec Rosji oraz zamówienia u Putina dostaw diesla. Słowem: coraz bardziej desperacko próbuje odwrócić negatywne skutki swojej awanturniczej polityki. Obiecał również wyborcom łapówkę w wysokości 5 tys. dol. na głowę – co wielokrotnie przekracza możliwości budżetu federalnego.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Moim zdaniem te nerwowe ruchy niewiele dadzą. Republikanie przegrają wybory, a Trump znów się stanie przedmiotem dochodzeń kongresu.

Izba Reprezentantów może go postawić w stan oskarżenia większością głosów. Trudniej będzie go skazać za te wszystkie kryminałki z przeszłości i ciągłe przekraczanie ram konstytucji – np. przedłużanie działań wojennych bez autoryzacji kongresu poza ustawowe 60 dni – bo w Senacie, który staje się sądem pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego, trzeba już uzyskać dwie trzecie głosów. Co jest mało realne.

Z pewnością jednak Donald Trump jest dziś na pozycji, którą Amerykanie określają terminem „lame duck" – co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „kulawa kaczka" i odnosi się do polityka, którego władza jest na etapie schyłkowym.

Ta akurat kulawa kaczka może zamienić się w gonionego króliczka – i wtedy znacznie trudniej będzie mu realizować swoją ciągle zmieniającą się agendę.

Jest jeszcze jedna możliwość.

Postępujące awanturnictwo i starcza demencja mogą skłonić jego własny gabinet do uznania za słuszną diagnozę jego bratanicy, psycholożki Mary L. Trump, która od dawna przekonuje, że jej wuj jest niezdolny do sprawowania urzędu. Art 4. 25 poprawki do konstytucji USA przewiduje, że wiceprezydent wraz z większością gabinetu może skierować do Kongresu pisemne oświadczenie w tej sprawie. W takiej sytuacji władzę natychmiast przejmuje wiceprezydent. Jeśli prezydent zakwestionuje tę decyzję, Kongres potwierdza ją dwoma trzecimi głosów.

Odetchną wtedy nie tylko imigranci czy ludzie, których chce pozbawić opieki lekarskiej, ale również państwa i terytoria zagrożone jego ekspansją i cały demokratyczny świat.

ZBYSZEK ZABOROWSKI

eprasa.pl 7ba55b843e

Własność kontrolowana

Auto nie może sobie po prostu stać i należeć do człowieka

W Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej stoi, że „każdy ma prawo do własności, innych praw majątkowych oraz prawo dziedziczenia". Zaraz potem ustrojodawca zapewnia, że „własność, inne prawa majątkowe oraz prawo dziedziczenia podlegają równej dla wszystkich ochronie prawnej". Żeby jednak obywatelom nie przyszło do głowy, że mogą robić ze swoją własnością, co im się żywnie podoba, w trzecim ustępie tego samego artykułu zapisano, że „własność może być ograniczona tylko w drodze ustawy i tylko w zakresie, w jakim nie narusza ona istoty prawa własności".

Widać polski ustawodawca uznał, że istotą prawa własności samochodu jest obowiązek nieustannego płacenia za jego posiadanie. Musi istnieć w państwowym systemie ewidencyjnym, posiadać odpowiednie papiery i być objęty ubezpieczeniem. Nawet jeśli właściciel nie zamierza nim jeździć.

Ubezpieczanie rdzy

O tym, że konstytucyjna własność samochodu ma charakter szczególny, poinformował nas czytelnik posiadający Mercedesa E300 4Matic, model W124. Samochód od wielu lat stoi nieużywany. Wymaga gruntownego remontu, bo korozja zrobiła swoje, a skrzynia biegów też nie jest okazem zdrowia. Właściciel nie zamierza jednak oddawać go na złom. Chce zachować auto dla następnego pokolenia, które być może znajdzie pieniądze, czas i ochotę, żeby przywrócić niemieckiego staruszka do życia.

W normalnie rozumianym prawie własności nie byłoby w tym niczego szczególnego. Człowiek kupił rzecz, więc może ją użytkować, naprawiać, przechowywać, sprzedać albo podarować dzieciom. Może też postawić ją w garażu i przez 30 lat podziwiać. Ale polskie państwo uznało, że stojący w garażu samochód jest potencjalnym uczestnikiem ruchu drogowego. Nawet jeśli nie ma sprawnej skrzyni biegów, nie ruszał się od kilkunastu lat i prawdopodobieństwo jego samodzielnego wyjazdu na szosę jest porównywalne z możliwością, że garaż opuści fortepian.

Dlatego trzeba płacić OC. Co roku. Bez względu na to, czy samochód jeździ, czy rdzewieje. A jeśli ktoś płacić nie chce? Może samochód sprzedać albo oddać do demontażu. Tyle że wtedy przestanie posiadać przedmiot, który zamierzał zachować.

Mechanizm ten wynika z ustawy o ubezpieczeniach obowiązkowych i czymś jeszcze. Jej artykuł ustanawia obowiązek posiadania OC przez posiadaczy pojazdów mechanicznych, inny zaś wiąże powstanie tego obowiązku m.in. z rejestracją pojazdu.

Ale polskie prawo zna pojęcie czasowego wycofania pojazdu z ruchu. Istnieje nawet specjalny art. 78a prawa o ruchu drogowym, który to szczegółowo reguluje. Wydawałoby się zatem, że sprawa jest załatwiona. Właściciel idzie do urzędu, oświadcza, że przez najbliższe 10 lat nie będzie samochodem jeździł, oddaje tablice i dowód rejestracyjny, a po zakończeniu remontu zgłasza chęć ponownego dopuszczenia pojazdu do ruchu.

Nic z tych rzeczy. Przez lata ustawodawca pozwalał wycofywać z ruchu przede wszystkim ciężarówki, autobusy i pojazdy specjalne. Dopiero 31 stycznia 2022 r. możliwość tę rozszerzono na samochody osobowe. Ale tak, żeby zbyt wielu ich właścicieli nie mogło z niej skorzystać. Czasowe wycofanie samochodu osobowego jest dopuszczalne w związku z koniecznością naprawy wynikającej z uszkodzenia zasadniczych elementów nośnych konstrukcji, w przypadkach określonych ustawą, w tym po wystąpieniu szkody istotnej. Ustawodawca uznał, że o prawie do wycofania pojazdu z ruchu nie decyduje właściciel, lecz przyczyna jego niesprawności.

Na dodatek inny artykuł mówi, że samochód osobowy można czasowo wycofać z ruchu na okres od trzech do 12 miesięcy bez możliwości przedłużenia. Kolejne wycofanie jest dopuszczalne dopiero po upływie trzech lat od zakończenia poprzedniego okresu.

Płacenie za niejeżdżenie

Ba, czasowe wycofanie samochodu z ruchu nie oznacza całkowitego zwolnienia z obowiązku ubezpieczeniowego. Ustawa o ubezpieczeniach obowiązkowych przewiduje możliwość proporcjonalnego zmniejszenia składki OC w okresie czasowego wycofania pojazdu z ruchu. Obniżka nie może być mniejsza niż 95 proc. A zatem ustawodawca przyznał, że samochód, który oficjalnie nie uczestniczy w ruchu drogowym, generuje na tyle niewielkie ryzyko, iż można obniżyć składkę niemal do zera. A skoro obowiązek OC istnieje, to jego niewykonanie należy karać.

Mechanizm sankcji opisuje inny artykuł ustawy o ubezpieczeniach obowiązkowych. Dla samochodów osobowych pełna opłata za brak OC odpowiada dwukrotności minimalnego wynagrodzenia za pracę. Przy przerwie nieprzekraczającej trzech dni stosuje się 20 proc. tej kwoty, a przy przerwie od czterech do 14 dni – 50 proc. Przy minimalnym wynagrodzeniu wynoszącym w 2026 r. 4806 zł oznacza to odpowiednio 1920 zł, 4810 zł i 9610 zł, po zastosowaniu ustawowych zasad zaokrąglania. Więc jeśli posiadacz samochodu stojącego od lat w garażu nie zawrze na czas kolejnej umowy OC, to naraża się na opłatę sięgającą prawie 10 tys. zł. Nie za spowodowanie wypadku lub tylko stworzenie zagrożenia na drodze czy uszkodzenie cudzego samochodu – za brak umowy.

Można zrozumieć, dlaczego kierowca poruszający się po drogach publicznych powinien posiadać OC. Nie sposób jednak zrozumieć, dlaczego taki sam obowiązek ma przez dziesięciolecia obciążać właściciela samochodu, który postanowił zachować go jako rodzinny eksponat.

Wyrejestrowanie przez unicestwienie

Skoro czasowe wycofanie z ruchu nie rozwiązuje problemu, to może samochód po prostu wyrejestrować? Tu dopiero zaczyna się zabawa, bo prawo o ruchu drogowym określa przypadki, w których pojazd podlega wyrejestrowaniu. I nie ma wśród nich zwykłego oświadczenia właściciela, że samochód przestaje być używany i odtąd będzie przechowywany jako prywatna własność. Czyli państwo oferuje właścicielowi nader interesującą alternatywę:

jeśli chce zachować samochód, musi ponosić koszty jego administracyjnego istnienia. Jeśli chce zakończyć te koszty przez wyrejestrowanie na podstawie demontażu, musi oddać pojazd do odpowiedniego przedsiębiorcy.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

A ten ma obowiązek postępować zgodnie z ustawą o recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji. Usuwa się więc z samochodu płyny eksploatacyjne i substancje niebezpieczne, wymontowuje elementy nadające się do ponownego wykorzystania, a pozostałe materiały kieruje do odpowiednich procesów odzysku lub unieszkodliwiania. Nie jest to procedura przechowywania samochodu dla wnuków, ale jego rozbiórki. Bo ustawa o recyklingu definiuje pojazd wycofany z eksploatacji jako odpad w rozumieniu przepisów o odpadach. Czyli „każdą substancję lub przedmiot, których posiadacz pozbywa się, zamierza się pozbyć lub do których pozbycia się jest obowiązany".

Zabytek za zgodą

Polskie prawo ma jednak furtkę, która dla właściciela starego Mercedesa może mieć znaczenie zasadnicze. Jest nią status pojazdu historycznego. Za pojazd historyczny uznaje się między innymi pojazd zabytkowy, pojazd mający co najmniej 40 lat oraz pojazd mający co najmniej 25 lat, który rzeczoznawca samochodowy uznał za unikalny lub mający szczególne znaczenie dla udokumentowania historii motoryzacji.

Ustawa o ubezpieczeniach obowiązkowych pozwala zawierać dla pojazdów historycznych umowy OC na okres nie krótszy niż 30 dni. Właściciel takiego samochodu nie musi utrzymywać ciągłości ubezpieczenia przez cały rok, jeśli nie korzysta z pojazdu w sposób wymagający ochrony. Może zatem trzymać go w garażu i ubezpieczyć dopiero wtedy, gdy zamierza nim jeździć. Dlaczego jednak możliwość ta przysługuje właścicielowi pojazdu historycznego, a nie każdemu, kto chce przechowywać samochód poza ruchem drogowym?

Jednak dla czytelnika posiadającego Mercedesa W124 oznacza to, że zamiast płacić OC przez kolejne lata, powinien rozważyć uzyskanie opinii rzeczoznawcy potwierdzającej historyczny charakter pojazdu. Model W124 produkowano od lat 80. do połowy lat 90., więc w zależności od roku produkcji konkretny egzemplarz może już spełniać kryterium 40 lat albo kwalifikować się do oceny rzeczoznawcy. Tyle że to jedynie wyjątek od reguły, która zmusza właścicieli zwykłych samochodów do finansowania obowiązkowego ubezpieczenia nawet wtedy, gdy bryka czeka w stodole, by zostać eksponatem muzealnym.

Bo w Polsce co prawda samochód jest własnością obywatela, tylko obowiązków z tej własności wynikających bardzo czujnie pilnuje państwo.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Brzegu objawił się nowy rodzaj misjonarza, który zamiast zbawiać dusze, postanowił drenować portfele tych, którzy zawodowo zajmują się tym samym. 45-letni recydywista, specjalista od „ewangelizacji na sygnale", ukradł karetkę i ruszył w rajd po parafiach. Jego metoda: podjeżdżał pod plebanię kradzionym ambulansem i prosił o „co łaska" na lawetę. To urocze: złodziej naciągający proboszczów na rzekome awarie, czyli starcie dwóch profesjonalistów, z których każdy żyje z opowiadania bajek naiwnym. Finał tej farsy? Zamiast błogosławieństwa jegomość zafundował policjantce bliskie spotkanie z maską pojazdu, na co mundurowi odpowiedzieli argumentami kalibru 9 mm, dziurawiąc karetkę z zapałem. Mamy więc kompletny polski obrazek: kradziona służba zdrowia, oszukany Kościół i policja strzelająca do ambulansu.

▮ 36-letni geniusz z powiatu sulęcińskiego sprzedał Forda, a dwa dni później odebrał go sobie zapasowym kluczykiem. Policja, wykazując się rzadką u niej bystrością, skojarzyła sprzedawcę z kradzieżą, co udowadnia, że w Polsce nawet złodziej musi mieć elementarne wyczucie czasu. Teraz amatorowi darmowych samochodów grozi 10 lat za włamanie do mienia, które jeszcze przed chwilą było jego. Jeśli planujesz kraść to, co właśnie opchnąłeś, poczekaj przynajmniej do pierwszej wymiany oleju. No i złota rada: zawsze warto dorobić trzeci kluczyk.

▮ W Radomiu, który od lat walczy o miano krajowej stolicy absurdu, 35-letni kierowca Forda zafundował policji makabreskę. Mając 2,5 promila we krwi – czyli w stanie lekkiego rozkojarzenia – najechał na tył Toyoty. Prawdziwa niespodzianka czekała jednak na tylnym siedzeniu: obok drugiego pijanego biesiadnika podróżowały zwłoki 43-letniego mężczyzny. Prokuratura głowi się teraz, czy denat nie wytrzymał tempa libacji, czy może po prostu chciał się zabrać na krzywy ryj w ostatnią podróż.

▮ Gdańska policja dopadła trójkę kolekcjonerów cudzego owłosienia, którzy z hurtowni w Gdańsku i Poznaniu wynieśli „skalpy" o wartości miliona złotych. Zamiast złota czy walut ukradli naturalne ludzkie włosy do przedłużania fryzur. Szczytem bezczelności wykazała się 38-latka, która w chwili zatrzymania paradowała z dowodem rzeczowym wplecionym we własną czuprynę. Teraz cała trójka, zamiast w salonach fryzjerskich, będzie dbać o wizerunek w areszcie, gdzie za kradzież z włamaniem grozi im dekada odsiadki.

▮ 33-letni Mateusz Chmura został pomnikiem za życia. Ten polski kulturysta padł na scenie w angielskim Telfordzie, prężąc muskuły, które miały świadczyć o nadludzkiej sile, a okazały się jedynie dekoracją na kruchym rusztowaniu. Zadebiutował dwa tygodnie wcześniej, dwa miesiące temu wziął ślub, a zmarł dzień przed 34. urodzinami. Timing godny greckiej tragedii, gdyby nie fakt, że scenerią była sala pełna naoliwionych facetów w majtkach. Zawsze powtarzałem, że sport to kalectwo, ale kulturystyka to już wyższy stopień wtajemniczenia w autodestrukcję.

▮ Zakopane w żałobie. Z Równi Krupowej zniknął napis „ZAKOPANE". Turyści pozbawieni możliwości udowodnienia światu za pomocą selfie, że faktycznie znajdują się u stóp Giewontu, poczuli się, jakby ich wycieczka straciła rację bytu. Burmistrz Filipowicz jednak uspokaja. To nie kradzież, lecz renowacja. Drewniane litery, nadgryzione zębem czasu i oddechami milionów urlopowiczów, są piaskowane i malowane, by zdążyć na zimowy sezon dojenia przyjezdnych z dudków.

▮ Wojsko Polskie w przypływie strategicznego geniuszu i paranoi godnej zimnej wojny postanowiło zabezpieczyć parking przy Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu przed inwazją chińskiej elektroniki. Na teren nekropolii nie wjadą auta z Chin, Rosji, Białorusi i Korei Północnej, które – jak wiadomo, zajmują się teraz raportowaniem do Pekinu, ile zniczy kupiła wdowa po majorze. Generałowie drżą na myśl o kamerach i mikrofonach ukrytych w zderzakach, jakby Xi Jinping nie miał nic do roboty, tylko podsłuchiwać płacz nad grobem kaprala. Wojsko po raz kolejny udowadnia, że potrafi dzielnie walczyć z wrogiem, którego samo sobie wymyśliło.

▮ Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie orzekł, że jeśli polski oficer potyka się o własne nogi i przy okazji dziurawi kręgosłup uciekającemu Syryjczykowi, to nie jest to kryminalne niedbalstwo, lecz po prostu pechowa choreografia. Podporucznik został uniewinniony, bo zdaniem sądu karabin, który wypala w plecy bliźniego podczas fikołka, zachowuje się zgodnie z polską racją stanu. Ranny nielegalny migrant zamiast żądanych 50 tys. zł otrzymał od państwa polskiego unikalną pamiątkę w okolicach kręgosłupa oraz prawo stałego pobytu. Tym samym nielegała zalegalizowano.

▮ Minister Radosław Sikorski podpisał wniosek o wpisanie na listę osób niepożądanych lwowskiego radnego Swiatosława Szeremety. Jest to reakcja na uchwałę Lwowskiej Rady Obwodowej, która ogłosiła rok 2027 rokiem Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz jej dowódcy Romana Szuchewycza – postaci odpowiedzialnej za masowe mordy na Polakach. Szeremeta jako inicjator tego upamiętnienia otrzymał zakaz wjazdu do Polski po raz kolejny, mimo że – co jest w tej sprawie najbardziej urocze – wcale się do nas nie wybierał.

▮ W powiecie gnieźnieńskim doszło do incydentu przekonującego, że jedyną różnicą między policjantem a bandytą jest to, kto pierwszy wyciągnie legitymację. Grupa przedsiębiorczych przebierańców wpadła do domu, skuła właściciela i groźbami tortur skłoniła go do dobrowolnego opodatkowania się na ich rzecz. Metody – trzeba przyznać – identyczne jak przy porannych wizytach prawdziwego CBŚ, tyle że ci panowie działali bez błogosławieństwa prokuratora i na własny rachunek. Prawdziwa policja poczuła się urażona profesjonalną konkurencją. W ręce mundurowych wpadł arsenał, którego mogłaby pozazdrościć niejedna komenda: 11 skrzyń amunicji, drony i zapas amfetaminy. Aresztowano pięć osób, którym grozi 15 lat za to, że próbowali uprawiać państwowy monopol na przemoc bez stosownej licencji.

▮ Polska stała się ubezpieczeniowym rajem dla zachodnich cwaniaków, którzy wreszcie docenili nasz „spryt narodowy". Włosi, Niemcy i Hiszpanie masowo rejestrują u nas swoje bryki, by płacić grosze za OC i wyłudzać odszkodowania na rzekome stłuczki pod Koloseum. W tym procederze wspierają ich polscy diagności, którzy posiedli zdolność podbijania przeglądów autom, których na oczy nie widzieli i które polskiej granicy nie powąchały nawet z daleka. Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny doliczył się już 175 tys. takich aut widm. Efekt tej integracji europejskiej jest taki, że polscy ubezpieczyciele są lżejsi o 350 mln zł, a polski kierowca płaci wyższe składki.

▮ CBOS opublikował raport o narodowym zaciskaniu pasa, z którego wynika, że 40 proc. Polaków już teraz odmawia sobie codziennych potrzeb, a 25 proc. drży na myśl, że w najbliższym roku ich dochody spłyną do ścieku. Kolejne 40 proc. spodziewa się, że ceny wystrzelą w kosmos. O własną przyszłość boi się 41 proc. badanych. O stan gospodarki aż 54 proc. Po raz pierwszy od 2024 r. pesymiści (35 proc.) wzięli górę nad naiwnymi optymistami (29 proc.). To klasyczna kula śniegowa kryzysu: brak zakupów dusi produkcję, spadek produkcji owocuje zwolnieniami, a bezrobotni – co za niespodzianka – nie mają skłonności do zakupów. Tak oto, pod okiem rządu, lepimy sobie bałwana nędzy.

▮ Polskie szpitale, z warszawską kliniką im. Orłowskiego na czele, wprowadzają właśnie nową metodę leczenia: przez zaniechanie. Planowe operacje tnie się o połowę, a pacjentów urologii czy chirurgii odsyła z kwitkiem do 2027 r., licząc zapewne na to, że natura sama rozwiąże problem. W budżecie NFZ zieje dziura na 14 mld zł. Skoro Ministerstwo Zdrowia rozpaczliwie szuka grosza, a szpitale bankrutują, rozwiązanie nasuwa się samo: wystarczy pożyczyć brakujące miliardy od samych lekarzy. Przy ich obecnych liczonych w milionach zarobkach to logiczne i uzasadnione. Kiedy szpitale zbankrutują, gdzie będą operować tych nielicznych, których jeszcze na to stać?

▮ Ponad 2 mln Polaków w zaledwie trzy tygodnie rzuciło się do kin, by po raz setny obejrzeć tę samą ramotę o kupcu, który zamiast liczyć zyski, wolał liczyć na wdzięczność lodowatej arystokratki. Nowa ekranizacja „Lalki" Macieja Kawalskiego stała się hitem 2026 r. Znaczy, że naród kocha nudę niemal tak bardzo jak własne klęski. Marcin Dorociński jako Wokulski cierpi z taką wprawą, jakby trenował do tej roli całe życie, a Marek Kondrat jako Rzecki wrócił z emerytury, by przypomnieć nam, że w Polsce najlepiej wychodzi nam wspominanie Napoleona i starych dobrych czasów, których nigdy nie było.

RJ

PS Powyższe wieści pochodzą z krajowych gazet i mediów. Redakcja nie sprawdzała ich prawdziwości. Nie możemy zatem wykluczyć, że część opisanych zdarzeń nigdy nie miała miejsca, inne przebiegły zupełnie inaczej, a reszta jest jeszcze bardziej przerażająca, niż wynika z doniesień. Czytelnik zapoznaje się z nimi na własne ryzyko. Redakcja nie odpowiada za zgodność tych informacji z rzeczywistością ani za skutki psychiczne ich przeczytania.

eprasa.pl 7ba55b843e

Koniec samozwańczych szeryfów?

Polowanie na „łowców pedofilów”

Jeśli spojrzeć na państwo trzeźwo, bez patetycznych frazesów o trosce o dobro wspólne i takich tam, to jest to organizacja, która na danym terytorium ma monopol na legalne stosowanie przymusu i przemocy. Z tego względu policja i sądy potrafią surowo karać wszystkich, którzy próbują naruszyć ten monopol, dokonując samosądów, wymierzając samemu „sprawiedliwość”, aspirując do roli sędziego i kata w jednej osobie.

Z tym większym zdziwieniem obserwuję pleniące się niczym chwasty grupy samozwańczych „łowców pedofilów” pozbawiających ludzi wolności czy prowadzących relacje na żywo z ujęcia domniemanego zwyrodnialca. Coraz więcej osób dostrzega nielegalność i szkodliwość ich działań, z którą aparat państwa – tak stanowczy, gdy staruszka sprzedaje na ulicy pietruszkę z własnej działki – niewiele robi. Na szczęście jest szansa, że to się wkrótce może choć trochę zmienić.

I ty będziesz pedofilem

Kurier Daniel 15 listopada zeszłego roku pojechał do Jelcza-Laskowic zawieźć faktury do księgowej. Do domu pod Wrocławiem miał wracać pociągiem, lecz na dworcu spostrzegł, że obserwuje go kilku postawnych mężczyzn. Bał się, że chcą go okraść. Gdy wsiadł do pociągu, zobaczył byczków, którzy mieli na bluzach napisy „Łowcy pedofilów”, w rękach dzierżyli telefony. Towarzyszyli im miejscowi dziennikarze zaproszeni przez grupę na „akcję”.

Daniel opowiedział „Wyborczej”: „Wmawiali mi, że przyjechałem ze Śląska, bo wysyłałem jakiejś dziewczynce zdjęcia, byłem z nią umówiony na dworcu w Jelczu. Mówili: »Wyciągaj z plecaka tego misia, którego jej przywiozłeś«. Pokazali też zdjęcie jakiegoś mężczyzny, twierdząc, że to ja. Byłem w szoku, ciągle zaprzeczałem i pytałem: »O czym wy, k...wa, mówicie?!«”...

Zestrachany mężczyzna sam zadzwonił na policję. Funkcjonariusze wszystkich wysłuchali, po czym skuli Daniela w kajdanki i zaprowadzili na komisariat, gdzie spędził pięć godzin. Policjanci z nim rozmawiali, sprawdzili telefon

Ilustr. PAWEŁ FERENC

i wyszło na jaw, że doszło do oczywistej pomyłki. Oficer prasowa Komendy Powiatowej Policji w Oławie stwierdziła, że mężczyźnie nie postawiono żadnych zarzutów i został wypuszczony.

Tu historia mogłaby się skończyć, lecz tak naprawdę dopiero się zaczyna, gdyż pokrzywdzony będzie dochodził swoich praw przed sądem, oskarżając „łowców pedofilów” o zniesławienie. Oławska prokuratura stanęła na wysokości zadania i – kierując się uzasadnionym interesem społecznym – postanowiła włączyć się do sprawy wytoczonej z prywatnego oskarżenia. Pomówienie kogoś w obecności dziesiątków ludzi w pociągu, że wysyłał pornografię 12-latce i umówił się z nią na seksualne spotkanie, to ciężka potwarz narażająca Daniela na skrajne poniżenie w oczach opinii publicznej.

O tym, co siedzi w głowach „łowców pedofilów”, niech zaświadczy fakt, że zniesławionemu mężczyźnie zaproponowali na przeprosiny wstąpienie w ich szeregi i chodzenie na dostarczające adrenaliny akcje!

Co ciekawe, prokuratura nadal prowadzi postępowanie w sprawie bezprawnego pozbawienia wolności Daniela przez „łowców pedofilów”, którzy go zatrzymali w pociągu. Po doniesieniach medialnych sprawą zainteresowało się Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich, które zwróciło się do oławskiej komendy, aby wyjaśnić zatrzymanie Daniela przez funkcjonariuszy. Policja uznała, że nie doszło do żadnych uchybień z jej strony.

Szkodliwa zabawa w policjantów

Z prawnego punktu widzenia sprawa jest dość prosta, co ilustruje wypowiedź byłego ministra sprawiedliwości prof. Zbigniewa Ćwiąkalskiego dla Onetu: „Wiem, że działalność takich grup łowców ma szerokie poparcie społeczne, ale wiem też, że jest ona niesłychanie szkodliwa. Stygmatyzuje niewinnych często ludzi, bo »są podobni z twarzy«, naznacza ich i piętnuje. Uczy praw Dzikiego Zachodu, brania prawa we własne ręce. Rozumiem, że słabość i brak reakcji państwa, co się zdarza, budzą w ludziach potrzebę, żeby ktoś to państwo wyręczył, ale to nas zaprowadzi do anarchii, do tego, że za chwilę możemy do siebie zacząć strzelać na ulicy. Przesadzam, ale nie bez powodu”…

Jak spojrzałam na cieszący się ogromnym powodzeniem – prawie 600 tys. obserwujących – profil Fundacji ECPU Polska reklamującej się hasłem „Łowcy pdf-ów”, to aż ciarki mi przeszły po grzbiecie. Zdjęciem profilowym jest obrazek z sześcioma potężnymi facetami w czarnych mundurach i kominiarkach, kojarzących się z antyterrorystami lub – jak kto woli – z neonazistowskimi bojówkami.

Na marginesie: grupa, która zatrzymała Daniela, miała na sobie ubrania z logo ECPU, wykorzystywane – wedle szefa fundacji – w sposób nielegalny. A zatem, jak w piosence Andrzeja Rosiewicza o chłopcach radarowcach, to byli przebierańcy.

Jak zauważa Milena Garwol w artykule naukowym pod znamiennym tytułem „Odpowiedzialność karna łowców pedofilów – zarys problematyki”, owi „łowcy” – zwykle podszywający się pod małoletniego i proponujący podejrzanemu o pedofilię intymne spotkanie – zapewne dopuszczają się prowokacji do przestępstwa pedofilskiego. Polskie prawo, pisze Garwol, „zakazuje nakłaniania innej osoby do popełnienia czynu zabronionego polegającego na obcowaniu płciowo z małoletnim poniżej lat 15 lub dopuszczaniu się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej, lub doprowadzaniu jej do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania”.

Co więcej, owo spektakularne zatrzymywanie „pedofilów” wyczerpuje znamiona występku z art. 189 kodeksu karnego, pozbawiając pokrzywdzonego możliwości nieskrępowanego poruszania się i przemieszczania. Grozi za to od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia.

Jakby tego było mało, na łamach czasopisma „Palestra” prof. Mikołaj Małecki przekonuje, iż z punktu widzenia prawa przestępstwo popełniają „łowcy”, ale nie „złapani”: „Osoba zmierzająca do spotkania z dorosłym łowcą w błędnym przekonaniu, że ma do czynienia z dzieckiem, nie wypełnia znamion czynu zabronionego pod groźbą kary.

Zgodnie z bogatymi analizami prezentowanymi w literaturze karnistycznej, kodeks karny nie przewiduje odpowiedzialności karnej za nieudolne przygotowanie do przestępstwa”.

Wołanie o normalność

Żaden normalny człowiek, który ma wszystkie klepki na miejscu, nie podszywa się pod dziecko, aby skusić potencjalnego pedofila, a następnie filmować jego ujęcie. Jak ktoś chce już tak bardzo łapać przestępców, że nie może się powstrzymać, niech pójdzie do szkoły policyjnej i zostanie funkcjonariuszem.

Co ciekawe, w 2019 r. policja doniosła, że pewien 31-letni mieszkaniec Białegostoku, który sam bawił się w „łowcę pedofilów”, okazał się sam pedofilem namawiającym nieletnich do współżycia płciowego i przechowującym w domu pornografię dziecięcą.

„Łowcy pedofilów” igrają z ludzkim zdrowiem i życiem. Parę lat temu 47-letni mieszkaniec wsi na Pomorzu – po ujawnieniu jego wizerunku w internecie – rzucił się pod pociąg. Publiczne „akcje” mogą skończyć się linczem na człowieku.

Dopuszczam jeden przypadek, że nie tylko organy ścigania wymierzają sprawiedliwość: to przypadek Mrocznego Rycerza, czyli Batmana, i to tylko w filmach…

KAT

Jak sądy na własne życzenie sparaliżowały wymiar sprawiedliwości

Anatomia kapitulacji

Sprawa tzw. dezubekizacji od lat przedstawiana jest w mediach jako polityczno-historyczny spór o życiorysy z okresu PRL. To głębokie nieporozumienie. W rzeczywistości to podręcznikowe studium systemowej patologii – dowód na to, jak w celu uderzenia w jedną grupę zawodową państwo zdemolowało elementarne procedury administracyjne, cywilne i konstytucyjne. Jednak najbardziej porażającym wnioskiem, jaki płynie z analizy tej legislacyjnej opresji, jest milcząca kapitulacja sądów powszechnych oraz Sądu Najwyższego. Sądy te, zamiast bezwzględnie pilnować sprawiedliwości proceduralnej, dały się wciągnąć w destrukcyjną grę i na własne życzenie sparaliżowały wymiar sprawiedliwości.

Zerwany kontrakt ustrojowy

Wprowadzenie nowelizacji z 16 grudnia 2016 r. nie było aktem sprawiedliwości społecznej, lecz jednostronnym, retrospektywnym zerwaniem paktu założycielskiego, jaki demokratyczna Polska zawarła z funkcjonariuszami w 1990 r. Wówczas, na mocy art. 150 ustawy o Policji i innych, państwo zaoferowało zweryfikowanym kadrom jasny kontrakt: lojalność za lojalność i ciągłość praw nabytych. Pierwotna ustawa zaopatrzeniowa z 1994 r. udowodniła, że potrafi punktowo eliminować zbrodniarzy komunistycznych z mundurowego systemu emerytalnego – poprzez wyroki karne i pozbawienie praw publicznych; bez demolowania zasad ubezpieczeniowych pozostałych kadr.

Kryzys nadszedł falami. Najpierw w 2009 r., wprowadzając art. 15b (wskaźnik 0,7 proc. za lata PRL), przetestowano oportunizm aparatu państwowego i zainfekowano system wirusem odpowiedzialności zbiorowej, opartej na zewnętrznych, lakonicznych pismach IPN. Widząc, że system połknął tę patologię, w 2016 r. ustawodawca poszedł na całość. Wdrożenie art. 15c – mówiącego o „osobach pełniących służbę na rzecz totalitarnego państwa” – dokonało potrójnej represji, arbitralnie obniżając emerytury wypracowane przez 20–30 lat służby w wolnej Polsce do pułapu średniego świadczenia z ZUS.

W sensie dogmatycznym art. 15c to klasyczna aberracja. Jego hipoteza w ogóle nie obejmuje okresu służby po 31 lipca 1990 r. Zakład Emerytalno-Rentowy MSWiA dopuścił się rażącego błędu, wyciągając sankcję wyłącznie z dyspozycji przepisu i rozszerzając ją na okres wolnej Polski na podstawie niedopuszczalnego domniemania.

Co więcej, przepis ten zdemolował logikę systemu zaopatrzeniowego, likwidując mundurowe mechanizmy kompensacyjne, w tym dodatki z tytułu inwalidztwa nabytego w obronie III RP.

Prorocze ostrzeżenia i abdykacja sądów

Ta katastrofa ustrojowa została z chirurgiczną precyzją zapowiedziana w zdaniach odrębnych wybitnych jurystów (prof. Ewy Łętowskiej, prof. Mirosława Wyrzykowskiego oraz sędziego Bohdana Zdziennickiego) do wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2010 r. (sygn. akt K 6/09). Profesor Łętowska wprost ostrzegała, że ubezwłasnowolnienie sędziów sądów powszechnych i zmuszenie ich do pełnienia roli organów śledczych na podstawie lakonicznych pism IPN doprowadzi do paraliżu sądownictwa.

Sądy powszechne miały tę mapę drogową na stole. Mimo to weszły dokładnie w te same, proroczo nakreślone koleiny.

Dziś media i judykatura skupiają się na ostatecznym sukcesie materialnym – fakcie, że po przełomowej uchwale Sądu Najwyższego z 16 września 2020 r. (III UZP 1/20) emeryci masowo odzyskują świadczenia dzięki prokonstytucyjnej wykładni prawa i rozproszonej kontroli konstytucyjnej. Sukces ten przesłania jednak potężny błąd systemowy: sądy w ogóle nie powinny były tych spraw badać merytorycznie. Dały się sterroryzować i abdykowały ze swojej podstawowej, recenzenckiej roli.

Grzech zaniechania, czyli paraliż na własne życzenie

Zgodnie z bezwzględnym nakazem ustawowym wyrażonym w art. 477^{14} par. 2^{1} Kpc oraz art. 477^{14}a Kpc sąd ma obligatoryjny obowiązek uchylić decyzję organu rentowego i przekazać ją do ponownego rozpoznania, jeżeli została ona wydana z rażącym naruszeniem procedury. Przepisy te weszły w życie w listopadzie 2019 r. i na mocy przepisów przejściowych miały pełne, bezpośrednie zastosowanie do wszystkich toczących się już spraw dezubekizacyjnych.

A jak wyglądała rzeczywistość przed organem rentowym? Dyrektor ZER MSWiA wydał ponad 26 tys. decyzji, obarczonych uchybieniami o najwyższym ciężarze gatunkowym (od tylu wpłynęły odwołania do sądu). Całkowicie pozbawił ubezpieczonych prawa do obrony (brak zawiadomienia o wszczęciu postępowania, brak wysłuchania stron). Co więcej, wydał decyzje „na ślepo” w oparciu o „informacje” z IPN, które były masowo podpisywane przez naczelników oddziałowych archiwów – czyli personel techniczny, nieposiadający ustawowego ani statutowego umocowania do dokonywania zewnętrznych kwalifikacji prawnych. Dokumenty te były wadliwe u podstaw i w sensie prawnym nieistniejące (non-est).

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zamiast zastosować atomowy instrument kasatoryjny i odesłać te buble prawne z powrotem na biurko Dyrektora ZER, sądy powszechne wzięły skutki urzędniczego bezprawia na własne barki. Zaczęły wyręczać organ rentowy, ściągać akta z archiwów IPN i prowadzić od zera wieloletnie śledztwa historyczne.

Gdyby sądy masowo uchyliły pierwsze 2 tys. decyzji z powodów formalno-proceduralnych, cały opresyjny aparat legislacyjny z 2016 r. załamałby się pod własnym logistycznym ciężarem w kilka miesięcy. Resort musiałby sam zmierzyć się z paraliżem, który wywołał, co wymusiłoby natychmiastową refleksję polityczną już w 2017 r.

Rachunek wystawiony najsłabszym

Bilans tej proceduralnej kapitulacji sądów jest porażający. W sferze budżetowej, po wypłacie ponad 2,5 mld zł należności głównych, państwo staje w obliczu kolejnej bomby finansowej: masowych roszczeń o odsetki ustawowe. Przy obecnym oprocentowaniu na poziomie 12,25 proc. w skali roku za lata generowanej przez sądy zwłoki podatnicy zapłacą kolejny miliard złotych.

Jednak najgorszy jest koszt społeczny. Sztuczne wciągnięcie sądów w rolę organów śledczych IPN zablokowało wydziały ubezpieczeń społecznych w całym kraju. Cenę tego proceduralnego zaniechania zapłacili najsłabsi obywatele – niemundurowi emeryci, renciści i inwalidzi. Ich codzienne życiowe sprawy o zasiłki, renty czy waloryzacje zostały zepchnięte na boczny tor, uwięzione w gigantycznych zatorach wykreowanych przez wymiar sprawiedliwości, który zapomniał, że jego pierwszą i najważniejszą powinnością jest bezwzględne pilnowanie czystości procedur.

IRENEUSZ WOJEWODA

eprasa.pl 7ba55b843e

Autka na prąd odpływają z prądem?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Elektrorozczarowanie

Elektryczna rewolucja motoryzacyjna wydawała się równie pewna jak śmierć, podatki i kolejna unijna dyrektywa. Koncerny motoryzacyjne prześcigały się w deklarowaniu dat pogrzebu silnika spalinowego, politycy ogłaszali kres benzyny i diesla, a każdy, kto pytał, czy aby przeciętny człowiek będzie chciał za to wszystko zapłacić, kwalifikował się do grona technicznych troglodytów. Akumulatory miały tanieć, ładowarki wyrastać przy drogach, a zasięgi baterii rosnąć.

Spada, a rośnie

W ostatnim globalnym badaniu EY Mobility Consumer Index aż 50 proc. ludzi planujących kupno samochodu w ciągu następnych dwóch lat zadeklarowało zamiar zakupu auta z silnikiem spalinowym. Rok wcześniej takich klientów było o 13 punktów procentowych mniej. W Amerykach odsetek chętnych na spalinówkę podskoczył o 12 pkt proc., w Europie – o 11 pkt proc., a w Azji i regionie Pacyfiku – o 10 pkt proc. Jednocześnie zainteresowanie samochodami całkowicie elektrycznymi skurczyło się o 10 pkt proc., do ledwie 14 proc., a hybrydami o 5 pkt proc., do 16 proc. Tyle że elektryki jakoś nie przestały się sprzedawać. W pierwszej połowie roku ich udział w rejestracjach nowych aut w Unii doszedł do 20,7 proc., podczas gdy rok wcześniej wynosił 15,6 proc. Hybrydy miały 37,3 proc. rynku, zaś benzyna i diesel razem skurczyły się z 37,8 do 29,7 proc. Reuters wyliczał z kolei, że w pierwszym półroczu w Europie sprzedano 1,24 mln aut bateryjnych, czyli o 33,7 proc. więcej niż rok wcześniej. W lipcu globalna sprzedaż pojazdów elektrycznych osiągnęła 1,85 mln sztuk, o 9 proc. więcej rok do roku.

Czyli ludzie nie chcą elektryków, a kupują ich coraz więcej. Bo europejski klient kupuje w świecie norm emisyjnych, podatków i państwowych dopłat. Analitycy wskazują jako przyczynę subsydia, wsparcie regulacyjne oraz wzrost cen paliw. Międzynarodowa Agencja Energetyczna też nie udaje, że rynek rozwija się wyłącznie dlatego, iż miliony ludzi obudziły się pewnego ranka zakochane w bateriach. W pierwszym kwartale sprzedaż elektryków w Europie wzrosła wprawdzie prawie o 30 proc., ale globalnie była o 8 proc. niższa niż rok wcześniej, przede wszystkim wskutek wojny na cła w Chinach i Stanach Zjednoczonych.

Elektryczne samochody wciąż kosztują dużo, mimo że ceny baterii spadły realnie o około 35–37 proc. Tyle że spadek kosztów akumulatorów nie przełożył się na rachunek wystawiany klientowi.

W Polsce cenową wadę elektryka przez pewien czas rozwiązywało państwo, wychodząc z założenia, ze jeżeli obywatel nie chce czegoś kupić za własne pieniądze, należy mu dołożyć pieniądze innych obywateli. Program „NaszEauto" dysponował pulą około 1,18 mld zł i wspierał zakup, leasing albo wynajem długoterminowy nowych pojazdów zeroemisyjnych. Program okazał się popularny do tego stopnia, że już 27 stycznia wykorzystanie budżetu sięgnęło 100 proc.

Polski rynek faktycznie dzięki temu urósł. Pod koniec czerwca mieliśmy 154 947 osobowych i użytkowych samochodów całkowicie elektrycznych, a liczba nowo rejestrowanych zwiększyła się o 32 proc. Tyle że to ledwie 5,3 proc. rejestracji nowych samochodów osobowych w Polsce. Srednia unijna wynosiła około 20 proc. Trudno zatem utrzymywać, że polski kierowca rzucił się na samochód bateryjny.

Wady ideału

Latami jedną z najskuteczniejszych reklam elektryka było przeliczenie, że jeśli samochód zużywa dajmy na to 18 kWh na 100 km, mnożymy to przez cenę kilowatogodziny i natychmiast wychodzi cud. Problem w tym, że właściciel samochodu nie płaci za to, co komputer samochodu uznał za zużyte podczas jazdy. Płaci za prąd pobrany z sieci. A to nie jest to samo.

Niemiecki ADAC sprawdził straty podczas ładowania pięciu samochodów. Samochody ładowano z kilku rodzajów gniazdek. Wyszło ciekawie. Mercedes zgubił po drodze aż 24,2 proc. energii. Renault – 13,7 proc., Tesla – 12,7 proc., Volvo – 14,2 proc., Volkswagen – 15,3 proc. W przypadku Mercedesa mamy więc sytuację tożsamą z tą, gdy podczas tankowania rozlewałoby się na ziemię co czwarty litr benzyny. Płacimy bowiem za prąd, który do akumulatora nie trafia.

Polska infrastruktura rośnie szybko i należy to uczciwie przyznać. Pod koniec maja 2026 r. funkcjonowało u nas 12 897 ogólnodostępnych punktów ładowania. Średnia odległość pomiędzy najbliższymi sąsiadującymi ze sobą stacjami ładowania w Polsce spadła do 2152 m. W ciągu 16 miesięcy zmniejszyła się o ponad kilometr, czyli aż o 34 proc., zaś liczba punktów w ciągu roku zwiększyła się o ponad 40 proc.

Dopiero gdy statystyczną ładowarkę włoży się na statystyczną drogę, sielanka zaczyna wyglądać mniej pocztówkowo. Na jeden punkt szybkiego ładowania przypada w Polsce 31,1 km dróg. W Niemczech – 5 km, w Portugalii – 3,1 km.

Fachowcy twierdzą, że problem nie skończy się przez samo dostawianie słupków. Europa musiałaby do końca 2035 r. instalować średnio około 300 tys. publicznych punktów rocznie, aby osiągnąć poziom odpowiadający przewidywanej liczbie samochodów.

Jest jeden argument przeciw samochodom elektrycznym, który najnowsze dane akurat mocno osłabiają. Chodzi o pożary. W pierwszym półroczu 2026 r. w Polsce doszło do 26 pożarów aut elektrycznych i 4935 pożarów samochodów spalinowych. Porównywanie samych liczb byłoby oczywiście głupie, bo spalinówek jest wielokrotnie więcej. Dlatego policzono wskaźnik na 1000 zarejestrowanych pojazdów. Dla elektryków wyszło 0,168, dla spalinowych 0,201, a dla hybryd zaledwie 0,038. Rok wcześniej wskaźnik u elektryków wynosił 0,23.

Nie ma więc podstaw do opowieści, że elektromobilność sprowadza na parkingi falę płonących baterii. Ale elektromobilność ma tę właściwość, że nawet dobra wiadomość ma pod spodem drobny druk. Średnia akcja strażaków przy pożarze elektryka trwała w pierwszym półroczu trzy godziny i 41 minut. Czterokrotnie dłużej niż przy aucie spalinowym. Czyli elektryk jak się pali, to na całego.

Do tego dochodzi problem, o którym klient przekonuje się zwykle dopiero po kilku latach. Samochód nie jest kosztem wyłącznie w dniu zakupu. Jest nim również w dniu sprzedaży. W Wielkiej Brytanii trzyletnie samochody elektryczne potrafiły zachowywać przeciętnie około 38 proc. pierwotnej wartości. Ta sama gwałtowna utrata wartości, która martwi pierwszego właściciela, raduje drugiego. Stąd na rynku wtórnym mocno przecenione elektryki stają się atrakcyjne dla klientów, których nie stać na nowe.

Bez dotacji ani rusz

Najlepszym dowodem na zmianę klimatu wokół elektromobilności nie są jednak internetowe kłótnie kierowców, ale polityka Unii Europejskiej.

Przez lata symboliczna data 2035 funkcjonowała w debacie jako moment, po którym nowe auta z silnikami emitującymi CO_2 miały właściwie zniknąć z unijnego rynku. Dziś Komisja Europejska mówi już o większej „elastyczności" i „neutralności technologicznej". W obecnym pakiecie motoryzacyjnym od 2035 r. producenci mają realizować cel 90-procentowego ograniczenia emisji z rur wydechowych. Nie dlatego, że w Brukseli odkryto nagle miłość do zapachu benzyny. Lecz stąd, że europejski przemysł motoryzacyjny znalazł się między regulacyjnym młotem a chińskim akumulatorowym kowadłem.

W 2025 r. prawie 75 proc. globalnej produkcji samochodów elektrycznych przypadało na Chiny, a kraj ten odpowiadał za około 40 proc. światowego handlu elektrykami. Udział chińskich marek w rynku europejskim zbliżył się już do jednej czwartej. Czyli

elektryfikacja, która miała być wielkim przemysłowym skokiem Europy, może się skończyć sytuacją, w której Europejczyk zostanie przymuszony dyrektywami do kupowania technologii zdominowanej przez producentów z Azji.

I być może po latach zbiorowego zachwytu motoryzacja wreszcie dojrzewa do rewolucyjnego odkrycia, iż ludzie mają różne potrzeby, co dla ideologów elektromobilności jest wiadomością fatalną, a dla kierowców – całkiem dobrą.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Życie W DOBROBYCIE

● Z końcem 2026 r. kończy się Krajowy Plan Odbudowy, czyli KPO – program, który miał sprawić, że polska gospodarka rozkwitnie, a Polakom zacznie się żyć lepiej. Teraz zaś ekonomiści ostrzegają, że gdy pieniądze przestaną płynąć, to gospodarka zwolni. Co jest o tyle ciekawe, że gdy miliardy do nas płynęły, przeciętny obywatel niekoniecznie odczuwał ich obecność podczas płacenia za zakupy, mieszkanie czy energię. A nie są to drobne na waciki. Według Ministerstwa Finansów w 2025 r. dodatni bilans naszych rozliczeń z Unią wynosił ok. 60 mld zł – tyle zostawało po odjęciu polskiej składki od otrzymanych unijnych pieniędzy. W 2026 r. nadwyżka ma przekroczyć 84 mld zł, ale już w 2027 r. wyniesie zaledwie 33,5 mld zł. Nadal będziemy na plusie, tyle że znacznie mniejszym. Eksperci przewidują, że w 2026 r. polski PKB wzrośnie o 3,5 proc., a w 2027 r. już tylko o 2,8 proc. Żeby uzmysłowić sobie skalę kończącego się wsparcia, wystarczy podzielić unijne miliardy przez ok. 37,5 mln mieszkańców Polski i wyjdzie w tym roku ok. 2240 zł na osobę. W przyszłym już tylko ok. 893 zł. I tylko przeciętny Polak może mieć problem z ustaleniem, co właściwie stracił. Bo skoro nie bardzo zauważył, żeby z otrzymanych przez Polskę miliardów przybyło mu pieniędzy, to trudno oczekiwać, żeby potrafił policzyć, ile ubędzie mu z powodu ich zakończenia. Pewne jest jedynie, że pieniądze, które niekoniecznie widział na oczy, przestaną płynąć, a ich brak ma spowolnić gospodarkę, której wzrost niekoniecznie odczuwał we własnej kieszeni. Czyli dobrobyt nadal będziemy mieli, tyle że jeszcze bardziej statystyczny.

● Alimenty to pieniądze, które rodzic ma płacić na utrzymanie własnego dziecka. Z założenia więc mają służyć temu, żeby dzieciak miał co jeść, w czym chodzić do szkoły i gdzie mieszkać – tyle teoria. W praktyce bowiem zasądzenie alimentów i ich otrzymanie to dwie zupełnie różne rzeczy. Można mieć prawomocny wyrok, komornika, państwo po swojej stronie i dzieciaka, który codziennie chce jeść, a pieniędzy od zobowiązanego do alimentów rodzica jak nie było, tak nie ma. O czym świadczą dane Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor oraz Biura Informacji Kredytowej. Na koniec lipca w obu bazach znajdowało się 1,49 mln mężczyzn mających problemy z terminowym regulowaniem swoich zobowiązań. Ich łączne zaległości wynosiły 55,06 mld zł, czyli niemal 37 tys. zł na jednego chłopa. Mężczyźni stanowią aż 63 proc. wszystkich niesolidnych płatników. Oczywiście nie wszystkie te pieniądze należą się dzieciom. Są tam niespłacone kredyty, niezapłacone rachunki i zaległe czynsze. Tyle że przeciętna zaległość alimentacyjna przypadająca na jednego mężczyznę zadłużonego z tego tytułu wynosi aż 62 tys. zł. Dla porównania średnia zaległość z tytułu niespłaconego kredytu gotówkowego to 30 tys. zł. Zaległości pozakredytowe ma 1,18 mln panów, podczas gdy z terminowym spłacaniem kredytów bankowych nie radzi sobie około 534 tys. Owe 62 tys. zł przeciętnego długu alimentacyjnego nader dużo mówi o skuteczności naszego państwa. Gdyby bowiem ktoś miał zasądzone alimenty w wysokości 500 zł miesięcznie i nie zapłacił ani złotówki, to uzbieranie 62 tys. zł zaległości zajęłoby mu 10 lat i cztery miesiące. Wszystko to dzieje się w kraju, w którym za politykę społeczną odpowiada Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, polityczka Lewicy. Nie oznacza to oczywiście, że ministra odpowiada za wszystkie zaległości alimentacyjne powstałe przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Może jednak proponować zmiany prawa i rozwiązania poprawiające skuteczność odzyskiwania pieniędzy, bo państwo ma cały aparat instytucjonalny do pilnowania, żeby wszystko działało. Ale kwadratura koła, czyli skuteczne ściąganie alimentów, jak była, tak jest dla polskiego państwa problemem. Świadczą o tym pieniądze, które nie trafiają do dzieci.

● Polska jest państwem prawa. Tak przynajmniej wynika z konstytucji, ustaw i zapewnień polityków, którzy praworządność mają zawsze na ustach. Obywatele prawa przestrzegać muszą, bo jak nie zapłacą podatku albo spóźnią się z ratą kredytu, to państwo i banki szybko przypomną im o istnieniu przepisów. Gorzej, gdy prawo nakłada obowiązki na banki. Wtedy okazuje się, że aby banksterzy zaczęli robić to, co nakazują im ustawy, potrzebny jest TSUE i wyrok dotyczący pieniędzy wykradanych z rachunków bankowych. Trybunał orzekł, że gdy klient zgłasza nieautoryzowaną transakcję płatniczą, czyli taką, na którą nie wyraził prawnie skutecznej zgody, bank powinien oddać mu pieniądze najpóźniej do końca następnego dnia roboczego. I nie jest to żadne nowe prawo. Obowiązek taki wynikał już wcześniej z przepisów regulujących usługi płatnicze. Tyle że banki często odmawiały zwrotu pieniędzy, twierdząc, że klient dopuścił się „rażącego niedbalstwa", bo kliknął w podejrzany link, komuś podał dane albo nie rozpoznał internetowego oszustwa. TSUE wyjaśnił więc, że samo podejrzenie niedbalstwa nie wystarcza do zatrzymania pieniędzy. Z wyroku ucieszył się UOKiK. Urząd przypomniał, że od lat apeluje do banków o przestrzeganie przepisów dotyczących nieautoryzowanych transakcji. Od lat! A przecież UOKiK jest państwowym urzędem mogącym prowadzić postępowania, wydawać decyzje i nakładać kary! Najbardziej osobliwie brzmi jednak stanowisko Związku Banków Polskich. Jego prezes stwierdził, że wyrok TSUE nie jest „żadnym zaskoczeniem dla sektora bankowego", bo banki „już od kilku lat sukcesywnie wdrażały praktyki polegające na zwrocie środków w tym terminie także w przypadku rażącego niedbalstwa". Wypada więc pogratulować bankom tego, że wykonanie obowiązku wynikającego z istniejących przepisów stało się przedmiotem przełomowego orzeczenia europejskiego trybunału. A państwu polskiemu – systemu ochrony konsumentów, w którym urząd przez lata apeluje do banków o przestrzeganie prawa.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Niemiecki Volkswagen ma problemy. Tak duże, że w swojej ojczyźnie uzgodnił zmniejszenie zatrudnienia o ponad 35 tys. osób do 2030 r. A w Polsce robi coś zupełnie odwrotnego. Rozbudowuje fabrykę we Wrześni, żeby przygotować ją do produkcji nowej generacji elektrycznego Craftera. Przy inwestycji pracuje około 270 osób, a nowych hal ma powstać blisko 60 tys. mkw. Niemcy zatem u siebie liczą, ilu ludzi mogą mieć mniej, a w Wielkopolsce liczą metry kwadratowe nowych hal. Dla nas całkiem fajnie. Niemcy najwyraźniej uznali więc, że Września jest miejscem wartym dokładania pieniędzy, choć zakład jest całkiem młody. Uruchomiono go w 2016 r., a jego zbudowanie od zera kosztowało ponad 4 mld zł. Dziś pracuje tam około 630 robotów, jakość produkcji sprawdzają również systemy wykorzystujące sztuczną inteligencję, a na terenie fabryki działa elektrownia słoneczna o mocy 18,3 MW. Według Volkswagena w odpowiednio słoneczne dni może ona pokryć całe zapotrzebowanie zakładu na prąd. Pod panelami łazi jeszcze ponad 100 owiec, które zjadając roślinność, pomagają utrzymywać teren. Mamy więc w jednej fabryce roboty, sztuczną inteligencję, elektrownię słoneczną i setkę owiec. No i zatrudnionych ponad 9 tys. osób. Ciekawe, co na to Alternative für Deutschland?

● Trzy polskie spółki Permia 1, Permia 2 i Permia 3 podpisały z amerykańską M2i Global porozumienie o „strategicznej współpracy i współpracy technicznej". Umowa ma obowiązywać dwa lata, a strony mają wspólnie oceniać potencjał projektów dotyczących znajdujących się w rejonie Myszkowa rud wolframu, molibdenu i miedzi. Pięknie, gdyby nie drobny szczegół. Złoża nie zostały odkryte ani przez Amerykanów, ani wczoraj. Rejon Myszkowa jest badany geologicznie od około 50 lat. Skoro więc wiedzieliśmy, czego i gdzie szukać, wypada zapytać, do czego właściwie potrzebny jest nam teraz partner z USA. Tłumaczy się zatem, że M2i Global ma wspólnie z polskimi spółkami oceniać kwestie geologiczne, techniczne i ekonomiczne. Amerykanie mają ponadto pomagać w kontaktach z inwestorami, instytucjami finansującymi, partnerami przemysłowymi i potencjalnymi odbiorcami w Stanach Zjednoczonych. W grę wchodzą również odpowiednie programy amerykańskiej administracji. I nagle z opowieści o geologii robi się opowieść przede wszystkim o pieniądzach, inwestorach i klientach. Fajnie, tyle że takie know-how ma choćby wybitnie nieamerykański światowy gigant o nazwie KGHM. I dlatego zamiast pytać, po co polskim geologom Amerykanie, należałoby zapytać, po co polskim złożom M2i Global. Z geologią najwyraźniej radziliśmy sobie bez niej przez około 50 lat. Teraz zaczyna się znacznie ważniejsza gra o pieniądze, finansowanie i przyszłych odbiorców wolframu, molibdenu i miedzi. Dopiero poznanie warunków tej gry pozwoli ocenić, czy Amerykanie przyszli nam pomóc zrobić dobry interes, czy po prostu sami taki interes zwietrzyli.

TTJ

eprasa.pl 7ba55b843e

Ekonomista genialny?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kilka uwag o Kazimierzu Brusie

Po lekturze biografii „Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus" myślę, że Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz bardzo starała się ocieplić postacie swoich żydowskich bohaterów. Mój komentarz jednak dotyczy tylko tego, co Autorka ma do powiedzenia o Włodzimierzu Brusie (Beniaminie Zylberbergu; 1921–2006). Za mało dowiadujemy się o tym, co Brus zrobił z polską ekonomią. Razi mnie także fałszywy obraz Brusa „genialnego ekonomisty".

Pogrom polskiej ekonomii

Po wojnie, jak wielu przybyłych ze Wschodu z wojskiem politruków, Brus osobiście indoktrynował czytelników, studentów itd. Co ważniejsze, tworzył i wykorzystywał instytucje, które wspierały w Polsce stalinowski nibymarksizm i nibyekonomię. Oto przykłady.

Kluczowy był udział Brusa w sowietyzacji uczelni ekonomicznych. Jej świadek, przed wojną docent, potem profesor i doktor honoris causa Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, współtwórca jedynego udanego planu gospodarczego rozwoju Polski Ludowej („trzylatka sytości", 1947-1949) i socjalista Jan Drewnowski tak pisał po latach: „W połowie września 1949 nastąpiła sowietyzacja SGH. Dowiedzieliśmy się, że SGH została upaństwowiona, że zmieniła nazwę na Szkołę Główną Planowania i Statystyki, że ma nowego rektora i siedmiu nowych profesorów. Ściślej mówiąc zastępców profesorów, bo żaden z nich nie miał kwalifikacji akademickich. Dla każdego utworzono nową katedrę. Byli to B. Blass, W. Brus, B. Minc, K. Owoc, L. Pawłowski, J.Z. Wyrozembski, S. Żurawicki, a w następnym r. dołączyli do nich M. Pohorille i J. Zawadzki. Dawnych profesorów odsunięto od wpływu na kierowanie uczelnią. Starszych, prof. Jerzego Lotha i prof. Juliana Makowskiego, przeniesiono na emeryturę, prorektora prof. Edmunda Dąbrowskiego zwolniono z pracy. Innych chwilowo pozostawiono na katedrach, ograniczając jednak zakres ich pracy dydaktycznej. »Zdejmowanie« z katedr nastąpiło w r. 1950/51. Wtedy zdjęty został z katedry ekonomii politycznej prof. Edward Lipiński, a ja zostałem zdjęty z katedry gospodarki planowej. Młodą kadrę naukową zlikwidowano od razu, zwalniając prawie wszystkich asystentów. Przerwano także wszystkie przewody doktorskie. Na to miejsce przydzielono do uczelni około dwudziestu wykładowców i kilku asystentów, przeważnie PPR-owców z różnych resortów wielu związanych z PZPR-em studentów III r. awansowało na asystentów"…

Podobnie było w całej Polsce. Józef Nowicki, ówczesny doktor SGH i późniejszy profesor SGPiS, inna ofiara Brusa, pisał pod pseudonimem Jan Rafa: „Po odsunięciu od pracy naukowo-dydaktycznej takich powag naukowych jak prof. E. Taylor w Poznaniu, prof. A. i W. Krzyżanowski w Krakowie lub prof. W. Styś we Wrocławiu, S. Zaleski z Warszawy i W. Fabierkiewicz z Łodzi, powołano tam na zastępców profesorów różne osobistości miejscowe, które brak znajomości przedmiotu nadrabiały posłuszeństwem i gorliwością polityczno-ideologiczną".

O sławnym Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych dowiadujemy się od Autorki, że „był wylęgarnią rewizjonizmu i że większość absolwentów i pracowników Instytutu znalazła się wkrótce na czele rewolty przeciwko stalinizmowi, dostarczając (…) wielu wytrwałych i szczerych przywódców intelektualnych silnego nurtu »rewizjonizmu« i dysydenckiego, najpierw wewnątrz, a następnie poza partią komunistyczną". Nic nie dowiadujemy się za to o roli instytutowej Katedry Ekonomii Politycznej Włodzimierza Brusa w zniszczeniu akademickiej ekonomii w Polsce.

Oszukane pokolenia

A przecież wychowankowie Brusa przejęli uniwersytety. Publikowali artykuły i książki (zwykle w wydawnictwach opanowanych przez kolegów z instytutu). Szybko zostawali profesorami i „produkowali" dziesiątki swoich doktorów. Skutkiem był wybuchowy rozrost tkanki pseudomarksistowskiej „ekonomii politycznej". Ci uczniowie Brusa wywarli niszczący wpływ na polską ekonomię, od kontroli dostępu do informacji o gospodarce przez badania i nauczanie po publikacje.

Wspomnienia wymaga też powstała w 1951 r. Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki, która decydowała o tytułach naukowych. Komisja blokowała zawodowe awanse jednych i wspierała awanse innych ekonomistów. W przypadku kandydatów pozbawionych poparcia partii – przy ocenie dorobku pomijano badania sprzed 1949 roku. Ci drudzy nie musieli przedstawiać dorobku naukowego. Ekonomię w komisji reprezentowali Oskar Lange i Włodzimierz Brus, a od 1954 r. także Józef Zawadzki. Od 1954 r. Lange na posiedzeniach komisji był zwykle nieobecny, Brus miał zatem bardzo silny wpływ na decyzje. Zawadzki był podwładnym Brusa, inni jego podwładni z instytutu bywali recenzentami ocenianych prac.

Przemilczane przez Autorkę skutki działań Brusa to m.in. zastąpienie naukowców propagandzistami w uczelniach ekonomicznych; zanik poważnych badań ekonomicznych; całe pokolenia oszukanych polskich studentów.

Osobną sprawą są m.in. społeczne koszty budowy w Polsce kapitalizmu. Niewykluczone, że jeśli akademicka ekonomia przetrwałaby po 1949 r. i ludzie tacy jak Jan Drewnowski zachowaliby wpływy, w latach 90. XX w. wiele tysięcy mniej Polaków zabiłoby się z bezrobocia, nędzy, poniżenia.

Miał bowiem rację uczeń Wincentego Stysia, wykładowcy Politechniki i Uniwersytetu we Lwowie, profesor Wiesław Samecki (pseudonim Wiktor Jarmulicz; 1927-2007), kiedy w 1986 r. w wydanej nielegalnie pracy diagnozował stan polskiej ekonomii: „Plon posiewu dokonanego przed 35 laty jest aż nadto widoczny. Niespotykanie niski poziom kadry naukowej i towarzyszący mu zastraszający upadek myśli ekonomicznej w Polsce; w konsekwencji niebywale niski poziom wiedzy ekonomicznej Polaków. Indoktrynacja zrobiła swoje i długo jeszcze przerażać będzie swymi skutkami".

Dodam, że inaczej niż np. Bronisław Blass – który w 1949 r. wraz z Brusem tworzył SGPiS, a potem ufundował stypendium dla studentów SGH – Brus nie spróbował, choćby symbolicznie, zadośćuczynić swoim ofiarom. Tak, on zdecydowanie nie przypominał Lorda Jima.

Od Chin ludowych do budowy kapitalizmu

Ta „intelektualna biografia" Brusa jest niepełna. Na przykład Autorka nie analizuje jego „doktoratu" z 1951 r., wzorcowego przykładu stalinowskiej „ekonomii politycznej". To na podstawie tej pracy, jak to ujął Jan Drewnowski, „pozbawiony kwalifikacji akademickich" komunistyczny podpułkownik, spec od propagandy, kłamca katyński, w ciągu kilku miesięcy przemienił się w profesora SGPiS.

Podobnie jest z Brusa pomysłem „łączenia centralnego planowania z rynkiem" z „Ogólnych problemów funkcjonowania gospodarki socjalistycznej" z 1961 r. Czytelnik nie dowiaduje się np., czym rozwiązania proponowane przez Brusa różniły się od Nowej Polityki Ekonomicznej, prowadzonej w latach 20. XX w. w ZSRR. Jakie były argumenty Michała Kaleckiego po 1961 r. krytykującego tę koncepcję? Ostatecznie nie dowiaduje się też, czy i jak Brus wpłynął na chińskie reformy gospodarcze.

Wreszcie, w ostatniej dużej pracy „From Marx to the Market" z 1989 r. (współautor Kazimierz Łaski) Brus zalecił Polakom odbudowę kapitalizmu i, jak pisze Autorka, wytyczenie trzeciej drogi: stopniowej transformacji prowadzącej ku zachodniej socjaldemokracji, między »realnym socjalizmem« a rynkowym fundamentalizmem". Znowu – Kwiatkowska-Moskalewicz nie oferuje poważnego wyjaśnienia, dlaczego jej bohater stracił wiarę w „socjalizm rynkowy". Nie wiadomo np., czy chodziło mu o socjaldemokrację niemiecką, czy może szwedzką?

Jeszcze coś: na okładce książki niepodpisany komentator nazywa Brusa „genialnym ekonomistą". Te wyeksponowane (no, chyba za zgodą Autorki?) słowa nie są przypadkiem. Kwiatkowska-Moskalewicz unika krytycznych opinii o Brusie. Nie cytuje np. świadka epoki, Jana Drewnowskiego, który o ekonomistach takich jak Brus pisał: „W dniach 7-10 czerwca 1956 r. odbył się w Warszawie II Zjazd Ekonomistów Polskich. Słyszało się stalinistów, przez lata tępiących każdy przejaw samodzielnej myśli, teraz głoszących potrzebę swobody badań naukowych. Muszę przyznać, że wydawało mi się to wielką maskaradą. Nie wierzyłem w taką zmianę przekonań ze strony tych, którzy zniszczyli naukę ekonomiczną w Polsce. Nie zabrałem na Zjeździe głosu". I w innym miejscu o dyskusjach w Klubie Krzywego Koła: „Widziałem na sali ludzi, którzy przez lata byli wrogami prawdziwej nauki i bezlitośnie niszczyli każdego, kto chciał zachować godność i samodzielność myślenia. Siedzieli tutaj ci prześladowcy obok prześladowanych – na równych z nimi prawach. Nie widziałem swojego miejsca w takim klubie". Autorka nie przytacza także opinii Drewnowskiego o polskich emigrantach w Wielkiej Brytanii u schyłku lat 70. XX w. i byłych PZPR-owcach, „podróżujących sobie po Zachodniej Europie niedawnych sowietyzatorach polskiej gospodarki i kultury" i o naiwnej wierze przywódców emigracji niepodległościowej w to, co oni sami o sobie mówili, przy braku zainteresowania tym, co na prawdę działo się w PRL.

Banalne odkrycia, nikłe osiągnięcia

Tak czy owak, wielu sądzi, że zasługą Brusa była krytyka gospodarki nakazowo-rozdzielczej i pomysł jej uzupełnienia rynkiem. Inni jednak także badali tę gospodarkę, dochodząc do bardziej trafnych wniosków (Stefan Kurowski!), co dotyczy np. roli własności prywatnej. Jeszcze inni oferowali analizę bardziej wnikliwą (Janos Kornai!). O zaletach rynku przed Brusem pisano w podręcznikach ekonomii na całym świecie. W Polsce czynili to np. profesorowie wygnani z katedr w 1949 r. Brus odkrywał zatem prawdy banalne, nieznane mu z powodu braku normalnego wykształcenia ekonomicznego, którego nie odebrał, bo sam zniszczył akademicką ekonomię w Polsce. Trudno zatem uznać jego koncepcje za ważny dorobek teoretyczny.

Potwierdza to Joan Robinson w bezlitosnej recenzji angielskiego tłumaczenia „Ogólnych problemów gospodarki socjalistycznej" z 1973 r. Sławna Robinson pisała: „To, czego czytelnik uczy się z tej książki, to trudność analizowania gospodarki socjalistycznej w kategoriach marksistowskich". I kończąc, jakby z ironią: „Wygląda na to, iż profesor Brus poświęcił tak wiele czasu na rozszyfrowywanie znaczenia nazwy »prawo wartości« w socjalizmie, że zapomniał, na czym naprawdę polegają problemy związane z prowadzeniem gospodarki planowej".

Nie bez znaczenia jest i to, że po wojnie wielu nie mogło zabrać głosu w dyskusjach o polskiej gospodarce, w których brylował Brus. Mam na myśli m.in. profesorów, ich asystentów i doktorantów, do których wyrzucenia z pracy po 1949 r. Brus się przyczynił. Przyczyną była nie tylko cenzura, lecz także utrata kontaktów ze środowiskiem zawodowym, brak dostępu do zagranicznej literatury naukowej, odcięcie od informacji o gospodarce, konieczność pracy poza zawodem. Krótko mówiąc, w tych dyskusjach uczestniczyli tylko dopuszczeni do głosu przez Brusa i jego partyjnych kolegów.

W podsumowaniu wyników dużego niemieckiego projektu badawczego, którego celem była ocena ekonomii w krajach „realnego socjalizmu", czytamy: „Ekonomia w krajach komunistycznych nie wniosła żadnego nowego i ważnego spostrzeżenia, twierdzenia, prawa czy sporu, o którym powinni wiedzieć wszyscy studenci ekonomii. Nawet w przypadku teorii marksistowskiej i debat dotyczących planowej gospodarki socjalistycznej dokonania ekonomistów z krajów komunistycznych są nikłe". Jeśli – jak pisze Hans-Jürgen Wagener – te dokonania rzeczywiście były nikłe, to może jednak Brus nie był aż tak „genialnym ekonomistą"?

Trochę grafomanii, trochę przemilczeń

Biografia Kwiatkowskiej-Moskalewicz ma też inne wady.

Mniejsza o zręczność Autorki w operowaniu kiczem: „Nie zapuścili korzeni w Anglii, żyli jak wieczni emigranci. W końcu zrozumiałam, że zrobili tam sobie getto. Getto, w którym zostali ich rodzice, jej młodszy brat, jego ukochana siostra. Coraz mniej jedli. Ona od lat: listek sałaty, kawałek herbatnika. Nakładała sobie na spodeczek porcje jak dla ptaszka, a i tak większość zostawiała. Ojciec też przestał jeść. Schudł. Godzinami siedział w fotelu wpatrzony w jeden punkt"…

Na s. 56 dowiadujemy się jednak, że przed wojną Brusa nie przyjęto na studia w SGH, bo był Żydem lub dlatego, że na maturze nie zdawał matematyki. Potem jednak Autorka pisze już tylko (s. 325) o żydowskim pochodzeniu. Na s. 324 pojawia się informacja, że w SGPiS Brus i Pohorille dostali Katedrę Ekonomii Socjalizmu, choć nie mieli jeszcze doktoratów. Pohorille nie był wtedy nawet magistrem. Na s. 573 mowa jest o hiperinflacji w Polsce w latach 1989-1990 r., lecz to, czy była to hiperinflacja, czy też jedynie jednorazowy wzrost cen po zniesieniu ich kontroli przez państwo, jest sporne. Na s. 579 pojawia się inna klisza apologetów „polskiej drogi do kapitalizmu", czyli twierdzenie, że w 1989 r. Polacy byli biedniejsi niż przeciętny mieszkaniec Gabonu, Ukrainy czy Surinamu (brakuje np. informacji o skrajnie nierównym podziale dochodów z eksportu surowców w Gabonie i Surinamie).

To wszystko nie zmienia mojej ogólnej oceny. „Stygmat" krokiem ku prawdzie o szokującym losie polskiej ekonomii w czasach „realnego socjalizmu".

BOGUSŁAW CZARNY

Autor jest ekonomistą specjalizującym się w historii myśli ekonomicznej i metodologii ekonomii, profesorem SGH.

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, „Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia", Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026

eprasa.pl 7ba55b843e

Chwała naszym wyklętym

Wiecznie żywa pamięć o dąbrowszczakach.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Ducha nie gaście – wzywał mądrze przed laty JP2. I miał tu rację, o czym przekonuje dobitnie ukazanie się książki „Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej", którą napisał Jeremi Galdamez Muñoz. Nie jest to bynajmniej monografia, lecz – jak zauważa sam autor – „próba spojrzenia na dąbrowszczaków w nieco inny sposób niż dotychczas – z uznaniem dla bohaterstwa antyfaszystowskich bojowników i bojowniczek, lecz bez pomijania trudnych wątków w tej opowieści".

Nasze chwalebne tradycje

Pierwsze dni listopada, Święto Zmarłych i Święto Narodowe, w sposób oczywisty skłaniają nas do myślenia o poprzednich pokoleniach naszej rodziny – i tej, z którą nas łączą więzy krwi i większej „rodziny", czyli narodu. Zwykle jest to pożywka dla prawicowych oszołomów, krzyczących „Śmierć wrogom ojczyzny!" w oczy wszystkim, których nie lubią, lecz jako Polacy mamy też chwalebne, na równi lewicowe, co patriotyczne, tradycje.

Mija właśnie dekada od wejścia w życie tzw. ustawy dekomunizacyjnej, nakazującej usunięcie z przestrzeni publicznej wszelkich nazw „propagujących komunizm lub inny ustrój totalitarny". Ofiarą nieuków z IPN-u mającego prawo wskazywać, kto propaguje komunizm, padły nieomal wszystkie (poza Warszawą i Olsztynem) z 35 ówczesnych ulic poświęconych pamięci dąbrowszczaków, polskich ochotników, którzy walczyli po stronie republikańskiej w hiszpańskiej wojnie domowej.

Jak gorzko zauważa Muñoz, „Dąbrowszczacy właściwie nigdy nie doczekali się rzetelnej opowieści. Najpierw analizę walk na Półwyspie Iberyjskim uniemożliwił wybuch II wojny światowej, potem propaganda wczesnej PRL – oddziały w Hiszpanii traktowano wówczas jak zalążek ludowego wojska oraz zbrojne ramię klasy pracującej, której przedstawiciele właśnie objęli stery władzy. Tych honorów nie oddawano długo; w najciemniejszych latach stalinizmu »dąbrowszczak« znaczyło dla bezpieki w najlepszym wypadku »podejrzany«. Podejrzany o kontakty z wywiadami państw kapitalistycznych, o ukąszenie trockizmem, zaczadzenie Zachodem".

„Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej" jest bez wątpienia taką rzetelną opowieścią, w której mamy rys historyczny, opis dokonań dąbrowszczaków, a także losy tzw. interbrygadzistów po klęsce w Hiszpanii, walczących z hitlerowską okupacją, budujących powojenną Polskę, wykorzystywanych ideologicznie – a gdy życie gasło u ostatnich dąbrowszczaków, ich nikczemne potraktowanie w ojczyźnie znowu kapitalistycznej i klerykalnej.

Wielkim problemem – dopiero teraz szerzej dostrzeżonym, dzięki nurtowi odkrywania ludowej historii Polski – jest traktowanie naszych dziejów i tradycji jako domeny królów, marszałków czy arcybiskupów, słowem: elit. Historia dąbrowszczaków to tymczasem dzieje robotniczego zrywu antyfaszystowskiego. Dzieje ludzi, których kapitalistyczna Polska międzywojenna zmusiła do opuszczenia kraju – z przyczyn ekonomicznych czy politycznych. Wielu z nich było polskimi lewicowymi Żydami żyjącymi w upadlających warunkach, lecz w środowisku bogatym w tradycje postępowe.

Kiedy narodowcy i klerykałowie żądają monopolu na polskość, pamięć o żołnierzach Brygad Międzynarodowych – a Polacy, po Francuzach, byli wśród nich najliczniejsi – może być odtrutką na prawicę z jej kultem żołnierzy niby wyklętych, ale tak naprawdę – błogosławionych (i przez państwo, i przez Kościół).

Co ciekawe, Polacy służyli nie tylko w „naszej" XIII Brygadzie Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, lecz także w innych brygadach; z kolei w legendarnej XIII służyli ochotnicy z różnych stron świata. Bo był to czas, kiedy proletariusze wszystkich krajów naprawdę się łączyli i o tym też warto pamiętać.

Polscy bohaterowie

Czym się kierowali młodzi ludzie, którzy udali się do Hiszpanii, aby wspierać obóz republikański w walce z Franco mającym poparcie faszystowskich Włoch i nazistowskich Niemiec? Nie, nie jakimiś mrzonkami stalinowskimi, lecz niezgodą na niesprawiedliwość, jaka ich dotykała, nieludzkie warunki życia.

Wielką wartością książki są przytoczone świadectwa ochotników, np. Chaima Augartena z Rzeszowa. Na własnej skórze przekonał się on, że naruszenie – choćby słowne – „świętej własności prywatnej" jego „chlebodawcy" jest równoznaczne z utratą pracy. Nienawidził służby wojskowej, gdzie go prześladowano za żydowskie pochodzenie. Brał udział w strajkach i demonstracjach.

„Między jedną pracą a drugą były długie przerwy bezrobocia. Podczas tych długich miesięcy bezrobocia zrodziła się we mnie śmiertelna nienawiść do ustroju, który zmusza do bezczynności ludzi młodych, pełnych energii i skazuje ich na wegetację. Zrozumiałem, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest walka z kapitalizmem i faszyzmem. Doszły do mnie wieści o buncie faszystowskich generałów w Hiszpanii i o polskich ochotnikach walczących tam. Natychmiast postanowiłem pojechać do Hiszpanii" – opowiada.

Jak pisze Muñoz, interbrygadziści z Polski bardzo szybko dorobili się opinii tęgich kozaków, którzy nie kłaniali się oddziałom Franco. Dostawali najcięższe zadania, z których wywiązywali się wybornie. Jak stwierdził jeden z nich Szymon Zajdow: „W Hiszpanii było takie powiedzenie: z Polakami w ataku i z Niemcami w obronie faszyzm nie przejdzie!".

Oczywiście, w PRL wykorzystywano instrumentalnie dąbrowszczaków, ale za oficjalnymi pochwałami i klepaniem po ramieniu często nie szło – zdaniem weteranów – praktyczne wsparcie i docenienie.

Błędem byłoby sądzić, że dąbrowszczacy byli potulnymi marionetkami władzy, czego dowodzą losy Seweryna Ajznera. Do komunistycznej młodzieżówki wstąpił on jako 15-latek w 1929 r., a z PZPR wydalono go w niesławnym 1968 r. Jak zaznacza Muñoz: „Pod wpływem rzeczywistości społeczno-politycznej PRL-u – autorytarnych rządów, braku demokracji, alienacji partyjnej władzy od społeczeństwa – zaczął się oddalać od ideologii, z którą był związany przez większość swojego życia. Pod koniec lat siedemdziesiątych jako demokratyczny socjalista stał się sympatykiem Komitetu Obrony Robotników oraz Solidarności".

Dziary z odznaką dąbrowszczaków

Jakkolwiek od udziału polskich antyfaszystów w wojnie w Hiszpanii minęło już nieomal dziewięć dekad, pamięć o tych lewicowych żołnierzach wyklętych nie zagasła. Gdy wokół przybywa kolejnych brunatnych zamordystów, bliskich nie tylko generałowi Franco, ale i Mussoliniemu, wciąż ich dokonania mogą inspirować. Nie tylko do gadania, ale i do konkretnego działania.

W całej rozciągłości zgadzam się ze stanowiskiem dr Wojciecha Opioły z Uniwersytetu Opolskiego, który w tekście „O szkodliwości generalizowania w historii: przypadek dąbrowszczaków" zauważa: „Problemem hiszpańskiej wojny domowej jest przede wszystkim zaszufladkowanie jej polskich uczestników jako stalinistów i komunistów. Paradoksem jest, że w ankietach, jakie dąbrowszczacy wypełniali w czasie rekrutacji do oddziałów ochotniczych, większość podawała brak sympatii politycznych. Komuniści stanowili w szeregach dąbrowszczaków istotną, ale mniejszościową grupę. Z oczywistych względów (Brygady Międzynarodowe były organizowane przez Kominternu) dowódcy i komisarze polityczni byli komunistami. Rzesze szeregowych żołnierzy już niekoniecznie. W latach 1936–1939 takie rozróżnienia miały kolosalne znaczenie".

W 2018 r. ukazała się książka lewicowego działacza Piotra Ciszewskiego, szefa Stowarzyszenia Historia Czerwona, zatytułowana „Dąbrowszczacy. Na świecie szanowani, w Polsce poniżani". Ukazując biogramy interbrygadzistów, Ciszewski ponad wszelką wątpliwość dowodzi, że (wbrew rojeniom IPN-u i prawicy) wielu antyfaszystowskich weteranów nie zrobiło większej kariery w Polsce Ludowej. Autor pisze:

„Dąbrowszczacy toczą dziś w Polsce kolejną bitwę. Tym razem nie znajdują się pod ostrzałem dział dostarczonych generałowi Franco przez Hitlera i Mussoliniego, lecz propagandy Instytutu Pamięci Narodowej".

Zgodnie z zasadą: uderz w stół, a nożyce się odezwą, IPN nie ustaje w swej propagandzie, której ostatnim wykwitem jest wydana przezeń książka z zeszłego roku „Dąbrowszczacy i wojna domowa w Hiszpanii. Kontekst międzynarodowy – późniejsze losy – spory o pamięć". Chyba nie okazała się ona hitem wydawniczym, skoro na stronie IPN można ją kupić w cenie piwa (5 zł).

Co ciekawe, znam dwie osoby, które – pod wpływem pewnej punkowej piosenki – wytatuowały sobie parę lat temu odznakę dąbrowszczaków. Idzie o kawałek „Trzynasta" grupy The Analogs, do którego tekst napisał Paweł „Piguła" Czekała. Można go odsłuchać w internecie, np. na YouTubie, a towarzyszy mu właśnie wizerunek odznaki XIII Brygady Międzynarodowej. W numerze jest mowa o tych, co „zerwali kajdany, broń wzięli do ręki", poświęcając życie w walce o wolność i za republikę.

Jest rzeczą niezwykle intrygującą, że dalszy fragment piosenki idealnie współgra z tytułem książki o dąbrowszczakach (przypadek? nie sądzę!):

„Trzynasta, dla ciebie, szacunek
i chwała,
Tyś śmiała się w oczy armii
generała.
Trzynasta, ty pierwsza z dala
od ojczyzny
Pokazałaś światu, jak walczyć z faszyzmem.
Każą ci zapomnieć, plują na ich pamięć,
Ale w naszych serca płomień ich nie
zgaśnie".

ZUZANNA JURCZYŃSKA

KOR wam w smak

Urodzinowa laurka dla Adama Michnika

Adam Michnik skończył 80 lat, Komitet Obrony Robotników 50, a polska inteligencja liberalna znalazła kolejną okazję, żeby powspominać samą siebie. Były uroczystości, wzruszające przemówienia, wspomnienia dawnych przyjaźni i zapewnienia, że bez tamtych odważnych ludzi nie byłoby wolnej Polski. Premier Donald Tusk mówił na Zamku Królewskim o politycznym geniuszu twórców KOR, a „Gazeta Wyborcza" świętowała zarówno rocznicę komitetu, jak i urodziny swojego redaktora naczelnego. Powstała z tego opowieść o pokoleniu, które pokonało komunizm i podarowało Polakom demokrację.

Mam z tą opowieścią pewien problem. Robotnicy, od których wszystko się zaczęło, znów występują w niej przede wszystkim jako ludzie, którym ktoś łaskawie przyszedł z pomocą.

Nie kwestionuję zasług KOR czy Michnika. Kiedy w 1976 r. po protestach w Radomiu i Ursusie milicja biła robotników, a sądy skazywały uczestników demonstracji, znaleźli się ludzie gotowi ponieść osobiste ryzyko, żeby im pomóc. Zbierali pieniądze, organizowali obronę prawną, docierali do rodzin represjonowanych i nagłaśniali nadużycia władzy. Była to działalność wymagająca odwagi.

Tyle że historia KOR nie zaczyna się od odwagi warszawskich inteligentów, lecz od robotniczego buntu przeciwko pogorszeniu warunków życia. Ludzie wyszli na ulice, ponieważ mieli dosyć polityki gospodarczej prowadzonej ich kosztem. Dopiero potem przyszła solidarność inteligencji. Kolejność ma znaczenie, ponieważ mówi nam, kto pierwszy zakwestionował istniejący porządek i dlaczego.

W rocznicowym tekście Marek Beylin przypominał nauki swoich mentorów, którzy przekonywali, że należy budować szeroki wspólny świat. Piękna idea, pod którą chętnie bym się podpisał. Chciałbym jednak wiedzieć, co stało się z tym światem po 1989 r., kiedy dawni opozycjoniści uzyskali realny wpływ na państwo, gospodarkę i opinię publiczną.

Przez lata „Gazeta Wyborcza" była jednym z najważniejszych miejsc, w których tłumaczono Polakom sens transformacji. Likwidację zakładów przedstawiano jako konieczność, prywatyzację jako drogę do dobrobytu, a społeczne koszty reform jako cenę modernizacji.

Związki zawodowe zbyt często pojawiały się w tej opowieści jako przeszkoda, roszczeniowi obrońcy przeszłości, niezdolni do zrozumienia wymogów nowoczesnej gospodarki. Robotników należało więc bronić przed milicją, ale już niekoniecznie przed bezrobociem czy wszechwładzą pracodawcy.

Nie wszyscy ludzie KOR myśleli jednakowo. Jacek Kuroń dostrzegał dramatyczne skutki transformacji, a część dawnej opozycji pozostała wierna społecznej wrażliwości. Tym bar-

eprasa.pl 7ba55b843e

Spółdzielczość przyszłością świata?

Optymistyczny tekst na nową drogę „NIE”

Pisząc o spółdzielczości („NIE”, nr 37/2026) Anna Grodzka wywołała wilka z lasu. Ów wilk to właśnie spółdzielczość, na którą polowano, niestety skutecznie, podczas deformacji ustrojowej. Na samym jej początku jakiś mózgowiec ogłosił, że spółdzielczość przyszła do nas ze wschodu, co już samo w sobie miało być dyskredytujące. Jednak najwyraźniej pomyliły mu się kierunki geograficzne – albowiem pierwszą spółdzielnię założyli już w 1844 r. brytyjscy tkacze, słusznie nazywając ją Stowarzyszeniem Sprawiedliwych.

Spółdzielcza samorządność

Temat spółdzielni – zwłaszcza pracy – jest mi szczególnie bliski, jako że przez kilka lat zajmowałem się tym zawodowo jako pracownik Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy. Dzięki temu miałem ogląd spółdzielczości w PRL.

Spółdzielnie funkcjonowały w systemie centralnej gospodarki planowej. Oznaczało to, że z góry narzucano im pewne wskaźniki. Jednak do czasu: w latach 70. zaprzestano tej praktyki. W odróżnieniu od przedsiębiorstw państwowych, gdzie dyrektor mianowany był z góry, spółdzielcy na Walnych Zgromadzeniach sami sobie wybierali prezesa i zarząd.

Zgoda: były pewne ograniczenia. Stanowisko prezesa znajdowało się bowiem w nomenklaturze instancji partyjnych. Osobiście znam jeden – choć pewnie było ich więcej – przypadek, gdy komitet partyjny nie wyraził zgody na wybór prezesa. Lecz znam też przypadek odwrotny: gdy jedna ze spółdzielni wybrała prezesa wbrew stanowisku Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Świadczy to z jednej strony o tym, że spółdzielcy potrafili wykorzystać przysługujące im prawa, z drugiej zaś o nieefektywności systemu nomenklatury.

Spółdzielcy mogli wybierać nie tylko prezesa i zarząd, ale też radę spółdzielni. Obecnie nazywa się to radą nadzorczą, co oznacza, że do takiej rady mogą być oddelegowane osoby spoza spółdzielni – podczas gdy do rady spółdzielni mogli być wybrani tylko jej członkowie. W ramach takiej rady funkcjonowały społeczne komisje, a spółdzielcy ustalali samodzielnie wysokość dywidendy wypłacanej swoim członkom.

Spółdzielczość pracy obejmowała różne branże – usługi, przetwórstwo rybne, produkcję odzieży i zabawek. Spółdzielnie takie były zrzeszone w krajowe związki, a także w związki wojewódzkie. Nad nimi była czapa w postaci Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy.

Spółdzielnie nie musiały się martwić o zbyt swojej produkcji na rynkach zagranicznych, bowiem eksportem ich towarów zajmowała się centrala handlu zagranicznego Coopexim. I nie tylko eksportem w klasycznym wydaniu – w Paryżu miała nawet swój własny sklep.

Ponadto działał Centralny Związek Spółdzielni Inwalidów, które to spółdzielnie zapewniały pracę osobom niepełnosprawnym, zapobiegając tym samym ich wykluczeniu ze społeczeństwa. Oferowane prace odpowiadały rodzajowi niepełnosprawności – np. spółdzielnie niewidomych i ociemniałych dawały prace chałupnicze choćby przy produkcji odzieży.

Wszystkie te osiągnięcia i doświadczenia poszły pod młotek pod naporem kapitalistycznej transformacji. Trzeba też zauważyć, że na fali prywatyzacji skorzystali niektórzy prezesi, przekształcając spółdzielnie w swoje prywatne firmy

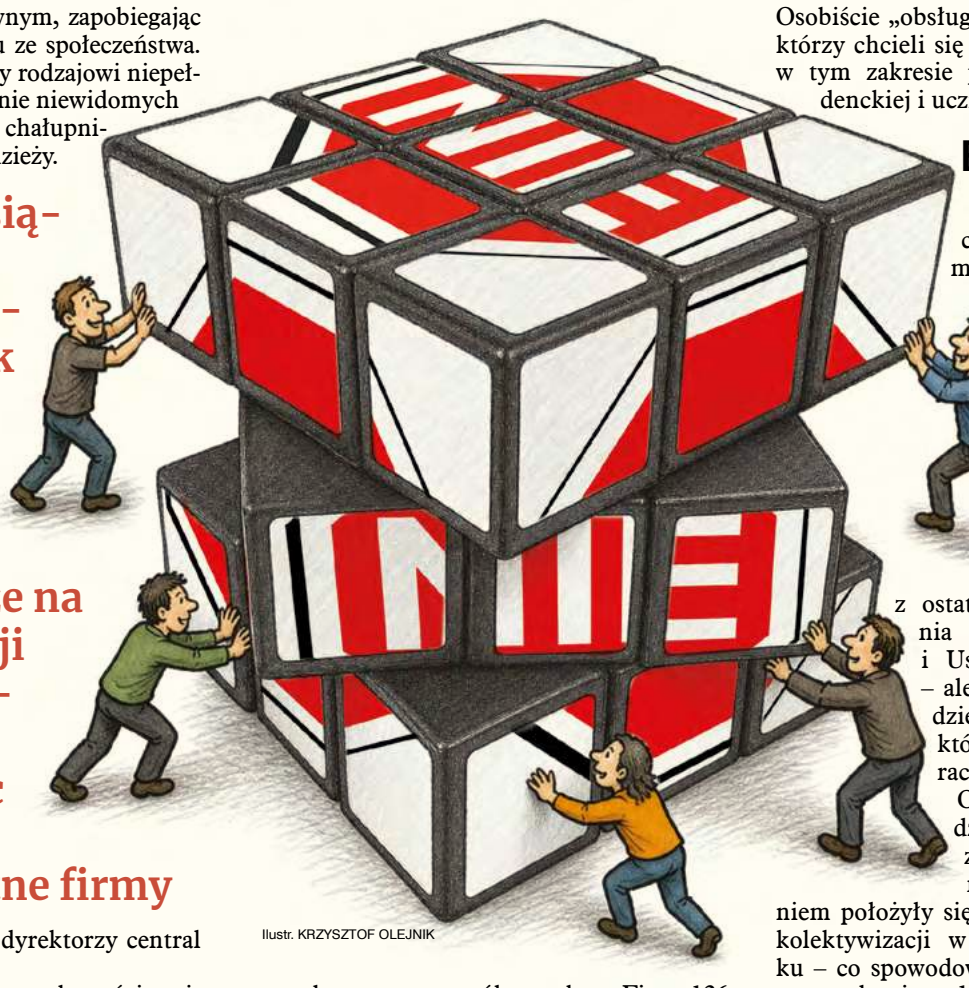

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– podobnie jak to uczynili dyrektorzy central handlu zagranicznego.

Z punktu widzenia struktury własnościowej: spółdzielnie stanowiły własność społeczną, w odróżnieniu od własności państwowej, gdzie przedsiębiorstwa były zarządzane przez aparat państwowy i w pewnej mierze partyjny (nomenklatura), a samorządność pracownicza stanowiła tu element wtórny.

Wzorcowy przykład

Polskie doświadczenia w zakresie spółdzielczości pracy były wysoko cenione na świecie – zwłaszcza w krajach rozwijających się, poszukujących różnych form rozwoju i aktywizacji zawodowej. Centralny Związek Spółdzielczości Pracy organizował seminaria i szkolenia dla spółdzielców z różnych regionów świat. Organizowano też konferencje międzynarodowe. Byłem na jednej z nich – z udziałem prezesa Międzynarodowego Związku Spółdzielczego. Zapamiętałem, że prezentował wyraźnie lewicowe antyimperialistyczne poglądy. I taki też był generalny kierunek związku.

Z kolei Międzynarodowe Biuro Pracy ILO fundowało stypendia np. dla obywateli państw afrykańskich w celu zapoznania się z doświadczeniami polskiej spółdzielczości. Otrzymywali stypendia w dolarach, które po przeliczeniu po realnym kursie na złotówki pozwalały dwóm stypendystom na wspólny zakup Fiata 126p po dwóch tygodniach pobytu w Polsce. Z kolei polscy specjaliści byli przez ILO wysyłani do innych krajów w celu pomocy w organizowaniu tam spółdzielczości. Sam też byłem wytypowany na takiego eksperta – nie załapałem się, niestety, ponieważ brakowało mi nieco do wymaganego wieku 35 lat. Ponadto Polskę odwiedzały delegacje spółdzielcze z różnych krajów. Pamiętam jak delegaci z Kolumbii byli pod wrażeniem funkcjonowania polskich spółdzielni.

Studenci nie tylko do nauki

Unikatem w skali światowej były polskie spółdzielnie studenckie. Zaczęło się w 1956 r., gdy studenci warszawscy wymyślili, że można zarobić, opiekując się dziećmi, kiedy ich rodzice udawali się do kina, teatru czy na balangę. Z czasem koncepcja się poszerzyła. Powstawały spółdzielnie studenckie oferujące różnorodny zakres usług. Początkowo prostych – jak sprzątanie czy to, co teraz wykonują firmy kurierskie, tj. dostarczanie do domów artykułów spożywczych z delikatesów. Przez studentów było to uważane za niezwykle lukratywne zajęcie. Protoplaści dzisiejszych kurierów często dostawali sute napiwki, a nawet byli zapraszani na zakrapiane imprezy, gdy brakowało kompletu facetów do towarzystwa.

W późniejszych latach następował rozwój usług specjalistycznych powiązanych z kierunkiem studiów. Przynosiło to dwojakiego rodzaju korzyści. Z jednej strony – zapewniało dodatkowe dochody studentom, z drugiej zaś strony pozwalało na pogłębienie fachowej wiedzy i umiejętności, co później procentowało w pracy zawodowej. Taki rodzaj aktywności zawodowej studentów był swoistym polskim ewenementem; o ile mi wiadomo, to tylko w Związku Radzieckim działały podobne struktury w postaci Studenckich Biur Konstruktorskich.

Spółdzielczość studencka była budzącym zainteresowanie modelem aktywizacji młodzieży. Osobiście „obsługiwałem” delegatów z Seszeli, którzy chcieli się zapoznać z doświadczeniami w tym zakresie polskiej spółdzielczości studenckiej i uczniowskiej.

Bogactwo form

Piszę głównie o spółdzielczości pracy – ponieważ była mi najbliższa przez kilka lat zawodowej działalności. Należy jednak wspomnieć, że istniały też innego rodzaju spółdzielnie – choćby mleczarskie czy ogrodniczo-pszczelarskie specjalizujące się w handlu, skupie oraz przetwórstwie warzyw, owoców i miodu. Do dziś zachowała się – jedna z ostatnich w kraju – Spółdzielnia Zaopatrzenia Ogrodniczego i Usług w Łodzi. Spółdzielczą – ale tylko z nazwy – była Spółdzielnia Spożywców Społem, która prowadziła sklepy i restauracje bez udziału członków.

Osobnym tematem jest spółdzielczość rolnicza. Była ona, zwłaszcza w Polsce, przedmiotem kontrowersji. Cieniem położyły się na niej próby przymusowej kolektywizacji w latach 50. ubiegłego wieku – co spowodowało z kolei odejście od niej po przełomie w 1956 r. Wiele spółdzielni rozwiązano, lecz sporo ich się zachowało i były zrzeszone w Centralnym Związku Spółdzielni Rolniczych. Jednocześnie, wraz z likwidacją spółdzielni rolniczych, zwanych produkcyjnymi, nastąpił rozwój kółek rolniczych mających jeszcze przedwojenne tradycje. Była to też typowo polska forma rolniczej spółdzielczości.

Kołchozy niezbyt się sprawdziły w ZSRR, natomiast w Czechosłowacji było inaczej. Chociaż i tam kolektywizowano rolnictwo na siłę, to – pomimo różnych perturbacji w roku 1968 – nie rozpadła się ani jedna spółdzielnia. Zrezygnowano z państwowych przedsiębiorstw rolnych, a cały sektor został zdominowany przez Zjednoczone Spółdzielnie Rolnicze. Miały one w porównaniu z państwowymi zakładami przemysłowymi daleko posuniętą samodzielność i bardzo ograniczoną liczbę narzucanych odgórnie wskaźników do wykonania.

Słowo optymizmu na koniec: uważam, że przyszłość należy do spółdzielczości. Że przyjdzie czas na to, że eksploatowani przez prywatnych właścicieli pracownicy dojdą do wniosku, że nastała pora, aby swoje sprawy wziąć w swoje ręce. Bądźmy zatem spółdzielcami.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

---

dziej warto zapytać, dlaczego w dominującej narracji liberalnej zwyciężyło przekonanie, że wolność polityczna może spokojnie współistnieć z ekonomiczną bezsilnością milionów ludzi.

Rys. HENRYK CEBULA

Moja rodzina, podobnie jak niezliczone rodziny robotnicze, oglądała transformację z zupełnie innego miejsca niż redakcje wielkich gazet i gabinety nowych elit. Dla jednych były to lata otwierających się możliwości, podróży i awansu. Dla innych oznaczały utratę pracy, zamykanie fabryk, biedę i niepewność ciągnącą się przez całe pokolenie. Nie wszyscy trafili do tej samej wolnej Polski.

Najbardziej osobliwe jest to, że dawni obrońcy robotników i ich polityczni spadkobiercy tak chętnie przywołują solidarność z 1976 r., a znacznie trudniej przychodzi im uznanie współczesnych konfliktów klasowych za sprawy równie doniosłe. Robotnik prześladowany przez władzę ludową stanowi piękny symbol odwagi. Pracownik supermarketu, magazynu albo firmy kurierskiej, który domaga się wyższej pensji, stabilnej umowy i przestrzegania swoich praw, znacznie rzadziej bywa bohaterem narodowej opowieści. Pracownicy Dino opowiadali o pracy w chłodzie i konfliktach z pracodawcą, związkowcy mierzą się ze zwolnieniami, a organizowanie protestów w prywatnych przedsiębiorstwach nieraz oznacza utratę środków do życia. Formalnie mamy wolność zrzeszania się i prawo do strajku, lecz między istnieniem prawa a możliwością korzystania z niego rozciąga się przepaść dobrze znana ludziom żyjącym od wypłaty do wypłaty.

W 1976 r. potrzebna była odwaga, żeby przeciwstawić się państwu. Dzisiaj także potrzeba odwagi, żeby wystąpić przeciwko pracodawcy, od którego zależy utrzymanie rodziny. Warunki są nieporównywalne, ale ekonomiczna zależność nadal ogranicza rzeczywistą wolność. Można głosować w demokratycznych wyborach, a jednocześnie nie mieć niemal żadnego wpływu na warunki, w jakich spędza się większość dorosłego życia.

Właśnie dlatego rocznicowe obchody KOR budzą we mnie co najmniej mieszane uczucia. Politycy mogą spotkać się na uroczystości poświęconej obronie robotników, ponieważ historia została już bezpiecznie zamknięta. Nie trzeba negocjować podwyżek, organizować pomocy zwolnionym ani kwestionować interesów właścicieli przedsiębiorstw. Można wzruszyć się losem człowieka wyrzuconego z fabryki pół wieku temu, a następnego dnia wrócić do polityki, w której interesy pracowników ustępują wymaganiom rynku.

Michnik ma prawo do urodzin, jego przyjaciele do życzeń, a uczestnicy KOR do dumy ze swojej działalności. Wolałbym jednak, żeby pięćdziesięciolecie komitetu stało się także okazją do rozliczenia tego, co wydarzyło się później. Dlaczego porozumienie robotników i inteligencji, tak ważne dla zwycięstwa w PRL, nie przetrwało próby kapitalizmu? Dlaczego ludzie, których protesty pomogły obalić poprzedni system, tak często stawali się przegranymi nowego?

Odpowiedź wymagałaby przyznania, że demokracja polityczna nie zniosła podziałów klasowych, a nowy porządek gospodarczy stworzył własne mechanizmy podporządkowania. Przede wszystkim trzeba byłoby uznać, że robotnicy nie są wdzięcznym tłem dla historii wielkich intelektualistów, lecz samodzielnymi uczestnikami polityki, mającymi własne interesy i prawo do gniewu.

„Gazeta Wyborcza” przez lata traciła wpływ na tę część społeczeństwa, której doświadczeń nie potrafiła przekonująco opisać. Nie wystarczy tłumaczyć tego prawicową propagandą czy upadkiem jakości debaty publicznej. Warto zapytać, dlaczego ludzie, których rodzice słuchali opowieści o solidarności, sami przestali wierzyć jej dawnym rzecznikom.

Najbardziej szkoda mi samego KOR, ponieważ jego historia zasługuje na więcej niż uroczysty jubileusz środowiska wyliniałych zabytków styropianu. Był w niej przecież niezwykle ważny pomysł: ludzie o różnym pochodzeniu, wykształceniu i doświadczeniu mogą wspólnie przeciwstawić się niesprawiedliwości. Szkoda.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 7ba55b843e

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Nie poradzili sobie z Nim za życia, poniewierają teraz. Niektórzy.* ***Większość świata wie, że przyczyną zrobienia z Niego mema nie są naiwne uczucia ludzi, którzy dziś kremówkują Jego życiorys, ale ślepa furia. Mszczą się za to, że zmienił świat. Że dokopał choćby komunistycznej głupocie. A młodzi… jak to oni… gdy wyjdą poza świat TikToka, zobaczą w Nim nie postać urobioną przez spadkobierców Urbana, ale osobę utkaną przez swoje czasy, a jednak świętą.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 22 października

■ *Zbieramy dziś więc owoce agresji słownej, szczucia i mowy nienawiści, hejtu powszechnego i bezkarnego. I co my, katolicy, na to? „Uderz w pasterza i rozproszą się owce" – jesteśmy świadkami kolejnego kroku, kiedy wali się w naszych pasterzy. Gryzą go własne owce, a owczarki udają niewiniątka.* ***Lecz to nie biskupi są głównymi ofiarami, ale my wszyscy, katolicy. Kościół zawsze niszczono od góry, wyśmienicie stosowali tę taktykę bolszewicy przy ataku najpierw na Kościół Prawosławny, potem Katolicki. Jeśli pasterze będą zastraszeni, zagonieni w kąt, to z nami już łatwo będzie zrobić, co się chce.***

br. Damian Wojciechowski SJ, Opoka.org.pl, 13 października

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ ***Religia i duchowość są podstawowym źródłem moralności, czyli określania, co jest dobre, a co złe. Dzieci polskie w dużej mierze rosną obecnie bez odniesienia do Boga, a więc gdzie mają znaleźć twardy fundament moralności? Atakując chrześcijaństwo, atakuje się pojęcie dobra i zła. Co dzieci mają dzisiaj zamiast Boga i ustanowionego przez niego Dekalogu?*** *W pustce aksjologicznej, czyli w post-cywilizacji, gdzie niezmiennie dobro i zło nie istnieją, każdy sam ustala, co mu służy, a co szkodzi. Jeżeli doktor Gizela, wstrzykująca truciznę małemu Felkowi, jest ukazywana jako bohaterka, to nie dziwmy się, że jakiś Kaziu nie ma problemu z zaszlachtowaniem nożem lub tasakiem swojego kolegi z klasy.* ***Długotrwały proces niszczenia autorytetów, atakowania chrześcijaństwa, rugowania moralności, propagowania nihilizmu musi prowadzić do załamania norm społecznych i wszelkiego rodzaju wynaturzeń.***

dalej Wojciechowski

■ *Moi drodzy, nie możemy wykorzystywać zabawy do przedstawiania zła jako czegoś fajnego. Nie powinniśmy przebierać dzieci za oprawców ani za ofiary.* ***Nie uczmy ich też szantażu: „Cukierek albo psikus!". Oby kiedyś nie obróciło się to przeciwko wam, drodzy rodzice, gdy na starość usłyszycie: „Opieka za twój majątek", albo na ulicy od człowieka z wyciągniętym nożem: pieniądze albo psikus. W Kościele uczymy dzieci czegoś zupełnie odwrotnego. Uczymy je bezinteresownej dobroci, pomagania nawet wtedy, gdy nikt nie podziękuje, miłości do tych, którzy nas nie kochają, i szacunku wobec tych, którzy nas nie lubią.***

ks. Witold Ziętarski, Facebook, 10 października

■ *Wiemy, że wszelką dobrą reformę należy rozpoczynać od siebie.* ***Jest to nasze ważne i pierwszorzędne zadanie, ale nie wolno nam milczeć, gdy wybrane przez nas władze parlamentarne, rządowe czy samorządowe łamią podstawowe zasady życia społecznego, także zasady zdrowej demokracji, takie jak zasada personalizmu, zasada dobra wspólnego, zasada pomocniczości czy zasada solidarności. Jeśli nie mamy gdzie o tym mówić, to zawsze pozostaje nam możliwość modlitwy, której nikt nie jest w stanie nam zabronić. Modlitwa, pokuta, post, uczynki miłosierdzia naprawdę zmieniają świat. Jest nam obecnie w Polsce potrzebny zryw modlitewny. Jest potrzeba, abyśmy przystąpili do krucjaty różańcowej w intencji naszej ojczyzny, która w Polsce była już wielokrotnie podejmowana.***

bp Ignacy Dec, homilia, Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II, Toruń, 16 października

■ *Niedawno zdemoralizowana młodzież zorganizowała krwawy piątek, planując odbieranie życia uczniom i pracownikom szkół.* ***Wczoraj zdemoralizowani politycy zorganizowali krwawy wtorek, głosując za zabijaniem dzieci na etapie życia prenatalnego.***

ks. Janusz Chyła, X, 21 października

Wybrał **KLECHA**

Rachunek, którego nikt nie podliczył

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kto choć raz załatwiał pogrzeb w polskiej parafii, wie, że „co łaska" rzadko znaczy „ile pan chce". Na co dzień układam wieńce pogrzebowe (serio!), pochowałem też kilkoro bliskich, więc tę frazę znam aż za dobrze. Dlatego tytuł książki Pawła Czernicha i Dawida Serafina – „Co łaska. Ile politycy płacą za poparcie księży?" – kupił mnie od razu. Tyle że tym razem rachunek nie dotyczy rodzin w żałobie, tylko wójtów, burmistrzów, posłów i premierów.

Dwaj dziennikarze – jeden z Onetu, drugi z Interii – zabierają nas w podróż od gabinetów Kancelarii Premiera po salkę katechetyczną, która w wielu wsiach jest (bądź była) jedynym miejscem spotkań dla Kół Gospodyń Wiejskich.

Punkt wyjścia jest prosty. Konkordat z 1993 r. mówi, że państwo i Kościół są „niezależne i autonomiczne". Donald Tusk w 2022 r. grzmiał w Stargardzie, że po wygranych wyborach oddzieli Kościół od państwa i zlikwiduje Fundusz Kościelny. Wybory wygrał, a fundusz bije rekordy. Sprawą reformy i likwidacji Funduszu Kościelnego zajmuje się nawet powołany 11 stycznia 2024 r. Międzyresortowy Zespół ds. Funduszu Kościelnego na czele z „tęczowym" wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem. Efektów nie widać.

Najlepsze w książce są te historie z dołu – tam, gdzie nie sięgają kamery ani ministrowie. Proboszcz z Wielkiego Garca ogłasza z ambony, że parafia dostała 441 tys. zł z rządowego programu na złocenie ołtarza, dziękuje za to konkretnemu posłowi i dodaje, że „gdy PiS przejdzie", będzie też na dach; „jest na liście numer cztery". Kraków sprzedaje kurii działkę wartą 3,4 mln zł za 68 tys. Ks. Natanek wpłaca gminie Zawoja 98 400 zł, a tydzień później radni w niespełna minutę jednogłośnie przystępują do zmiany planu, który zakazywał budowy na jego ziemi. Fundacja związana z ks. Duszkiewiczem dostaje z podlaskich nadleśnictw ponad 733 tys. zł. A są jeszcze miasta i gminy zawierzone Maryi uchwałami rad – także u mnie, na Opolszczyźnie, w Oleśnie i Olszance.

Gdzie kończy się wdzięczność, a zaczyna transakcja? Ta książka nie daje jednej odpowiedzi, ale daje coś cenniejszego – mapę tych zależności. Powinien ją przeczytać każdy radny i każdy wójt w kraju.

Podtytuł obiecuje jednak rachunek, a dostajemy raczej paragony z różnych sklepów. Autorzy nigdzie nie sumują publicznych pieniędzy, które płyną do Kościoła. Fundusz Kościelny to w 2026 r. 272,6 mln zł, a ponad 283,5 mln zł zaplanowane na 2027 r. – i to wokół niego toczy się cała debata. Tymczasem samo nauczanie religii w szkołach kosztuje według danych ministerstwa około 1,5 mld zł rocznie, a do instytucji ojca Rydzyka za rządów PiS-u, tylko w latach 2015–2020, trafiło co najmniej 325 mln. W książce, która pyta „ile płacą", tych kwot nie ma. Rozdział o politycznych pielgrzymkach do Torunia i na Jasną Górę jest pełen cytatów, ale pusty, jeśli chodzi o liczby.

Druga luka jest dla mnie jeszcze ważniejsza: brak prawa.

Czytelnik nie dowie się, że bonifikata dla kościoła na cele sakralne jest w pełni legalna i wynika wprost z ustawy o gospodarce nieruchomościami, ani że kodeks wyborczy zakazuje agitacji w urzędach, sądach, jednostkach wojskowych i szkołach – ale nie w kościołach. A to zmienia wszystko.

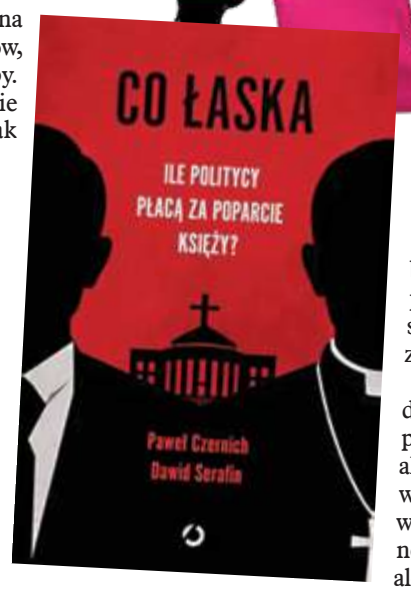

Najbardziej gorszące w tej książce nie jest to, co nielegalne. Bez wiedzy o tym, co legalne, wszystko wygląda jak seria wybryków pojedynczych proboszczów, a nie jak system, który sami sobie zbudowaliśmy.

Trzecia sprawa to świadoma decyzja autorów, by pominąć nadużycia seksualne w Kościele, bo są „zbyt ważne, by umieszczać je w kontekście gry politycznej". Rozumiem intencję, ale nie zgadzam się z nią. W rozdziale o ks. Henryku Jankowskim widzimy, że politycy bronili go także po pierwszych oskarżeniach z 2004 r., minister edukacji dał mu Medal Komisji Edukacji Narodowej, a prezydent przyjechał na poświęcenie jego bursztynowego ołtarza. To nie jest temat obok polityki. To jest sedno „sojuszu tronu z ołtarzem".

Są też drobne potknięcia, takie jak referendum unijne przesunięte na rok 2004 (odbyło się w 2003), Marko Rupnik „wydalony ze stanu duchownego" (wydalono go z zakonu, proces wciąż trwa) czy abp Jędraszewski opisany jako obecny metropolita krakowski (od roku jest nim kard. Grzegorz Ryś). Szkoda też, że w całej książce nie ma ani jednej rozmowy z przedstawicielem Episkopatu, a wielu rozmówców występuje anonimowo.

W posłowiu autorzy piszą: „Nie oceniamy, nie narzucamy gotowych rozwiązań". Szanuję tę ostrożność, ale materiał, który zebrali, jest odważniejszy od ich wniosków. Ja więc ocenię: to dobra, rzetelna, świetnie się czytająca książka, która pokazuje, że „rozdział państwa od Kościoła" w Polsce istnieje głównie w konkordacie i w kampanijnych przemówieniach. Warto ją przeczytać – a potem samemu doliczyć to, czego autorzy nie doliczyli.

Książka kończy się zdaniem, które kard. Angelo Sodano powiedział kiedyś Leszkowi Millerowi: „Kościół uczestniczy w pogrzebach, ale nie kładzie się ze zmarłymi do grobu".

Po lekturze mam wrażenie, że to raczej każde kolejne polskie rządy co kilka lat kładą się do grobu. A Kościół, jak zawsze, zostaje na stypie i z uśmiechem wyciąga dłonie: co łaska.

GRZEGORZ JAN JANICZAK

Paweł Czernich, Dawid Serafin, „Co łaska. Ile politycy płacą za poparcie księży?", Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2026

Rys. WIDGET

eprasa.pl 7ba55b843e

Kościelny sąd pracy

Biskup cię wylał? Odwołaj się do Boga.

Gdyby polscy pracodawcy mogli traktować podwładnych tak jak biskupi proboszczów, Państwowa Inspekcja Pracy musiałaby zatrudnić drugie tyle inspektorów. Tyle że Kościół nie jest zakładem pracy. Ksiądz nie dostaje od biskupa etatu, nie podpisuje z nim umowy o pracę, a plebania nie jest mieszkaniem służbowym w takim znaczeniu, w jakim rozumieją to świeckie przepisy. Wszystko jest znacznie bardziej uduchowione. Proboszcz ma urząd kościelny, biskup władzę nad jego obsadzaniem, a zasady zwalniania duchownych zapisano w kodeksie, którego przeciętny katolik nigdy nie widział. Dzięki temu człowiek, który przez trzy dekady decydował o ślubach, pogrzebach, chrztach i parafialnych finansach, pewnego dnia może dowiedzieć się, że gospodarzem już nie jest. I nawet owieczki, które przez 30 lat strzygł, nic na to nie poradzą.

Murem za Dzikiem

Tak właśnie zrobiło się w Grojcu pod Oświęcimiem. Ksiądz Józef Zborek przez 29 lat kierował parafią. Zdążył poznać kilka pokoleń mieszkańców, ochrzcić dzieci ludzi, którym wcześniej dawał śluby, i pochować niejednego parafianina pamiętającego jeszcze jego pierwsze kazania. Mieszkańcy byli z proboszcza zadowoleni. Biskupowi bielsko-żywieckiemu Romanowi Pindlowi to nie wystarczyło i proboszcza pogonił. W Kościele obowiązuje bowiem demokracja bardzo osobliwa. Wierni mogą rzucać pieniądze na tacę, finansować remonty, sprzątać świątynię i modlić się za swojego duszpasterza, ale o tym, kto będzie ich proboszczem, decyduje ktoś zupełnie inny.

O awanturze z zatrzymaniem biskupa w Grojcu pisano wszędzie. Potem okazało się, że w 2024 r. biskup wszczął przeciwko proboszczowi administracyjny proces karny dotyczący bezprawnego czerpania korzyści z ofiar mszalnych oraz zniszczenia księgi intencji mszalnych. Za pierwszy czyn duchowny został karnie pozbawiony urzędu proboszcza, za drugi dostał grzywnę wynoszącą 5000 zł. Bo instytucja, która uczy wiernych, że pieniądze szczęścia nie dają, stworzyła nader precyzyjne przepisy dotyczące tego, ile ksiądz może na mszach zarobić.

Proboszcz odwołał się do Dykasterii ds. Duchowieństwa, która podtrzymała rozstrzygnięcie. Następnie sprawa trafiła do Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, gdzie postępowanie zostało umorzone z przyczyn formalnych. W rezultacie Zborek musiał opuścić parafię.

W Pieszycach na Dolnym Śląsku ksiądz Edward Dzik był proboszczem parafii św. Antoniego przez 28 lat. Miał już 75 lat, a więc osiągnął wiek, w którym zgodnie z kodeksem prawa kanonicznego proboszcz jest proszony o złożenie rezygnacji z urzędu. Nie oznacza to jednak automatycznego przejścia na emeryturę, ponieważ biskup może rezygnację przyjąć albo odroczyć jej przyjęcie. Tyle że w grudniu 2025 r. biskup świdnicki Marek Mendyk zdecydował o jego odwołaniu. I nie chodziło wyłącznie o metrykę, ale o to, że do kościelnego delegata zajmującego się ochroną dzieci i młodzieży wpłynęły zgłoszenia dotyczące domniemanego molestowania seksualnego. Pochodziły od co najmniej czterech osób, wśród których wymieniano innego duchownego, byłego ministranta i dwie kolejne osoby. Sprawa trafiła do prokuratury w Świdnicy oraz do Stolicy Apostolskiej. Nie oznacza to, że księdzu udowodniono popełnienie przestępstwa. Sam duchowny stanowczo zaprzeczył oskarżeniom. Dla części parafian było to wystarczające. Zaczęli przekazywać do kurii świadectwa o zasługach proboszcza. W obronę księdza zaangażowali się nawet miejscowi kibice, którzy podczas pasterki skandowali „Murem za Dzikiem".

Składowisko niedomówień

W Krzeszowie biskup legnicki odsunął od obowiązków księdza Łukasza Langenfelda. Duchowny objął parafię w maju 2024 r. Został jednocześnie kustoszem sanktuarium i prezesem Fundacji „Europejska Perła Baroku" zarządzającej zabytkowym opactwem pocysterskim. W ten sposób ksiądz miał pod opieką nie tylko dusze wiernych, ale również całkiem ziemskie nieruchomości.

Jednym z obiektów należących do parafialnego majątku była stara cegielnia, której teren wykorzystywano do składowania odpadów. Jeszcze przed przybyciem księdza Langenfelda nieruchomość została wydzierżawiona przedsiębiorcy, a czynsz miał wynosić 6 tys. zł miesięcznie, czyli 72 tys. zł rocznie. Działalność wzbudziła jednak podejrzenia dotyczące naruszania przepisów o ochronie środowiska. Kuria legnicka twierdzi, że jeszcze przed objęciem parafii przez Langenfelda odmówiła zgody na wydzierżawienie terenu przedsiębiorcy zainteresowanemu przyjmowaniem ziemi i gruzu. 26 maja 2026 r. Langenfeld przesłał kolejną propozycję dzierżawy, na którą również nie otrzymał zgody. Ekonom diecezjalny zażądał wyjaśnień dotyczących przywożenia materiałów na teren starej cegielni. Proboszcz odpowiedział, że po objęciu urzędu polecił zakończyć prowadzoną od wielu lat komercyjną działalność, ale przedsiębiorca nadal może nieodpłatnie wywozić tam określone odpady.

Pracownicy kurii przeprowadzili kontrolę i stwierdzili obecność świeżych odpadów remontowo-budowlanych. W sierpniu przedsiębiorca przesłał kolejną propozycję porozumienia dotyczącą przyjmowania gruzu. Ekonom ponownie odmówił zgody. Przeprowadzono drugą kontrolę, podczas której znaleziono również opakowania po farbach i lakierach. Dwa dni później kuria poleciła proboszczowi zawiadomić odpowiednie instytucje, powstrzymać dalsze składowanie odpadów i doprowadzić do usunięcia śmieci.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Langenfeld wysłał pisma do prokuratury, inspektoratu ochrony środowiska i gminy. Kuria uznała jednak, że nie rozwiązuje to problemu jego wcześniejszego postępowania. Biskup wezwał duchownego na spotkanie, które trwało od godz. 10.00 do 10.20. W ciągu tych 20 minut odczytano księdzu upomnienie zawierające przyczyny utraty zaufania. Trzy dni potem został zawieszony w obowiązkach proboszcza.

Odsunięcie Langenfelda nie było tym samym co ostateczne pozbawienie go urzędu. Formalnie pozostawał proboszczem, ale nie mógł wykonywać obowiązków, które przejął administrator. A ponieważ statut Fundacji „Europejska Perła Baroku" wiązał funkcję prezesa z probostwem, konflikt dotyczył również zarządzania majątkiem sanktuarium. Duchowny, który jeszcze niedawno był gospodarzem zabytkowego opactwa, musiał patrzeć, jak jego obowiązki wykonuje ktoś inny.

Omylność Jędraszewskiego

W Siekierczynie konflikt między biskupem a duchownym przybrał jeszcze inną postać. Hierarcha zdecydował o przeniesieniu księdza, ale ten nie chciał wyprowadzić się z plebanii. Sam problem jest charakterystyczny dla kościelnego systemu zatrudniania. Proboszcz nie tylko pracuje w parafii, ale najczęściej również w niej mieszka. Gdy więc przełożony postanawia go przenieść, duchowny traci nie tylko dotychczasowe obowiązki, lecz musi także zmienić chałupę.

Najlepszym dowodem, że biskupia władza nie jest całkowicie nieograniczona, jest historia księdza Krzysztofa Wilka z krakowskiego Nowego Prokocimia. Duchowny był wcześniej wicedyrektorem Caritas, a przez 14 lat kierował zespołem katolickich szkół. W 2021 r. został proboszczem. Był sprawnym organizatorem, przeprowadził reformę szkół i doprowadził do ich rozbudowy. Cieszył się dobrą opinią rodziców uczniów i parafian.

Nie przeszkodziło to arcybiskupowi Markowi Jędraszewskiemu w podjęciu decyzji o jego odwołaniu. W grudniu 2023 r. ksiądz Wilk otrzymał pismo nakazujące niezwłoczne opuszczenie domu parafialnego oraz przekazanie majątku i spraw parafii wskazanej osobie.

Ksiądz Wilk wykonał polecenie. Opuścił parafię, przekazał obowiązki, ale nie zamierzał uznać, że skoro arcybiskup coś postanowił, to musi to być słuszne. Skorzystał z kościelnej ścieżki odwoławczej. I po niemal trzech latach okazało się, że warto było. W październiku watykańska Dykasteria ds. Duchowieństwa wycofała wcześniejszy dekret dotyczący odwołania księdza Wilka, uwzględniając argumenty przedstawione w postępowaniu przed Najwyższym Trybunałem Sygnatury Apostolskiej. Trybunał zatwierdził rozstrzygnięcie. Po trzech niemal latach parafianom ogłoszono, że duchowny wróci na stanowisko.

Jędraszewski odwołał więc proboszcza, ale Watykan doprowadził do cofnięcia rozstrzygnięcia. Okazało się, że biskup nie do końca jest w swojej diecezji małym papieżem, którego decyzje są niepodważalne.

Historia księdza Wilka pokazuje, że kościelna ścieżka odwoławcza nie jest wyłącznie martwym przepisem. Duchowny podporządkował się decyzji Jędraszewskiego, ale konsekwentnie ją kwestionował. Ostatecznie uzyskał rozstrzygnięcie pozwalające mu wrócić do parafii. Ksiądz Zborek również skorzystał z drogi watykańskiej, ale nie osiągnął podobnego rezultatu. Nie ma więc automatycznej zasady, że kto odwoła się do Rzymu, ten wygra. A najmniej ważni dla Kościoła są, jak widać, popierający księży parafianie.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

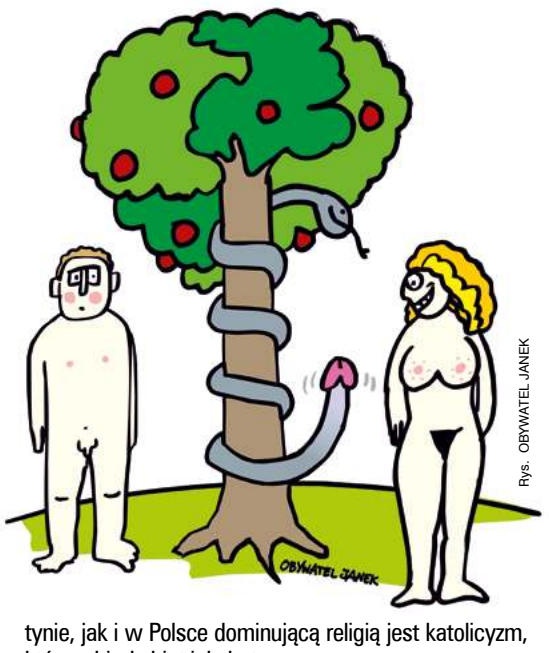

Rys. OBYWATEL JANEK

✚ Olsztyński radny powiatowy PiS-u Krzysztof Kamiński zaskarżył do sądu decyzję prokuratury o umorzeniu śledztwa w sprawie obrazy uczuć religijnych przez miejscowy Teatr im. Stefana Jaracza. Przypomnijmy: teatr reklamował spektakl plakatem nawiązującym do wizerunku Matki Bożej z Dzieciątkiem. Wystawiany przed rokiem spektakl „Wszyscy jesteśmy Belén" oparty był na argentyńskim reportażu Any Eleny Correi o kobiecie skazanej na więzienie za samoistne poronienie. Podstawą do umorzenia śledztwa była opinia biegłego z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Wskazał on, że „plakat zawiera elementy nawiązujące do symboliki religijnej, nie zawierając jednocześnie treści jednoznacznie poniżających lub obelżywych dla uczuć religijnych osób, niezależnie od ich stopnia wykształcenia, przygotowania i wyrobienia w odbiorze sztuki". „Rozumiem, że plakat miał zachęcić widzów do przyjścia na spektakl. Uważam jednak, że można to było zrobić w inny sposób, nie sięgając po symbole religijne chrześcijan. Jakoś nikt nie wykorzystuje do takich celów Gwiazdy Dawida czy wizerunku Mahometa" – argumentował ból czterech liter radny Kamiński. Pewnie dlatego, że zarówno w Argentynie, jak i w Polsce dominującą religią jest katolicyzm, który robi z kobiet inkubatory.

✚ W siedzibie sekretariatu Konferencji Episkopatu Polski odbyła się konferencja prasowa, podczas której znany szef kuchni i restaurator Wojciech Modest Amaro wraz z małżonką podzielili się swoim zaangażowaniem w działalność misyjną. Pan Wojciech podkreślił, że „Jezus nie wymyślił Kościoła tak, żebyśmy się od czegokolwiek dystansowali", dlatego też zamiast pomagać w śmierdzących biedą zapomnianych zakątkach świata, rodzina Amaro otworzyła swój dom dla osób, które chcą przychodzić na spotkania z bożego natchnienia. „Ktoś mógł przyjść do nas choćby dlatego, że chciał zobaczyć, jak mieszkają państwo Amaro. I został już w Kościele" – zapewnił pan domu i dodał, że ma na to dowody i świadectwa. W życiu małżonków szczególne miejsce zajmują również spotkania z kapłanami. Nie wiemy, z jakich przypraw korzysta pan Amaro, ale my byśmy ich nie próbowali.

✚ Rafał C., były proboszcz parafii św. Anny w Chałupkach (woj. śląskie), który rozpowiadał, że biskup opolski Andrzej Czaja żądał od niego usług seksualnych w zamian za zgodę na wyjazd do Włoch, stanie przed sądem. Rafał C. zwrócił się do biskupa Czai z prośbą o przeniesienie do parafii we Włoszech w 2018 r. Biskup poinformował wówczas Włochów, że choć przez kilka lat duchowny cieszył się dobrą opinią, pojawiły się wobec niego podejrzenia o niegospodarność i przywłaszczenie 6 tys. zł z kasy parafialnej. Ostatecznie włoska parafia nie wyraziła zgody na przyjazd klechy. Rok później Rafał C. został suspendowany i miał zamieszkać w jednym z domów diecezjalnych, jednak olał te wytyczne. Podróżował po zakonach w Polsce i Włoszech, gdzie odprawiał msze i opowiadał lokalnym duchownym, że był molestowany przez biskupa Czaję. Kuria opolska i biskup zaprzeczyli wszystkim zarzutom. Sprawa trafiła do Prokuratury Okręgowej w Gliwicach. W toku śledztwa okazało się, że księżulo spreparował rzekome dowody przy udziale Rafała S., nadzwyczajnego szafarza komunii świętej, z którym utrzymywał relacje intymne. Według śledczych panowie wysyłali do różnych osób, w tym księży, wiadomości z niemoralnymi propozycjami, mającymi sugerować rozwiązłość bepe Czai. Akt oskarżenia przeciwko mężczyznom trafił do sądu w 2024 r. Najpoważniejszy zarzut dotyczy próby przekupstwa biegłego sądowego, za co grozi 10 lat pierdla. Sprawa, którą prowadzi Sąd Rejonowy w Żorach, obecnie jest na etapie postępowania dowodowego.

✚ Sanktuarium w Gietrzwałdzie zmaga się z plagą aktów wandalizmu. Nieznani sprawcy zniszczyli m.in. ołtarz polowy, na którym pojawiły się napisy „Z Maryją tu randkuję", „Dzieło ministranta" czy „Boże działaj". Parafia zgłosiła sprawę policji i zwróciła się do wiernych z apelem o czujność oraz poszanowanie miejsca modlitwy. Gdyby Komitet Obrony Gietrzwałdu oraz środowiska narodowo-katolickie wspierane m.in. przez Grzegorza Brauna nie przepędziły z Gietrzwałdu inwestycji pod postacią budowy centrum logistycznego Lidla, być może młodzież miałaby ciekawsze zajęcia. „A co człowiek sieje, to i żąć będzie" – jak mówi Pismo.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 7ba55b843e

Antysemici, ksenofobi, egzorcyści

„NIE” rozmawia z prof. Stanisławem Obirkiem i Arturem Nowakiem, autorami książek „Skandaliści w sutannach” i „Skandale Watykanu”.

– Rozmawiamy niedługo po 48. rocznicy wyboru Karola Wojtyły na papieża. Co dziś panowie – specjaliści od Kościoła – mogą o nim powiedzieć z całą pewnością?

Artur Nowak: – W 2005 r. prof. Obirek udzielił wywiadu belgijskiemu dziennikowi „Le Soir”, w którym powiedział, że Wojtyła zarządzał Kościołem jak wiejski proboszcz. Spotkały go wówczas – jako jezuitę – poważne konsekwencje: został odsunięty od zajęć ze studentami i zakneblowany medialnie. Dziś, 21 lat po śmierci Jana Pawła II, powiedzieć o nim, że zarządzał Kościołem jak wiejski proboszcz to obraza dla wiejskich proboszczów. Myślę, że Wojtyła był przede wszystkim niewolnikiem własnej biografii. Z Profesorem często odwołujemy się do Thomasa Doyle’a, amerykańskiego dominikanina, rzecznika ofiar księży. Doyle mówił nam, że papież został sformatowany przez trzy opresyjne, autorytarne systemy: faszyzm, komunizm i katolicyzm. On po prostu nie rozumiał demokracji, bał się wolnej myśli i postępu. Nie umiał lub bał się być inny, choć apelował do wiernych: nie lękajcie się!

Prof. Stanisław Obirek: – Skoro rozmawiamy z redaktorem tygodnika „NIE”, to warto przypomnieć, że Jerzy Urban był jednym z nielicznych naczelnych, który miał odwagę krytykować Jana Pawła II za jego życia, za co zresztą miał proces. Artur wspomniał o mojej przygodzie z recepcją – bardzo wyważonego zresztą – wywiadu z „Le Soir”, który swoją drogą przeprowadził Polak, red. Jerzy Kuczkiewicz. Byłem po prostu wyrazicielem myśli dość powszechnej na świecie, ale w Polsce bluźnierczej. Pomijam już swoje osobiste kłopoty po tym wywiadzie: wiadomo, Kościół-korporacja rządzi się swoimi prawami. Dla mnie najbardziej bulwersujące jest co innego. Polacy nie są przecież namiętnymi czytelnikami „Le Soir”. Ale świeżo wówczas upieczony europoseł Bogusław Sonik z Krakowa wraz żoną przetłumaczyli tę rozmowę na polski, podkręcając niektóre frazy, i rozesłali do wszystkich kurii biskupich w Polsce jako świadectwo skandalu, którego dopuścił się polski zakonnik. Dziś postać Jana Pawła II i jego krytyka niewiele ludzi obchodzi, zwłaszcza młodych. To jest znak, jak Kościół i polskie społeczeństwo zmieniły się od 2005 r.

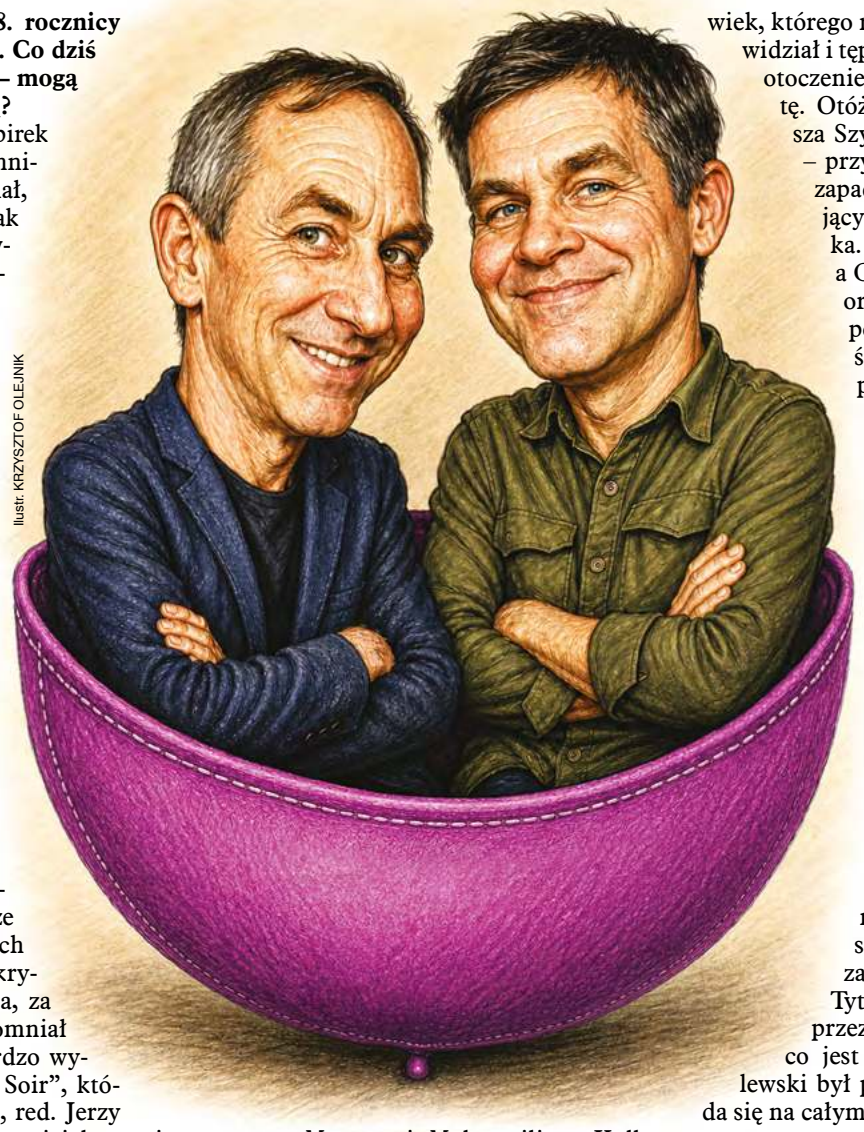

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Czy to prawda, że idolem Jana Pawła II był autor „Mein Kampf”?

SO: – To prowokacyjne pytanie i uproszczona pod kontrowersję teza, ale rozumiem, że nawiązuje pan do postaci Włodzimierza Ledóchowskiego – arystokraty, jezuity i antysemity. W naszej książce „Antysemickie chrześcijaństwo” przypomnieliśmy wstrząsające tezy Edmonda Parisa, który w „Histoire secrète des Jésuites” napisał, że Ledóchowski miał znaczący wpływ na powstanie „Mein Kampf”, a Hitler jedynie tę książkę podpisał. Naszym zdaniem to teza zbyt śmiała, choć dobrze udokumentowana. Wszelako antysemityzm był ważnym elementem światopoglądu Ledóchowskiego. Wojtyła nagabywał jezuitów – których swoją drogą szczerze nie znosił – żeby go przygotować do beatyfikacji, podobnie jak Piotra Skargę. Jezuici mają przecież cały zastęp członków w aureoli, a „fabryka świętych” za czasów JP2 działała pełną parą.

AN: – Jan Paweł II był niespójny w deklaracjach i czynach. Wyniósł cały panteon antysemitów i ksenofobów na ołtarze, ale za bardzo nie miał w czym wybierać, bo taki jest materiał ludzki w Kościele praktycznie od jego zarania. Weźmy choćby Piusa IX beatyfikowanego w 2000 r. Ten papież przyczynił się walnie do kompromitującej Watykan sprawy porwania żydowskim rodzicom dziecka, Edgara Mortary, bo chłopiec był rzekomo potajemnie ochrzczony – tę historię opowiada film „Porwany” w reżyserii Marca Bellocchia. Inny przykład to założyciel sercanów (z tego zgromadzenia wywodzi się słynny ksiądz „Salceson”) Leon Dehon, który pisał, że „Żydzi są złaknieni pieniędzy. Kiedy im się na to pozwala, wykazują niewiarygodny talent do spekulacji”. Jak widać, „duchowi synowie” Dehona są w tej materii skuteczniejsi od starszych braci w wierze. Założyciel sercanów ostatecznie nie został beatyfikowany, bo Wojtyła zmarł, a Ratzinger nakazał od nowa przebadać jego sprawę. Mamy też Maksymiliana Kolbego, Stefana Wyszyńskiego czy Augusta Hlonda, którzy w swoich pismach nie stronili od antysemityzmu. Ledóchowski nie jest wyjątkiem w tej galerii postaci. Jan Paweł II wprawdzie odwiedził synagogę, ale na ołtarze wynosił takich, którzy chętnie oglądaliby krajobraz bez bożnic.

– W ostatnich dwóch książkach prezentujecie panowie postacie z historii i współczesności Kościoła. Czy da się znaleźć wspólny mianownik, który ufundował ich karierę?

SO: – Rzeczywiście chodziło o uchwycenie struktury tych błyskotliwych karier. Jeśli pominiemy wartość anegdotyczną kreślonych przez nas portretów, wyłania się przejrzysty mechanizm: najważniejsze są lojalność, posłuszeństwo i absolutne wyciszenie krytycznego myślenia. W poprzedniej naszej książce wzorcowym przykładem był Marek Jędraszewski – człowiek, który z dobrze zapowiadającego się intelektualisty stał się trybikiem w machinie kościelnej. Trybikiem, który łamał kręgosłupy innym.

AN: – Przypominam sobie swój wywiad z Profesorem „Jak Jan Paweł II wychował nam kler”, przeprowadzony przy okazji premiery filmu Smarzowskiego. Doszliśmy tam do wniosku, że Jan Paweł II był doskonałym nauczycielem: z jednej strony uśmiechnięty, nobliwy starszy pan pięknie mówiący o wzniosłych rzeczach, a z drugiej strony bezwzględny egzekutor posłuszeństwa i ortodoksji, wyręczający się czasem tak sprawnymi pomocnikami jak Dziwisz czy Angelo Sodano. Kariery w Kościele nie zrobią duszpasterze, którzy lgną do ludzi, a ludzie do nich. Potrzebni są strażnicy doktryny i windykatorzy posłuszeństwa. Przy czym ich osobiste przymioty moralne są absolutnie obojętne, mogą być drapieżcami seksualnymi, złodziejami czy kimkolwiek. Weźmy choćby takich kardynałów jak McCarrick czy Groër, a z polskich hierarchów choćby opisywanego przez nas arcybiskupa Wesołowskiego, wieloletniego pracownika dyplomacji watykańskiej i pedofila.

– W „Skandalach Watykanu” umieszczacie postacie mniej znane, acz wpływowe. Weźmy choćby kard. Zenona Grocholewskiego, który trząsł kościelną oświatą i systemem prawnym.

AN: – Uważam że Grocholewski zapisał się w historii Kościoła przede wszystkim jako człowiek, którego religią była homofobia. Wszędzie widział i tępił gejów – poza swoim rzymskim otoczeniem. Mam à propos niego anegdotę. Otóż jestem pełnomocnikiem Janusza Szymika, ofiary ks. Jana Wodniaka – przyjaciela Dziwisza. W tej sprawie zapadł wyrok Watykanu ustanawiający odpowiedzialność Wodniaka. Wyrok ten został złagodzony, a Grocholewski zasiadał w składzie orzekającym, razem z liberalnym ponoć abp. Charlesem Scicluną, ścigającym pedofilów w imieniu papieża.

SO: – Anegdota Artura świetnie wprowadza nas w świat kard. Grocholewskiego. W latach, gdy był on rzymskim „ministrem edukacji i szkolnictwa wyższego” oraz odpowiedzialnym za kościelne akty prawne, dość często bywałem w Stanach Zjednoczonych. Pamiętam dosłowne zderzenie mentalności, a wręcz cywilizacji, między katolickimi uniwersytetami amerykańskimi i Watykanem. O ile polskie wydziały teologiczne były całkowicie podporządkowane centrali i próżno było w nich szukać ożywczej myśli, o tyle zachodnie uczelnie były miejscem swobodnej debaty. Polskie uczelnie katolickie to szkółki zawodowe działaczy kościelnych. Tytuły naukowe zdobywa się poprzez podporządkowanie doktrynie, co jest zaprzeczeniem nauki. Grocholewski był przekonany, że tak jak w Polsce, da się na całym świecie.

– Opisujecie także Marko Rupnika – jezuitę, artystę i skandalistę seksualnego. Ponoć artystom wolno więcej. Czy księżom-artystom wolno dwa razy więcej?

AN: – Rupnik był silnie osadzony w Watykanie – wykonanie mozaik do kaplicy Redemptoris Mater zlecił mu Jan Paweł II. W 2020 r. był ekskomunikowany za to, że rozgrzeszył kobietę, z którą współżył. Dwa lata później tę ekskomunikę zdjęto. Głosił rekolekcje dla papieża Franciszka, także jezuity. Wydalono go z zakonu dopiero w 2023 r. Rupnik sakralizował swoje przestępstwa: trójkąty seksualne uważał za odwzorowanie Świętej Trójcy. To perwersja mocna nawet jak na Watykan, który widział wiele.

SO: – Na użytek naszej rozmowy zaznaczę, że znałem Rupnika osobiście – może nie była to bliska znajomość, ale podczas swoich regularnych pobytów w Rzymie od lat 80. miałem okazję go spotykać. Niewątpliwie jest to człowiek niezwykle utalentowany, co prawdopodobnie przez lata nie pozwalało dostrzec jego mrocznej strony. Nie chcę go usprawiedliwiać, zwłaszcza jako były jezuita. Jednakże takie przypadki znamy też z polskiego kontekstu, nie tylko kościelnego, ale także np. uniwersyteckiego. To jest pokłosie kościelnego systemu bronienia swoich do ostatniego guzika sutanny. Jestem przekonany że katolicyzm w takiej formie, w jakiej teraz funkcjonuje: feudalnej, monarchicznej – jest absolutnie niekompatybilny z demokracją. To instytucja, która generuje patologie i je chroni, paraliżuje wszelkie próby oczyszczenia społeczeństw z takich ludzi jak Rupnik.

– Znajdziemy w „Skandalach Watykanu” portret najsłynniejszego bodaj egzorcysty, nieżyjącego już Gabriele’a Amortha. Coraz częściej słyszy się o nomen omen mrocznej stronie egzorcyzmów, które niszczą ludziom życie.

AN: – Polski wymiar sprawiedliwości na razie nie bardzo wie, jak to ugryźć. W Niemczech już dawno zapadły wyroki skazujące egzorcystów i ich pomocników, a same rytuały są zakazane także przez tamtejszy episkopat. Obecną popularność egzorcystów wiążę z tym, że ludzie poszukują nowych form duchowości, także bardzo emocjonalnych. Egzorcyzmy znakomicie tę potrzebę zaspokajają. Egzorcyści są również popularni, bo obiecują natychmiastowe efekty bez wkładu pracy nad sobą.

Gabriele Amorth był naprawdę odjechany i ciężko traktować go poważnie. Gdyby jego deklaracje brać za dobrą monetę, to musiałby żyć kilkaset lat, tyle złych duchów wypędził. To szło w setki tysięcy.

SO: – Przy okazji rozmowy o Grocholewskim powiedzieliśmy, że seminaria i wydziały teologiczne w czasach JP2 stały się „zawodówkami” dla działaczy katolickich. Popularność egzorcyzmów to właśnie pokłosie braku edukacji teologicznej. Wynika z nadwiślańskiej wizji katolicyzmu – magicznego, bezrefleksyjnego.

Dziś przy pomocy aparatu naukowego umiemy przecież powiedzieć, czym tak naprawdę są tzw. opętania. Także w samym Kościele występuje refleksja nad tym zjawiskiem, ale analfabetyzm teologiczno-humanistyczny polskiego kleru wypiera tę refleksję.

– Kolejna opisywana przez panów postać to założyciel Opus Dei Josemaría Escrivá de Balaguer. Dziś coraz częściej słyszymy o tej organizacji w mediach np. w kontekście Marcina Romanowskiego. Na ile legenda o Opus Dei jako „katolickiej masonerii” jest prawdziwa?

AN: – Nie wiem, ile jest w tym prawdy. Wiem natomiast, choćby z książki Garetha Gore’a „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna”, jak ta organizacja naprawdę funkcjonuje. Gore zrobił porządny research, jego publikacja opiera się na rozmowach z wieloma byłymi członkami Opus Dei oraz analizie tysięcy stron dokumentów. Wyłania się z tego obraz organizacji, która ma ogromne wpływy w świecie polityki, także amerykańskiej, kojarzonej z protestantyzmem. Jeszcze 20 lat temu nie moglibyśmy się spodziewać, że polski minister lub mainstreamowy publicysta powie coś o wpływach Opus Dei, a teraz takie rzeczy się dzieją. Odrabiamy lekcję, którą mają już za sobą choćby Hiszpanie i Włosi, którzy specjalnymi komisjami badali te wpływy.

SO: – Istnieje sporo materiałów pozwalających na precyzyjny opis Opus Dei. Powstało mnóstwo publikacji zarówno krytycznych, jak i apologetycznych. W wielkim skrócie można powiedzieć, że jest to stowarzyszenie, które wyrosło z fascynacji fundamentalistycznym katolicyzmem i faszystowską prawicą reprezentowaną w Hiszpanii przez gen. Franco. Związki tego przywódcy z założycielem Opus Dei są poza wszelką wątpliwością, byli sobie bardzo bliscy. Te związki widać w duchowości i działalności opusdeistów. To może być klamra z Ledóchowskim. Escriva miał za złe jezuitom ich otwarcie na świat i współczesność, stworzył więc organizację, która miała zastąpić ten zakon, a Jan Paweł II mu pobłogosławił.

– Zaczęliśmy od Jana Pawła II, zakończmy na aktualnym papieżu. Po sukcesie wizyty Leona XIV we Francji kościelni publicyści wieszczą odrodzenie katolicyzmu. Prawda to?

SO: – To temat na oddzielną długą rozmowę, bo wydaje mi się, że rzeczywiście obserwujemy duże zmiany w religijności. To, że w Paryżu na spotkanie z papieżem przyszło 700 tys. ludzi, było zaskoczeniem chyba dla niego samego, a także dla Francuzów i tamtejszych biskupów. Trochę mi to przypomina pierwsze lata pontyfikatu Jana Pawła II, który również gromadził miliony na stadionach. Wówczas widziano go jako tego, kto pokona komunistów. Teraz zaś Leon XIV jawi się jako ten, kto stanie w szranki z Trumpem. Więc tak bym ten fenomen rozpatrywał: jako inny rodzaj upolitycznionego katolicyzmu, alternatywa dla trumpizmu.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl 7ba55b843e

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Futbol na lewo

Stadiony spod znaku czerwonej flagi

Najważniejsze pytanie dotyczące współczesnej piłki nożnej, które lewicowy intelektualista rozważa przy sojowej latte i bezmięsnym burgerze, brzmi oczywiście: czy Karol Marks chodziłby dzisiaj na mecze? Argumentów za jest sporo. Marks był Niemcem i mieszkał w Anglii, a w obu krajach futbol traktuje się niemal jak religię. Być może zostałby nawet trenerem. Po sukcesach Jürgena Kloppa w Liverpoolu niemiecka myśl szkoleniowa podbiła Anglię skuteczniej niż Luftwaffe: do tego stopnia, że reprezentację ojczyzny futbolu prowadzi dziś Niemiec.

Piłka ma robotnicze korzenie. Najstarszy istniejący klub świata Sheffield FC powstał w 1857 r. w angielskim mieście hutniczym. Założyli go wprawdzie przedstawiciele lokalnej elity grającej wcześniej w krykieta, a nie związkowcy z huty, ale futbol szybko stał się rozrywką klasy robotniczej. Wielkie angielskie kluby wyrastały wokół fabryk, kopalń i kolejowych warsztatów. Robotników nie było stać na tenis czy polo, ale mogli zebrać 11 kolegów, kupić piłkę i skopać przeciwników. Czasami zgodnie z przepisami.

Jest jednak poważny argument przeciw. Nasz biedny kibic Karol mógłby zostać przepędzony z trybun jako lewak. Bo choć piłka nożna wyrosła z robotniczej kultury, to dzisiaj w Europie oznacza przede wszystkim gigantyczne pieniądze, arabskich szejków, amerykańskie fundusze inwestycyjne i piłkarzy milionerów, a na wielu trybunach dominuje prawica, często ta radykalna, nacjonalistyczna, rasistowska.

Szczególnie wyraźnie widać to w Polsce, gdzie w zorganizowanym ruchu ultras dominują symbole narodowe, antykomunizm, nacjonalizm. Znalezienie w polskiej ekstraklasie dużej, otwarcie lewicowej grupy ultras przypomina poszukiwanie weganina na Mistrzostwach Polski w Jedzeniu Golonki na Czas w Pilźnie (to nie żart, wyłaniamy w Polsce mistrza w szybkim jedzeniu golonki).

Nawet Widzew Łódź, który szczyci się skrótem RTS – Robotnicze Towarzystwo Sportowe – i jako takie został powołany przez działaczy związanych z Polską Partią Socjalistyczną, ma dziś trybuny zdominowane przez prawicowe grupy kibicowskie. Robotnicze korzenie pozostały w nazwie, czerwone barwy nie oznaczają czerwonych sztandarów. Ale są w Europie stadiony, na których Marks nie musiałby ukrywać się pod szalikiem.

Hamburg – od czerwonych latarni do czerwonych sztandarów

Najbardziej znaną twierdzą lewicowego futbolu jest niemiecki FC St. Pauli z Hamburga. Klub pochodzi z dzielnicy, która swą nazwę bierze od św. Pawła Apostoła i która od dawna słynie z czerwonego koloru. Sercem tej części miasta była ulica Reeperbahn, centrum hamburskiego seksbiznesu, klubów nocnych, domów publicznych i wszelkich rozrywek, z których korzystali marynarze zawijający do portu. Dzielnica słynęła z prostytutek, alfonsów, awantur i szemranych interesów. Dopiero później czerwony stał się również jej kolorem politycznym.

W latach 80. St. Pauli przeobraziło się w centrum kultury alternatywnej. W opuszczonych budynkach zamieszkali squatterzy, anarchiści i punkowcy.

Przybysze ci znaleźli sobie również klub piłkarski. Na stadionie Millerntor zaczęły pojawiać się pirackie flagi z trupią czaszką, symbolem buntu przeciwko bogatym i możnym. Tak narodziła się legenda St. Pauli – klubu anarchistów, którzy nie zamierzali podporządkować się stadionowej prawicy.

W 1991 r. FC St. Pauli jako pierwszy niemiecki klub zawodowy wprowadziło do stadionowego regulaminu wyraźny zakaz rasistowskich i ksenofobicznych haseł. W czasach, gdy na wielu europejskich trybunach skini czuli się jak u siebie, była to rewolucja.

Do dzisiaj Millerntor-Stadion jest miejscem, gdzie antyfaszyzm, walka o prawa mniejszości należą do klubowej tożsamości. Klubowy symbol stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych futbolowych symboli świata, a na antykapitalizmie można zarabiać. Czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami zaczęła pojawiać się na koszulkach, bluzach, czapkach, torbach i niezliczonych gadżetach. Kupowali je ludzie, którzy nie mieli pojęcia, gdzie leży St. Pauli, a tym bardziej w której lidze gra drużyna. Znak wygląda buntowniczo i oznaczał przynależność do alternatywnej subkultury. Rewolucja okazała się świetnym towarem. A skoro towar się sprzedawał, natychmiast pojawił się problem, do kogo należą prawa do jego sprzedaży.

W 2004 r., ratując klub przed bankructwem, władze FC St. Pauli sprzedały 90 proc. praw do marketingu klubowymi symbolami prywatnej firmie Upsolut. Po kilku latach zorientowano się, że zrobili fatalny interes, i rozpoczęła się długa batalia o odzyskanie praw do sprzedaży gadżetów z piracką czaszką. Ostatecznie w 2015 r. St. Pauli zapłaciło 1,3 mln euro, żeby je odzyskać.

Ale St. Pauli nie jest tylko producentem modnych koszulek z politycznym przesłaniem. Klub naprawdę próbuje łączyć własne wartości z regułami zawodowego futbolu. W 2024 r. uruchomił spółdzielnię, w której kibice mogli kupować udziały po 850 euro. Zebrano ponad 29 mln euro, a w 2025 r. spółdzielnia przejęła większościowy pakiet udziałów w spółce zarządzającej stadionem. Każdy członek ma jeden głos, niezależnie od liczby zakupionych udziałów. Oto uspołecznienie środków produkcji w praktyce. Za jedyne 850 euro.

St. Pauli jest gotowe zrezygnować z części przychodów w imię zasad. W 2023 r. nie przedłużyło umowy sponsorskiej z firmą bukmacherską Bwin, wartej według doniesień około 300 tys. euro rocznie. Klub nie chciał promować uzależniającego hazardu.

Tymczasem w Polsce firmy bukmacherskie należą do najważniejszych sponsorów piłki, drugi poziom rozgrywek nosi nazwę jednej z nich. Logotypy firm hazardowych zdobią koszulki, bandy reklamowe i programy sportowe. Bukmacherzy sponsorują kluby, rozgrywki i współpracują z dziennikarzami oraz komentatorami sportowymi. Polski kibic może nie wiedzieć, kto gra na lewej obronie jego drużyny, ale doskonale wie, gdzie obstawić, żeby przegrać.

Współzarządzane przez kibiców FC St. Pauli od lat chroni również nazwę swojego stadionu przed komercyjnym sponsoringiem. W Niemczech włączanie kibiców do decydowania o ich klubie nie dotyczy tylko lewicowych klubów. Obowiązuje zasada 50 plus jeden, gwarantująca prawo większości głosów klubowym stowarzyszeniom członkowskim, a nie zewnętrznym inwestorom. Istnieją wyjątki, ale zasadnicza idea jest prosta: klub piłkarski nie powinien być wyłącznie zabawką miliardera.

Livorno – Che Guevara na prawym skrzydle

Jeśli St. Pauli reprezentuje nowoczesną, progresywną lewicę, to włoskie Livorno jest futbolową podróżą do czasów, gdy lewicowiec miał legitymację partyjną i znał tekst „Międzynarodówki".

Livorno to portowe, robotnicze miasto w Toskanii. Właśnie tutaj w styczniu 1921 r., po rozłamie we Włoskiej Partii Socjalistycznej, powstała Komunistyczna Partia Włoch, z której wyrosła późniejsza potężna Włoska Partia Komunistyczna. Komunizm nie był tam intelektualną modą znudzonej młodzieży. Był częścią politycznej i społecznej historii miasta. Ta tradycja przeniosła się również na stadion miejscowego klubu. Na trybunach Livorno pojawiają się czerwone sztandary, portrety Che Guevary i komunistyczne symbole. Kibice śpiewają „Bella ciao" i „Bandiera rossa", a ich polityczne sympatie nie pozostawiają wątpliwości.

W innych klubach kibice domagają się zwolnienia trenera za złe wyniki. W Livorno można sobie wyobrazić, że zarzuciliby mu również rewizjonizm, oportunizm i zdradę interesów proletariatu. Tym bardziej że wyniki sportowe nie zawsze przystają do rewolucyjnych ambicji i wyglądają trochę jak włoski przemysł – najlepsze lata mają już za sobą. Livorno ostatni mecz w Serie A zagrało w 2014 r., potem kibice przeżywali finansową katastrofę i odbudowę klubu w niższych ligach. Obecnie występuje na trzecim poziomie, czyli w Serie C.

Nawet komunistyczni kibice muszą pogodzić się z bezwzględnymi prawami futbolowego kapitalizmu. Bez pieniędzy nie kupisz dobrego napastnika.

Miasto też nie jest już dawnym politycznym bastionem lewicy. W 2014 r. lewica po raz pierwszy od powstania Republiki Włoskiej straciła władzę w Livorno, przegrywając z kandydatem populistycznego Ruchu Pięciu Gwiazd.

Madryt – walka klas na boisku

Jeszcze inny przykład stanowi Rayo Vallecano, klub z Vallecas – robotniczej dzielnicy Madrytu. Od dawna uchodzi ona za dzielnicę lewicową, z silnymi tradycjami ruchów społecznych. Miejscowi kibice, zwłaszcza grupa Bukaneros, otwarcie manifestują antyfaszyzm, antyrasizm i solidarność z ludźmi pracy. I nie ograniczają się do wymachiwania flagami.

W 2014 r. całą Hiszpanię poruszyła historia 85-letniej Carmen Martínez Ayuso eksmitowanej z mieszkania za niespłacenie pożyczki zaciągniętej przez jej syna i zabezpieczonej jej domem. Drużyna Rayo, trener Paco Jémez i władze klubu zaangażowali się w pomoc kobiecie,

Ilustr. PAWEŁ FERENC

deklarując wsparcie w znalezieniu mieszkania i opłacaniu czynszu.

Kibice od lat pozostają w konflikcie z właścicielem Raúlem Martínem Presą, oskarżając go o lekceważenie ich interesów i tradycji. W rezultacie na stadionie Rayo można obserwować autentyczną walkę klas, ale w nowoczesnym i grzecznym wydaniu. 10 października 2026 r. kibice kilkakrotnie wstrzymywali mecz z Athletikiem Bilbao, zasypując murawę papierowymi samolotami i gumowymi piłeczkami rzucanymi z trybun. Ostatecznie sędzia przerwał spotkanie.

Warszawa – zły, czyli jedyny dobry

A czy w Polsce istnieje lewicowy futbol? Owszem. Trzeba udać się na warszawską Pragę. W 2015 r. grupa kibiców postanowiła stworzyć własną drużynę, inną od wszystkich: Alternatywny Klub Sportowy Zły. Nazwę zapożyczono od tytułu powieści Leopolda Tyrmanda.

Zły miał być przeciwieństwem tego, co założycielom przeszkadzało na wielkich stadionach: agresji, rasizmu, nacjonalistycznej presji i wykluczania osób niepasujących do kibicowskiego wzorca.

Powstał klub demokratyczny, zarządzany przez swoich członków, otwarty na wszystkich. Ma drużyny kobiecą i męską, szkoli dzieci i prowadzi działalność społeczną.

Ponoć prawdziwy feminizm nie kończy się, gdy trzeba wnieść lodówkę na czwarte piętro, ale gdy trzeba przez 90 minut oglądać biegające za piłką panie. Nieprawda: podczas dwumeczu z udziałem kobiecej i męskiej drużyny Złego na stadionie przy ul. Kawęczyńskiej pojawiło się około tysiąca osób. W 2019 r. AKS Zły otrzymał nawet nagrodę UEFA dla najlepszego klubu amatorskiego w Europie. W maju 2026 r. o klubie napisała amerykańska agencja Associated Press.

O utracie futbolu przez lewicę ciekawie pisał Rafał Woś w książce „Lewicę racz nam zwrócić, Panie!". Było to jeszcze w czasach, kiedy autor zajmował się odzyskiwaniem lewicy, a nie poszukiwaniem zalet prawicowego populizmu i wychwalaniem Donalda Trumpa.

Lewica – przekonywał Woś – utraciła kontakt z kulturą zwykłych ludzi, których kiedyś reprezentowała. Prawica przejęła ich język, emocje i tożsamość. W przypadku polskiego futbolu przejęła także niemal wszystkie trybuny. I niewiele wskazuje na to, żeby sytuacja miała się szybko zmienić.

AKS Zły pozostaje sympatyczną inicjatywą z niższych lig. Daleko mu do ekstraklasy, wielkich stadionów i wielotysięcznych tłumów. Polski futbol nadal pozostaje bastionem prawicy, a lewicowe eksperymenty rozwijają się głównie na jego obrzeżach.

Sytuacja polskiej lewicy na stadionach doskonale odzwierciedla jej sytuację w polityce. Program ambitny, kibice zaangażowani, ale droga do ekstraklasy daleka. I marząc o mistrzostwie, trzeba uważać, żeby nie spaść jeszcze niżej.

Towarzysze, walka trwa. Na razie o utrzymanie.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 27.10.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 7ba55b843e

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz nie była kobietą koszykarskiego wzrostu, dlatego fakt, że w swoich oczach urosła ostatnio, powitała z zadowoleniem. Teraz, na oko, miała jakieś dwa piętnaście, dwa dwadzieścia.

– Wartości są dla mnie ważniejsze niż stołki – głośno wypowiedziała zdanie, które w ostatnim czasie najlepiej określało jej niezłomność i bezkompromisowość.

Rozejrzała się po pokoju, który nie był jej ministerialnym gabinetem. Przy stole stało sześć krzeseł; od biedy można było je wziąć za stołki.

A wartości?

Wartości były niewidoczne, ale to nie znaczy, że ich nie było. Pełczyńska-Nałęcz wyobraziła sobie, że są zaklęte na przykład w telefonie komórkowym, który za moment się odezwie. Pełczyńska-Nałęcz odpowie tonem stanowczym i seksownym jednocześnie: – Słucham.

Będzie dzwonił Mateusz Morawiecki. Najpierw uprzejmie zapyta o zdrowie, potem pochwali niezłomność i bezkompromisowość, a następnie zapyta, czy by w najbliższych wyborach nie zechciała wystartować z list Rozwoju Plus.

– Och, nie zastanawiałam się jeszcze nad przyszłością w polityce – odpowie i ostrożnie, i kokieteryjnie. – Najpierw muszę ochłonąć. Dojść ze sobą do ładu.

– Oczywiście. – Morawiecki wykaże się zrozumieniem. – Ale gdyby co, to ma pani u nas jedynkę na liście w dowolnym okręgu.

Ona podziękuje, obieca, że się odezwie.

Wartości, a nie stołki!

Albo zadzwoni wicepremier Kosiniak-Kamysz.

– Rozumiem, nie pochwalam, ale rozumiem – powie sztywno. – Nie spotkałaby się pani ze mną, pani minister? Ze mną i z kierownictwem stronnictwa? Oczywiście, gdy tylko opadnie pył bitewny…

– W jakiej sprawie? – zapyta Pełczyńska-Nałęcz cichutko.

– Nie mogę zbyt dużo mówić – również szeptem odpowie wicepremier i lider PSL. – Nie zdradzę jednak żadnej tajemnicy, jeśli wspomnę, że chodzi o start w wyborach parlamentarnych.

– Och! – zdziwi się była ministra. – Doprawdy?

Z podobnym zdziwieniem patrzyła teraz na milczący jak głaz telefon. Nie zdążyła pomyśleć, że przecież w końcu ktoś musi zadzwonić, gdy komórka zaćwierkała.

– Pełczyńska-Nałęcz – zawołała radośnie. – Słucham!

– Nazywam się Nowak – odezwał się anonimowy głos. – Dzwonię z ministerstwa funduszy z pytaniem, kiedy zabierze pani pudło z rzeczami, które po pani zostały.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA jest dumnym spółdzielcą in spe. **JOANNA SENYSZYN** chwilowo ma inne sprawy na głowie.

Wołk-Łaniewska: – No, jakie na przykład?

Senyszyn: – Właśnie mi zrobili zastrzyk w oko…

– Ojejku!

– Znieczulają tak, że nic nie czujesz, ale wrażenie dziwne. Różni mi już życzyli „kij ci w oko”, ale igły jeszcze nikt.

– No dobra, jesteś usprawiedliwiona. Na razie. Ale wysłuchać legendy o spółdzielni musisz.

– Opowiadaj.

– No więc jest tak: założyliśmy spółdzielnię dziennikarską…

– Założyliście?

– No dobra, zakładamy. Okazuje się, że wolna Polska nie sprzyja nadmiernie tej formie przedsiębiorczości. Jest na przykład coś takiego jak „spółka w organizacji”. Wystarczy ze szwagrem nadpisać umowę i można już kręcić lody. W przypadku spółdzielni przed uzyskaniem wpisu do KRS nie można nawet zebrać wpisowego od członków. Żeby się robolom, co chcą pracować na siebie, w dupach nie poprzewracało. A rejestracja trwa i trwa, i trwa…

– Kapitalizm spółdzielni nie kocha. Gdyby było inaczej, już dawno byłby rozwiązany problem mieszkaniowy. Ale konkretyzuj: jest spółdzielnia czy nie, bo o ile pamiętasz, zobowiązałam się wstąpić?

– Formalnie nie.

– Jak formalnie nie ma, to nie ma.

– My uważamy, że jest.

– Szkoda, że urząd skarbowy tak nie uważa. No dobra: to kto wydaje ten numer „NIE”?

– Tak jakby ja…

– Czyli…

– W ciemnej desperacji założyłam jednoosobową działalność gospodarczą i marzę tylko o tym, żeby ją zamknąć. Ale nie mogliśmy pozwolić, żeby była przerwa w wydawaniu gazety, więc jest, jak jest…

– No to, Wołku, właśnie zostałaś kapitalistką. Gratulacje.

– Po moim trupie! Serio: ten numer jest podwójny, następny wychodzi 13 listopada i już będzie prawdziwy spółdzielniany. Uprzejmie uprasza się Czytelników o pilne wypatrywanie go w kioskach.

– Kiosków już nie ma, są saloniki prasowe. I oczywiście prosimy kupować też obecny, wołkowy numer.

– A nawet dwa, drugi egzemplarz można wręczyć ciotce dewotce i wujkowi pisowcowi przy okazji spotkania na cmentarzu. Jest dużo do czytania, bo numer obejmuje i dzień zmarłych, i dzień zabitych…

– Takiego w kalendarzu nie widziałam.

– Oficjalnie zwany jest Narodowym Świętem Niepodległości. Cały polski etos niepodległości sprowadza się do fetowania tych, których rozstrzelali, zadźgali, zarąbali i generalnie pozbawili życia na najróżniejsze sposoby.

– I na pewno dużo będzie się działo, bo Polacy walczą między sobą z ogniem niemniejszym niż z wrogiem zewnętrznym. Ale to omówimy w następnym, spółdzielnianym numerze. Na razie kto jeszcze żyw sprząta groby, z których większość przez cały rok jest zaniedbana i opuszczona. Zaczyna się maraton, czy też – żeby użyć katolickiej nomenklatury – triduum: najpierw Halloween, potem Wszystkich Świętych, a na koniec Zaduszki. Jego drugi odcinek, Wszystkich Świętych, przybrał w Polsce monstrualne rozmiary w myśl zasady: zastaw się, a postaw się. Wydajemy na nie miliard złotych.

– Ile?!

– Miliard. 700 mln na znicze i 300 mln na kwiaty. Nawiasem mówiąc, 1 listopada nie jest dniem zmarłych, który te wszystkie znicze i kwiaty fundujemy, tylko świętych. Dopiero 2 listopada są Zaduszki – czyli prawdziwe święto zmarłych, ale je już wszyscy mają w nosie, bo to nie jest dzień wolny od pracy.

– Zmieniając temat: niech żyje!

– Kto znowu?

– No jak to kto? Lula! Nadzieja Ameryki Łacińskiej! Chciałoby się powiedzieć: nowa nadzieja, ale zważywszy, że właśnie kończy 81 lat i został prezydentem po raz czwarty – z tą nowością chyba bym przesadziła.

– No naprawdę, nie spodziewałam się po tobie takiego ageizmu. Mój mąż też był z 1945 r. Boomerzy, czyli urodzeni do 1964 r., to bardzo dobra generacja, choć po naszych rządzących tego nie widać.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Masz rację. Odszczekuję. Luiz Inácio Lula da Silva jest nową nadzieją dla regionu, który wyglądał, jakby miał cały wpaść w łapy trumpoidalnych degeneratów. I, co ważniejsze, on zwyciężył w zupełnie niespodziewany sposób, mobilizując tłumy, zwłaszcza młodzieży, i zdobywając 10 mln głosów więcej niż w pierwszej turze, którą przegrał z Bolsonaro juniorem.

– Junior – dodajmy – startował niejako w zastępstwie, bo Bolsonaro senior siedzi w ciupie z wyrokiem 27 lat za próbę przeprowadzenia zamachu stanu w celu utrzymania się przy władzy po przegranych wyborach w 2022 r. Co pokazuje zresztą, że Brazylia traktuje swoją demokrację znacznie poważniej niż Ameryka, która nie tylko Trumpa nie wsadziła za rewoltę z 6 stycznia 2021 r., ale jeszcze go wybrała znowu cztery lata później.

– Myślę, że w tej chwili termin „demokracja amerykańska” jest oksymoronem. Acz w najbliższym tygodniu wszystko może się zmienić.

– Masz na myśli wybory połówkowe?

– Nie uważasz, że to kretyński termin? Jakby mieli obalić połówkę i zagłosować…

– To głupie tłumaczenie, prawda. Amerykanie używają słowa „midterms”, co nawiązuje do środka kadencji i są to wybory jak najbardziej całościowe: wybierany jest cały Kongres, 435 posłów.

– I tak co dwa lata, bo u nich kadencja kongresu trwa właśnie dwa lata. Senatu – sześć, ale wybory nie są raz na sześć lat, tylko co dwa lata zmienia się jedna trzecia. Mam jak najgorsze zdanie o amerykańskim systemie wyborczym – ale akurat te wybory środka kadencji są nieźle pomyślane i uważam, że u nas też powinny takie być.

– Chcesz skrócić kadencję sejmu do dwóch lat?

– Nie, ale prezydenta do czterech. Tak, żeby w środku kadencji prezydenta wybierany był nowy sejm – i rząd – a w środku kadencji rządu nowy prezydent. I to byłby taki plebiscyt. Nad jednym i nad drugim. Jakby premier się nie dogadywał z prezydentem…

– Co ostatnio jest nagminne…

– To co dwa lata byłaby okazja, żeby pogonić jednego albo drugiego. I odwrotnie – jakby się dogadywał za dobrze, jak Tusk z Komorowskim, to można by zagłosować za kohabitacją, żeby wprowadzić jakiś system z gatunku *checks and balances*, czy wzajemnego równoważenia i kontroli.

– Kłopot w tym, że system *checks and balances* się nie sprawdza, kiedy partie traktują państwo jak łup wojenny. Wtedy się nie dogadują, bo partyjne interesy sprowadzają się do koryta. Czarzaści jeżdżą po Polsce z hasłem: „Lewica dowozi” – ale przezornie nie dodają, że tylko swoich do stołków. Zresztą dokładnie tak jak KO i jej przyssawki w Koalicji 15 października. Wyobraź sobie, że choć Czarzasty wciąż mówi, że jego marzeniem jest jedna lista lewicy z Zandbergiem i Senyszyn, w wyborach uzupełniających do senatu w Zielonej Górze zamiast mnie popiera panią Zdzisławę Różańską, o której poglądach i kompetencjach nic nie wie.

– Jak to nie wie? Przecież senator Komarnicki z KO wyjaśnił: p. Różańska „przez wiele lat żyła z generałem”. I ma rację: to dowodzi, że p. Różańska się nadaje na senatora.

– Tu mnie zaskoczyłaś…

– Jak ona się nadaje, to ja też. Też przez wiele lat żyłam z generałem. I mój generał też umarł. Wprawdzie 20 lat po naszym rozstaniu, ale może jakieś współczucie w kimś wzbudzę…

– Wołku, proszę cię bardzo, nie podstawiaj nogi do kucia. Wołki, jak żaby, nie mają kopyt.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 7ba55b843e